

ISSN 0023-5148

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

**PARYŻ**

**Nr 6/453**

**1985**

---



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

A. MICKIEWICZ: **O LUDZIACH ROZSĄDNYCH  
I LUDZIACH SZALONYCH**

REDAKCJA: **OBSERWATORIUM**

CZ. MIŁOSZ: **LITERATURA POLSKA**

W. KRAŚNIEWSKA: **MIŁOŚĆ**

M. FELDHUZEN: **AMERYKA ŁACIŃSKA**

## SPIS RZECZY

Adam Mickiewicz:	<i>O ludziach rozsądnych i ludziach szalonych</i> .....	3
Redakcja:	<i>Obserwatorium</i> .....	6
Czesław Miłosz:	<i>Literatura polska</i> .....	10
Wiktoria Kraśniewska:	<i>Miłość</i> .....	11
Sławomir Mrożek:	<i>Rano, rano, raniutko</i> .....	37
<b>ARCHIWUM POLITYCZNE</b>		
Maciej Feldhuzen:	<i>Ameryka Łacińska</i> .....	39
<b>K R A J</b>		
—	<i>Aresztowanie Czesława Bieleckiego</i> ..	59
Piotr Paweł Ursyn:	<i>Czy władza ludowa kocha zabytki?</i> ..	62
—	<i>O polskich wydawnictwach konspiracyjnych i niezależnych</i> .....	76
—	<i>Sytuacja w środowiskach artystycznych Krakowa</i> .....	83
—	<i>Zachodnie przedstawicielstwa niezależnych organizacji, instytucji i pism krajowych</i> .....	84
<b>SĄSIEDZI</b>		
Wasył Wytwyćkyj:	<i>Czas ucieka</i> .....	87
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i> .....	90
Andrzej J. Chilecki:	<i>Kronika niemiecka</i> .....	96
E. Żagiell:	<i>Kronika litewska</i> .....	100
<b>KRONIKA KULTURALNA</b>		
M. Broński:	<i>Neorealizm socjalistyczny</i> .....	105
Józef Czapski:	<i>Śmierć Cézanne'a</i> .....	108
Jerzy Horzelski:	<i>Przygodne notatki o mowie</i> .....	110
<b>KSIĄŻKI</b>		
Marek Nowakowski:	<i>O „Wyroku na Franciszka Kłosa”</i> ..	118
Maria Danilewicz Zielińska:	<i>Literatura źle widziana</i> .....	122
Janina Katz Hewetson:	<i>Materia ciągła przerywana</i> .....	131
XY:	<i>Nota o słownikach portugalskich</i> ....	136
—	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i> .....	137
<b>CI, CO ODESZLI</b>		
Marek Nowakowski:	<i>Edward Puacz</i> .....	140
<b>POLEMIKI</b>		
Adam Wrzeszcz:	<i>List z Polski</i> .....	143
Jan Ulatowski:	<i>Nieściłości p. Kirkpatrick</i> .....	146
Stanisław Babiński:	<i>List do Redakcji</i> .....	148
◆		
—	<i>Wydarzenia miesiąca oraz kroniki francuska i kanadyjska</i> .....	149
◆		
K. A. Jeleński, Morski Don Kichot, H. Zarychta-Kamińska, (Nazwisko znane Redakcji):	<i>Listy do Redakcji</i> .....	154
—	<i>Odpowiedzi Redakcji</i> .....	159

# KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Czerwiec - Juin

1985

INSTYTUT



LITERACKI

## WPLATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Jerzy T. Duracz, Kungsangen (Szwecja) — w 10-tą rocznicę śmierci Anny Duracz — Krs 300,00 .....	F. 315,00
Kamila i Jan Halpernowie, Kolonia (RFN) — w 4-tą rocznicę śmierci Stefana Streleyna dla uczczenia Jego pamięci ....	F. 500,00
S. Judek, Ottawa, po raz 6-ty — \$ c. 34,80 .....	F. 226,00
Jerzy R. Krzyżanowski, Columbus, OH (USA) .....	F. 400,00
Tad de Laurent, Bielefeld (RFN), po raz 9-ty — DM 25,00 ..	F. 76,00
M.A., Perth, W.A. (Australia), po raz 11-ty — \$ A. 75,00 ....	F. 486,75
Stefan Nędzyński, Genewa, po raz 14-ty — Fr.szw. 100,00 ..	F. 360,00
M. Piaskowski, Caulfield North, Vic. (Australia), po raz 4-ty	F. 89,56
Maria Rasiej, Bogota, N.J. (USA), po raz 11-ty — \$ 24,00 ..	F. 223,00
Włodzimierz i Rita Rozenbaum, Cicero, IL (USA) — zamiast kwiatów na grób Leopolda Tyrmanda — \$ 15,00 .....	F. 139,00
Janina Rozwada, Szwecja — Krs 100,00 .....	F. 105,00
Mira Puacz, Chicago, IL (USA) — w imieniu Męża śp. Edwarda Puacza, wiernego czytelnika i przyjaciela <i>Kultury</i> — \$ 1.000,00 .....	F. 9.300,00
Władysław Żeleński, Paryż — dla uczczenia pamięci Borysa Lewickiego .....	F. 200,00

DZIĘKUJEMY!

## WPLATY NA POMOC DLA WALCZĄCYCH W KRAJU „ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ”

Barbara, Sydney (Australia) — \$ 10,00 .....	F. 64,90
Bezimiennie z RFN .....	F. 608,82
E.M., Paryż — na przesładowanych w PRL .....	F. 200,00
M.A., Perth, W.A. (Australia) — \$ A. 200,00 .....	F. 1.298,00
Zygmunt Przetakiewicz, Toronto, Ont. (Kanada) — zamiast kwiatów na grób Mamy, śp. Haliny Przetakiewicz, w pierwszą rocznicę śmierci — 10 lipca — na fundusz pomocy dla Czesława Bieleckiego („Macieja Poleskiego”) .....	F. 100,00
Polski Związek b. Więźniów Politycznych, Szwecja — z okazji 40-lecia uwolnienia z obozów przez Szwedzki Czerwony Krzyż i hr. Folke Bernadotte — dochód ze sprzedaży świątecznych kart pocztowych — Krs 501,00 .....	F. 526,00
POMOST — Socio-Political Movement, Nowy Jork — na fundusz niezależnej prasy w Polsce — TZR Wielkopolska — sumę uzyskaną ze sprzedaży „biletów stuzłotowych”, wydanych przez Region Wielkopolska (nadesłał Dariusz Szczepańczyk) — \$ 500,00 .....	F. 4.650,00
Maria Rasiej, Bogota, N.J. (USA) — na pomoc walczącym Polakom w Kraju i ich rodzinom — \$ 24,00 .....	F. 223,00
Joyce Smiley (Północna Irlandia) — \$ A. 50,00 .....	F. 324,50

## WPLATY NA NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”

Bezimiennie z Urbany, IL (USA) .....	F. 800,00
Czesław Borzobohaty, Omaha, NE (USA) — \$ 100,00 .....	F. 930,00
Grupa Działania na rzecz NSZZ „Solidarność” w Montrealu — dla „Solidarności” w Kraju (przekazał Marek Przykowski) — \$ 2.300,00 .....	F. 21.390,00

(Dalszy ciąg Wpłat na str. 160)

## O ludziach rozsądnych i ludziach szalonych\*

Pierwsze zjawienie się historyczne w Polsce ludzi na urząd rozsądnych i z profesji dyplomatów, przypada na czasy pierwszego rozbioru Rzeczypospolitej. Kiedy haniebnemu sejmowi Ponińskiego radzono podpisać akt samobójstwa, nieśmiano już do Polaków przemawiać językiem starym, wzywać ich w imię Boga, w imię *powinności*; trzeba było stworzyć język nowy; rozprawiano więc o *okolicznościach czasu, miejsca, o trudnościach, o nadziejach*; nareszcie zaklinano obywateli w imię *rozsądku*, aby przestali czuć po obywatelsku. Gdzież *rozsądek*, wołano, chcieć opierać się woli trzech dworów? gdzie są *środki* oparcia się? czy jest *czas* po temu? Czy nielepiej *część* poświęcić, aby *resztę* zachować? ze skołatanego statku Rzeczypospolitej wyrzucić dla ulżenia mu, kilka województw? od chorego ciała Rzeczypospolitej dać odciąć część, której niepodobna uzdrowić? etc etc etc. Tak sprawa ojczyzna wpadła od tej chwili na języki sofistów!

Pocziwi posłowie szczególnie z głębi prowincji przybyli, słuchali z podziwieniem nowych dla Polaka rozumowań, nie umieli, nie chcieli nawet wdawać się w rozprawy, zatykali uszy na podobne bluźnierstwa; polskim rozumem, polskim sercem, nie mogli pojąć, ani uczuć, jak to sejm miałby, Rzeczypospolitą rozdzierać, bliźnich swoich, spółobywateli w niewolę zaprzedać, Odpowiedziano im, że sejm posiada *la souveraineté!* Przybiegli na pomoc ludziom *rozsądnym* dyplomaci, zbrojni w obosieczne słowa aliansów, gwarancji, traktatów, kartonów, neutralności, i nareszcie wzbogacili słownik nasz wyrazem *kordon*, nad którym

\* *Pielgrzym polski*, Paryż, Nr 8 z 27 maja 1833.

niegdyś tak dumali politycy nasi, jak potem nad interwencją i nieinterwencją. Zgraja głupców i ludzi bezdusznych wstydziła się przyznać, że tych wyrazów nie rozumie, rada była popisać się z nauką szermując niemi. Rejtan po raz ostatni przemówił starym językiem, zaklinając na *rany boskie*, aby takiej zbrodni nie popełniać; — ludzie rozsądni okrzyknęli Rejtana głupcem i szalonym, — naród nazwał go wielkim, — potomność sąd narodu zatwierdziła.

Kiedy konfederaci Barscy broń podnieśli, znaczna część narodu podzielała ich uczucie, ale rozsądek i polityka tak się rozszerzyły między szlachtą, że miast wsiadania na koń, zaczęto rozważać, czy sposobna była pora, oczekiwać odpowiedzi z Wiednia, posiłków z Francji etc. Nareszcie konfederaci napadli Stanisława Augusta; krzykniono, że splamili honor narodowy! — konfederatów potępiono jako szalonych awanturników; naród i potomność inny wydały o nich wyrok.

Kiedy na sejmie czteroletnim, Korsak, w każdą materję wtrącał dwa słowa: skarb i wojsko! wojsko i skarb! zaklinając teoretyków, aby zamiast tyłomiesięcznego rozprawiania o prawach kardynalnych, zaczęli od poparcia tych *czynem, wojną!* Ludzie rozsądni za to że Korsak, często parlamentarskich form nieprzestrzegał, nazwali go głupim; stronnicy Moskwy szalonym.

Kiedy Kościuszko stanął na czele narodu, kiedy Warszawę oswobodzono; Stanisław August, przyjmując deputację rewolucyjną, rzekł na pół z płaczem: To jest wszystko pięknie! c'est sublime! Ale Mości Dobrodzieje, czyż to rozsądniej? cóż to z tego będzie? — Kościuszko umarł na wygnaniu, ale zwłoki jego złożył naród w grobach królów naszych, Stanisław August, rozsądny, pochowany był z honorami królewskimi w Petersburgu.

Kiedy w czasie tworzenia się legionów młodzież polska, opuszczając krewnych, wyrzekając się dóbr, przekradała się pod chorągwie Dąbrowskiego i Kniaziewiczza, krzyczano na tych zbiegów, obwołano ich za szaleńców. Dąbrowski i Kniaziewicz w ówczesnych pismach niemieckich, wystawieni byli jako szaleni awanturnicy. Znajdował się między awanturnikami, zbiegły od rodziny, Wincenty Krasieński, który później stał się rozsądniejszym.

O rozsądnych ludziach rewolucji ostatniej zostawiamy sąd pokoleniom. Może nikt z tych, którym zarzucają błędy, nie będzie obwiniony o złe chęci, o brak miłości ojczyzny, może najczęściej przez wstyd fałszywy, przez bojaźń śmieszności, przez żądzę popisania się z wiadomościami prawnymi i parlamentarskimi, ludzie poczciwi, nie śmieli radzić się uczucia swego, sumnienia, ale biegali po rozsądek do głowy i do książek.

Co z tego wszystkiego wnosimy? oto: że rozsądek, czyli

względ na okoliczności zmienne życia codziennego, nie jest trybunałem na sądenie spraw dotyczących się wieków i pokoleń, — że rozsądek pojedynczy jest często w sprzeczności z rozumem narodowym, z rozumem rodu ludzkiego. — W czasach, kiedy umyśły chore na sofisterję, pozwalają sobie o wszystkim rozprawiać na prawo i na lewo; rozum rodu ludzkiego wygnany z książek i z rozmów, chowa się w ostatnim szańcu w sercach ludzi *czujących*. Skazówką tych ludzi jest uczucie powinności. — Godna uwagi, że jeden z naszych Jenerałów zasłużonych, pierwszy, ile nam wiadomo, śmiał na czele pamiętników swoich militarynych napisać te słowa: Czuję że o powinności nie wolno rozumkować.

Jeżeli kto się spyta, cóż jest powinnością polaka dzisiaj? w téj godzinie? w tym lub owém zdarzeniu? Nie podajemy siebie za wyrocznie, nie umiemy nic powiedzieć człowiekowi, któremu jego sumnienie nic nie mówi. Niech *czeka!* lepiej zrobi nie mieszając się w wypadki i w rozmowy. A jeśli szuka nauczyciela i książek, niech weźmie na uwagę krwawą lekcją demonstrowaną w Fischau, w Kronstadt; niech rozbierze kurs polityki, który układają bracia nasi przy taczkach w twierdzach pruskich. Tym tylko professorom przyznajemy prawo rozprawiać o działaniu teźniejszém braci naszych w Polsce, oni sądem przysięgłym wojennym zawyrokują o ich zasługach.

Adam MICKIEWICZ

## Obserwatorium

Wojna wchodzi w nową fazę. 1 lipca bież. roku zaczęły obowiązywać przepisy uchwalone przez Sejm 10 maja. Wraz z nimi zapanuje w Polsce stan prawny (!) godny kraju uznanego za „niezłomne ogniwo” Paktu Warszawskiego. Dwa lata w trybie przyspieszonym za sam udział w nielegalnej manifestacji; więzienie za uczestnictwo w „nielegalnym zebraniu w mieszkaniu prywatnym”; orzekanie „ograniczenia wolności” przez jednego sędziego na podstawie notatki milicyjnej pod nieobecność oskarżonego i obrońcy; zakaz wykonywania zawodu jako kara dodatkowa; rozszerzone stosowanie środka zapobiegawczego; niemożliwość zawieszenia odbywania kary w przypadku recydywy; podniesienie górnego wymiaru grzywnien do 5 milionów złotych, przy czym wykroczeniem jest płacenie krzywny za kogoś, kto nie należy do najbliższej rodziny — oto najważniejsze posunięcia wymierzone w działalność niezależną i mające rozbić — wraz z „Solidarnością” — codzienną ludzką solidarność, stłumić strachem jakiegokolwiek zbiorowe wystąpienie, a nawet zespołową refleksję nad sprawami publicznymi, aby zmienić naród w zbiór odosobnionych jednostek, poddanych nieograniczonej samowoli aparatu partyjno-represyjnego.

Generał Kiszczak udawał dotąd dżentelmena, dbał o przychylną szeptaną propagandę, zapraszał na salony MSW, jak gdyby młodość spędził nie w kontr-wywiadzie ale w angielskiej *public school*. 10 maja zza tej maski wyłoniła się twarz sowieckiego stupajki, właściwego następcy Radkiewicza, ministra bezpieczeństwa publicznego w najczarniejszych latach PRL. Zarówno słownictwo generała, jak zawartość jego przemówienia w Sejmie pochodzą bowiem wprost z tamtej epoki. Twierdzenie, że w miarę poszerzania się zakresu stabilizacji „utrzymuje się, a nawet zaos-

trza stan zagrożenia kluczowych interesów państwa” — to przecież tylko odświeżenie znanej stalinowskiej teorii „zaostrzającej się walki klasowej”, która nieuchronnie prowadzi do utożsamienia wszelkiej opozycji z obcą agenturą działającą wyłącznie z niskich pobudek. Toteż znaczną część generalskiej mowy wypełniło znieważanie działaczy opozycji demokratycznej, niezależnego ruchu związkowego i niezależnej kultury upiękzone akcentami antysemickimi, wycieczkami osobistymi, pomówieniami, szantażowaniem rzekomą wszechwiedzą bezpieki i uzupełnione konstruktywnymi obietnicami, takimi jak na przykład apel o odbieranie mieszkań tym, którzy wykorzystują je dla „celów sprzecznych z prawem”.

Generał Jaruzelski od dawna udaje patriotę — wprawdzie nie z taką gracją jak jego policmajster-dżentelman, ale nie bez pewnych sukcesów. Jakoż wielu zapomniało, że to on przecież podpisał komunikat, w którym zobowiązał się wobec władz sowieckich do „odwrócenia biegu wydarzeń”. Nie wszyscy też przeczytali z należytą uwagą przemówienie, w którym oświadczył, że Pakt Warszawski „oznacza współcześnie uzyskanie sojuszniczych gwarancji dla niepodległej polskiej państwowości, dla sprawiedliwych granic Polski Ludowej i naszych własnych socjalistycznych rozwiązań wewnętrznych”. Generał nie wyjaśnił, na czym polega owa niepodległa rzekomo państwowość, która nie może się obyć bez takich gwarancji. A granice? Czyżby ich obecny zarys mógł ulec zmianie, gdyby tylko „sojuznik” uznał, że mu dłużej nie odpowiada? I co mają znaczyć gwarancje dla „socjalistycznych rozwiązań wewnętrznych”, podobno przecież „naszych własnych”, jeśli nie zapowiedź niechybnej sowieckiej interwencji, gdyby tylko Polacy zmienili narzucone im instytucje?

Zarówno w przemówieniu sejmowym generała Kiszczaka jak podczas ostatnich konferencji prasowych rzecznika rządu, o Kościele mówiło się tonem spokojnym i rzeczowym. Krytykowano „imprezy, w trakcie których prezentowane są treści o wyraźnie jąttrzącej antypaństwowej wymowie” bez napaściwości jednak i bez inwektyw, które zdobyły podczas minionych miesięcy łamy prasy oficjalnej. Myliłby się jednak ten, kto by upatrywał w tym jakiejś zmiany polityki wobec Kościoła, zapoczątkowanej jesienią ubiegłego roku. Od 13 grudnia 1981 każde brutalne uderzenie w działalność niezależną idzie w parze z koncesjami dla Kościoła, a przynajmniej — z czasowym wyciszeniem anty-kościelnej kampanii propagandowej. Obecnie dzieje się tak samo. Nie sposób nawet wykluczyć, że zrobi się niebawem jakiś gest, na przykład wyrazi wreszcie zgodę na kościelny Fundusz Pomocy dla Rolnictwa, zwłaszcza, że już wiadomo, iż w następstwie trzyletniej

obstrukcji stosowanej przez władze, nie uzyska on kwot, na jakie mógł pierwotnie liczyć.

Najważniejszym celem panujących w PRL strategów jest teraz wygranie wyborów do Sejmu, tzn. spowodowanie, by można było — zachowując pozory prawdopodobieństwa — oświadczyć w komunikacie Państwowej Komisji Wyborczej, że absencja nie przekroczyła 5 %. Temu celowi służy ustawa uchwalona przez Sejm 10 maja. I w imię tego celu władza może poczynić jakieś ustępstwa, zresztą bardziej pozorne niż rzeczywiste, na rzecz Kościoła lub środowisk katolickich. Zaiste, blisko stuprocentowe uczestnictwo w wyborach jest w tym roku warte mszy. Władza boi się masowego bojkotu, gdyż jest on jedynym wymiernym wskaźnikiem siły oddziaływania opozycji, a zarazem widomym świadectwem, że Polska wciąż jeszcze nie została znormalizowana. To też w miarę zbliżania się do wyborów rosnąć będzie presja na Episkopat, by wezwał do udziału w nich, a przynajmniej — nie zajął postawy negatywnej. Równoległe postępować będzie zastraszanie jednostek i środowisk posądzanych przez władzę o działania lub sympatie opozycyjne, zwłaszcza w małych miastach i na wsi. Ordynacji wyborczej jeszcze nie uchwalono. Ale kampania wyborcza zaczęła się w rzeczywistości 10 maja.

Wolno chyba oczekiwać, że opozycja, której wybory mogą dać szansę zademonstrowania swoich wpływów, zdoła szybko, jednomyślnie i jednoznacznie opowiedzieć się za ich bezwarunkowym bojkotem. A następnie włoży maksimum wysiłku w upowszechnienie przekonania, że w obecnych warunkach tylko taki bojkot pozwala zadać dotkliwy cios polityce prowadzonej przez władze we wszystkich dziedzinach, od gospodarki poczynając, a kończąc na kulturze. I że jedynym skutecznym sposobem zmniejszenia ryzyka, z jakim łączy się dla każdego odmowa udziału w wyborach, jest spowodowanie tak wielkiej absencji, by władza okazała się niezdolna zupełnie zakłamać wyniki i ukarać opornych.

Sprawa wyborów do Sejmu jest dziś szczególnie ważna. Ale przepisy, które wejdą w życie 1 lipca mają nie tylko wymiar doraźny, gdyż wpisują się w politykę represyjną, która od 13 grudnia 1981 ulega konsekwentnemu i systematycznemu zaostrzeniu. Zwiększa się liczba czynów zakazanych pod groźbą kary. Rośnie repertuar kar i ich surowość. Rozszerza się uprawnienia organów ścigania. Ogranicza — prawa obrony. Władza zamierza dążyć dalej w tym samym kierunku. Tak np. przyszły Sejm będzie zapewne musiał uchwalić ustawę o pasywności społecznej w brzmieniu zadawalającym wreszcie poczucie prawne generała Kiszczaka. Nieuchronnym następstwem tej polityki będzie wzrost liczby więźniów, w szczególności — politycznych, oraz ofiar wszelkiego rodzaju prześladowań i dyskryminacji. Ale nieuchronnym

tego następstwem będzie również nasilenie się — po ewentualnej pauzie na wybory — ataków na Kościół, a zwłaszcza na jego działalność w dziedzinie pomocy represjonowanym, oświaty i kultury. W rzeczy samej, uniemożliwiając prowadzenie działalności niezależnej nawet w mieszkaniach prywatnych, władza zamyka ją w jednym miejscu, gdzie może jeszcze być uprawiana: w lokalach kościelnych. Aby zlikwidować ją ostatecznie — do czego dąży — władza musi zatem uderzyć w kapłanów, którzy udzielają jej schronienia, a tym samym — w Kościół, gdyż granica między opiekowaniem się działalnością niezależną a sprawowaniem obowiązków duszpasterskich nie da się w żaden sposób przeprowadzić.

Na tym nie koniec. Sytuacja gospodarcza pogarsza się, i tak będzie nadal. Stopa życiowa spada. Całe regiony — zwłaszcza Krakowskie i Śląsk — są zagrożone katastrofą ekologiczną. Wzmaganie represji, zmuszanie do milczenia uznanych autorytetów społecznych, walka z Kościołem, rozmyślnie drażnienie opinii publicznej zwiększają — zwłaszcza w tych warunkach — prawdopodobieństwo niekontrolowanego, krwawego wybuchu. Jeśli generał Jaruzelski daje do zrozumienia, że stan obecny nie ulegnie zmianom, gdyż każda próba wprowadzenia ich spowoduje interwencję sowiecką, to dlatego, że liczy się z taką perspektywą, jak liczy się z nią generał Kiszczak, gdy usiłuje wskrzesić mit terroryzmu, do którego mieliby się rzekomo skłaniać jacyś, jemu tylko znani „opozycjoniści”. Trzeba więc z góry stwierdzić, że gdyby doszło w Polsce do przelewu krwi, to odpowiedzialność zań spadnie wyłącznie na władzę, która od 13 grudnia 1981 naraża na szwank swymi poczynaniami nawet i tę ograniczoną suwerenność, jaka przysługuje PRL, oraz życiowe interesy milionów Polaków.

Bez mała dziesięć lat temu, jesienią 1975 roku, zaczął rozwijać się ruch społeczny, który po roku zaowocował założeniem KOR-u, a po pięciu latach — stworzeniem „Solidarności”. Od blisko czterech lat ruch ten, jak każdy kto związał z nim swe losy, przeżywa czas bezlitosnej próby. Przykro to stwierdzić, ale prawda lepsza od złudzeń: najtrudniejszy okres jest jeszcze przed nami i wszyscy — zarówno w kraju, jak na emigracji — musimy się do niego przygotować. Znaczy to w pierwszym rzędzie: zachować wierność tym zasadom, które pozwoliły Polakom w ciągu 16 miesięcy ograniczonej przeciw wolności wnieść nową jakość do dziejów własnych i do dziejów powszechnych. I zachować nadzieję.

## Literatura polska

Proszono mnie, żebym powiedział, co sądzę o obecnej sytuacji i zadaniach polskiej literatury. Nie potrafiłbym jednak napisać referatu z obawy przed niepotrzebnym wymądrzaniem się. Mam do powiedzenia tylko tyle:

*Literatura polska jest projektem na daleką metę.  
Rozpacz, nędzę, apatię pokonuje swoją energią.  
Doraźne wymierzanie sprawiedliwości małym łotrom  
[nie należy do jej obowiązków.  
Ani udział w liturgiach corocznej żałoby.  
Nie zajmuje się dostarczaniem pociech upokorzonej dumie.  
Tam gdzie nie ma nadziei, obywa się bez nadziei.  
Jej wyniosłość nie jest pogardą, ale wiedzą o zasłonach  
[czasu.  
Z uporem dąży do siebie, tej, którą ciągle nie jest.  
Rodzi się coraz mocniejsza, ponieważ jest niemożliwa.  
Zamiast być nadbudową, okazuje się fundamentem.  
W niewoli okoliczności, wolna, uświetnia wolność.*

Czesław MIŁOSZ

## Miłość\*

*tolko wyszytyj kisiet'.  
uzglada łaskowowo niet  
tolko żałost', tolko trubka  
tolko wyszytyj kisiet'.*

Wyszywany woreczek na machorkę — to symbol obozowej miłości. Wańka czy Kolka wyjmuje go ostrożnie z kieszeni, rozluźnia kolorowy sznureczek, chwytając palcami akurat tyle tytoniu, ile potrzeba na jedną bankrutkę i sypie go w nastawioną bumażkę kumpla, który pożera zazdrosnym okiem widomy znak szczęśliwego związku. Właściciel puszy się z zadowolenia i daje przyjrzeć się lepiej woreczkowi. A jest się czemu przyglądać. Na woreczku bywają kwiatki, gałązki misternie wywiedzione zieloną nitką, a czasem także wielkie serce i strzała, lub napis mówiący o wiecznej miłości, o wierności do końca dni. Z tą wiernością trochę gorzej, dochować jej trudno, nie pozwalają na to okoliczności, ale co szkodzi kilka pięknych słów, utrwalonych, by im nadać więcej mocy, one pocieszają i napawają dumą. Niełatwo mieć dziewczynę w obozie, kobiet jest mało, a konkurencja ogromna, bo chętnych do obozowej żeniaczki wielu. Nie każdy więc ma szansę.

Herling-Grudziński dał obraz zbiorowego gwałtu w słowach plastycznych i przejmujących. Widzę więc natychmiast ten barak dość obszerny, piętrowe kojki, tępawe i obojętne twarze siedzących na nich zeków. Część z nich przygląda się scenie, część nie zwraca uwagi na fakt tak mało znaczący. Dziewczyna o pokornie strachliwym spojrzeniu i *blatniacy* spuszczający spodnie, zaspokajający żądze z naturalnością załatwiania naj-

\* Jest to rozdział ze wspomnień Wiktorii Kraśniewskiej, które pt. „Po wyzwoleniu... (1944-1956)” ukażą się w niedługim czasie w „Bibliotece Kultury”.

prostszej fizjologicznej potrzeby. To przecież przyroda — mówią Rosjanie. Czemu się dziwić. Zbędne tu są czułe słowa. *Łożys i dawaj* — wystarczy.

Lecz miłość w obozie ma różne oblicza. Obraz Grudzińskiego ukazał tylko jedno, może najbardziej drastyczne, mniej jednak nasycone dramatem, niż się to na pozór wydaje. Przypominam sobie inne sceny, inne twarze kobiet, które szczególnie silnie dotykał gułagowski los. Tylko kobieta bowiem ponosi tragiczne skutki nawet krótkiej chwili zapomnienia.

Bawiłyśmy się kiedyś w obozie w układanie traktatu na temat miłości. Jak w każdym porządnym traktacie, należało zacząć od klasyfikacji. Trzy są więc jej rodzaje. Nazwanie ich jednak stwarza niemałe trudności. Język rosyjski poradził sobie co prawda z nią doskonale. Wiadomo było, że inna jest miłość *zakonnaja*, inna miłość uprawiana przez *żenatików*, a jeszcze inna ta, której oddają się *kobły*. Jak przetłumaczyć na polski język te lapidarne określenia? Jak przetłumaczyć słowa *żenatik*, albo *kobiół*? Brak mi inwencji. Wielki traktat socjo-psychoseksuologiczny na samym początku grozi nieadekwatnością. Chyba, że zostaną przy nazwach rosyjskich, a tym, którzy nigdy nie chcieli się nauczyć języka starszego brata, niech wystarczy, że mowa będzie o prawnych małżonkach, o tych, co żyją na kurzą łapę i o pederastach, których także w obozie nie brakło.

Klasyfikacja gotowa, możemy przystąpić do określenia poszczególnej grup. Najważniejsza z nich to *żenatiki*. W Tu połowa naszych dam była z kimś związana. Z kim? Oczywiście tylko z mężczyzną, który mógł zapewnić odpowiednią obozową opiekę. Związek małżeński zawierano szybko na zasadzie dwustronnej zgody. Mężczyzna pytał: *chcesz drużyć?* Były to sakramentalne słowa. Kobieta odpowiadała: no tak, ale... I w tym miejscu zaczynał się mały przetarg na temat wzajemnych usług. Jeśli to był *nariadczyk*, *prorab*, komendant mógł obiecać wybrance lżejszą pracę: to propozycja nie do pogardzenia. Inni proponowali papierosy, coś z paczki, *kierzowyje sapogi*, albo walonki pierwszego asortymentu, rzeczy cenne, warte rozpatrzenia. Kobieta zgadzała się pracować, cerować, zrobić na drutach szalik. O woreczku na tytoń nie było mowy. Rzecz ta do układu nigdy nie należała, będąc wyrazem wzruszonego miłością serca. O woreczku się marzy, na woreczek się czeka.

Układ zawarty, przystąpić należy do wykonywania małżeńskich obowiązków. Nie jest to łatwe, bo kochać się nie wolno. Za wszelkie intymne związki idzie się wprost do karceru. Trzeba więc oszukiwać nadzór. Trzeba wykorzystywać pory, gdy wszyscy z nadzoru są zajęci. Spotkania muszą być siłą rzeczy krótkie. Nie marnuje się też ich na słowa. Patrzę, jak na parę

minut przed *podjosem* nasze kobiety-*żenatiki* naciągają na koszule watawone spodnie i buszłaty, na bose nogi walonki i po cichu wysuwają się z baraku. To dobra pora. Zaraz zadzwieczy dzwon i nadzór zbierze się w swym biurze, żeby zdać raport o nocy naczelnikowi reżimu. Część nadzorców dyżuruje w stółcówce, do której spieszą wychodzące za zonę do pracy brygady. *Żenatiki* wślizgują się do kabinek, gdzie czeka mąż *prydurek*, inne wprost do męskich baraków. Tam z górnych nar wystarczy spuścić trochę koca, by osłonić dolne przed wzrokiem gawiedzi i stworzyć intymny kącik. Czasem zresztą i na to czasu ani głowy nie ma, gdy się spieszyć trzeba, a jakaś mała przeszkoda opóźniła przyście. Miłość kwitnie publicznie, bez specjalnej żenady. Pół godzinki, sprawa załatwiona. Dziewczyna leci prędko do baraku, trzeba bowiem ubrać się, zjeść *batandę* i zdążyć na szóstą na *razwod*.<sup>1</sup>

*Żenatiki* korzystają z każdej nadarzającej się okazji i na ogół cieszą się dyskrecją kolegów. Nie wypada donosić o miłości. Dziś zresztą masz dziewczynę ty, jutro ja. Kobiety też są solidarne. Ostrzegają się przed niebezpieczeństwem, ułatwiają sobie wzajemnie przeżycie miłej półgodzinki. Naczelniczka krawieckiej pracowni wpuszcza stęsknioną parę do magazynu i zamyka drzwi na kłódkę. Po pół godzinie otworzy. Starszy łaźiennik po cichu wręcza klucze od nieczynnej o tej porze łaźni. Miłość znajduje sobie miejsce wszędzie, w składzikach i w małej dyżurce doktora, w barakach i za stołem żelastwa w warsztacie, w piwnicy wśród kupy zwalonej kapusty i po prostu w ubikacji, co prawda niewygodnie na stojąco, ale co to dla pragnących siebie znaczy. Do Muzy, która zajmuje poślanie obok mnie na kojce, Igor przychodzi zaraz po dzwonku na *razwod*. Oboje pracują w zonie, jest więc to dla nich najlepsza pora. Mój stary, jeszcze ojcowski pled wisi między nami. Muza wyciąga prześcieradło i starannie zasłania kojkę z pozostałych stron. Mało tam miejsca, więc Igor ściąga spodnie stojąc między narami i wślizguje się w ten prowizoryczny namiot. Halka — Rosjanka, która śpi nade mną, i ja czym prędzej uciekamy z baraku. Walce, która pracuje w kuchni na nocnej zmianie, nie igraszki Muzy nie przeszkadzają, choć się całe nary trzęsą. Śpi na gorze pochrapując i tylko patrzeć, jak spadnie. Budzi to w nas serdeczny śmiech.

*Żenatik* musi być wierny. Obozowego męża zdradzać nie wolno. Kara może przyjść natychmiast i jest okrutna. *Urka* wpięrow jednak udziela przestrogi. Dziewczyna stara się przewiązać sine podbite oko, trochę się wstydząc, a trochę pyszniąc

1. Punkt zborny więźniów przed odejściem na robotę.



uczuciem swojego Czumy. Biję, więc kocha. Czasem jednak przestroga nie odnosi skutku. Wówczas należy się spodziewać najgorszego: albo tramwaju, a więc zbiorowego gwałtu (*urka* rzuca niewierną na uciechę kumplom), albo noża. Czasem się uda spod noża uratować, czasem ktoś powstrzyma od zadania ostatecznego ciosu. Dziewczyna wyliże się w szpitalu i wraca na *ołp*<sup>2</sup>. Nie na długo. Mogli już kochanka zabrać, mogli za próbę zabójstwa skazać go na nowy wyrok, lub, co częściej bywało, odesłać do kolonii karnej. Zostawiali koledzy i ci zwykle mścili się jeszcze okrutniej na niewdzięcznicy.

Naprzeciwno mnie zajmuje kojkę dr Lidka K. Jest naszą obozową dentystką. Sympatyczna kobieta, fachowiec raczej marny, ale ząb wyrwać potrafi. W gruncie rzeczy na tym polegało leczenie. Kiedyś podobno była związana z jakimś lekarzem, zabrano go jednak na inny łagpunkt. Teraz żyje z inżynierem z biura planowania, dość przystojnym, sympatycznym mężczyzną, zajmującym wraz z kolegą w baraku „planowików” oddzielną kabinę. Doktor Lidka ma więc wszystkie wygody, nie musi zrywać się rano. Jej przyjaciel także pracuje w zonie, wystarczy zatem wyjść na chwilę w czasie roboczego dnia, spotkać się dyskretnie, najlepiej wówczas, gdy brygady wracają z pracy i nadzór zajęty jest ich przyjmowaniem. Sielanka trwa. Dr Lidka ma dużo rzeczy, więcej niż ktokolwiek z nas. Podobno poprzedni obozowy mąż otrzymywał duże paczki od rodziny, także z przeznaczeniem dla niej. Lidka ma porządne buty, nowe burki, chyba ze trzy sukienki i aż trzy swetry, ma własną bieleźną, rękawiczki, szaliki. Patrząc na nią zawsze z pewną zazdrością. Sztafirkuje się przed wyjściem do pracy, zawiązuje na szyi coraz to inną chusteczkę. Robi to jednak wszystko poważnie, bez kokieterii, jest bowiem osobą szanowaną, godną, zajmującą w hierarchii obozowej wysokie miejsce.

Piszę Lidka, a przecież nikt tak do niej w tym czasie nie mówił. Zwracano się zawsze per Lidia Daniłowna, skąd więc ta Lidka została mi w pamięci?

Miałam wówczas nocną zmianę i spałam w dzień w baraku. Obudził mnie babski jazgot. Wszystkie kobiety znajdujące się w sekcji, chore i nie chore, próbowały coś wyperswadować niemłodemu już mężczyźnie, który wyrzucił z drewnianych walizek Lidii Daniłowny rzeczy na podłogę, przebierał je i wpychał do przyniesionego worka. Kłął przy tym jak *urka*, wyrazy na „p” i „b” mieszały się w jego ustach ze zwykłym słowem: suka. To był ów doktor, były mąż. Przyjechał na nasz *ołp* z chorymi do szpitala i skorzystał z okazji, by niewierną przy-

2. Oddzielny łagiernyj punkt.

uczyc. Ze skarbów lekarki wyciągał co najlepsze, a może i więcej. Zabierał jej wszystkie swe podarki. Ciężki worek zarzucił na plecy, i co dziwne, żadna z krzyżących bab nie próbowała mu go odebrać. Machnął więc tylko w ich kierunku ręką i odeszł. Odtąd właśnie Lidia zmieniła się w Lidkę, taką jak inne *żenatiki*, poddaną obozowym prawom. Cóż za różnica, czy mężem był lekarz czy *urka*?

Pytałam później tych jazgoczących kobiet, dlaczego przestały na krzyku, dlaczego pozwoliły mu zrabować cudze rzeczy. Nie mogły zrozumieć moich pretensji. Były przekonane, że miał prawo, zdradziła, więc jej się już więcej nie od niego nie należy. — Przecież te szmatki kiedyś jej podarował — upierałam się — darowanego nikt nie odbiera, to wbrew wszelkim zasadom współżycia. Rosjanki tylko wzruszały ramionami. Kiedy z nim żyła, to obsypywał ją podarkami. Żyje z innym, musi ponieść konsekwencje. On teraz ma pewno inną żonę, chce jej także coś dać. A skąd ma wziąć. — To po co krzyżać się? — Tak sobie, może pożałuje, może co zostawi, ale jak nie zostawił to trudno, jego prawo.

Takie to małżeństwo obozowe, taka to moralność. Odeszłaś — oddaj wszystko, choćbyś miała zostać w jednym porwanym buszłacie. Elegancja Lidki skończyła się. Zniknęły szaliki i sweterki, trzeba było na nowo zarabiać na gułagowskie skarby. A to niełatwo, nie każdy ma możliwości, nie każdy ma ochotę tak pieścić wybrankę. I bez tego się obejdzie. Wystarczy, gdy dostanie dodatkową pajkę chleba i czasem gęstszą zupę.

Dobrych kandydatów na mężów też nie tak wiele, choć mężczyzn dziesięć razy tyle co kobiet. Masa obozowa do miłości się nie nadaje. *Dochodiagi* to istoty bezpłciowe. Myślą tylko, co by tu zjeść. Seksualny głód dawno w nich zamarł. W ich wyblakłych oczach nie budzi się nawet najśłabsza iskierka uczucia, najśłabsza iskierka pożądania. Ciągną się szkielety do stołówek w kłapiących za dużych i połatanych walonkach i żaden z nich nawet głowy nie odwróci w stronę przebiegającej dziewczyny. Tylko brygadier poprawi czapkę-uszankę i błysnie zawadiacko oczyma, tylko on może pokazać zdrowe zęby w uśmiechu, tylko on rzuci żart, spróbuje zatrzymać biegnącą, coś jej rzec, coś zaproponować. By kochać, trzeba być *prydukiem*<sup>3</sup>, *robotiaga* nie jest już zdolny do niczego.

Obozowym mężem Marii Grigoriewny, ordynatorki z pierwszego oddziału naszego szpitala, jest sam naczelnik obozu. Jest to tajemnica poliszynela. Nikt nie przeciwko Marii Grigoriewnie nie powie. Jej władza jest ogromna. Kończy zresztą

3. Pracownik administracji.

wyrok, niewielki, pięcioletni, i podobno ma zostać w szpitalu, pracując już jako wolna. Naczelnik przychodzi do niej tylko w nocy, na oddział, ostrożnie, by nikt go nie widział. Za związek z więźniem grozi wyrok do dziesięciu lat. Podobno latem, gdy są białe noce, unika tych spotkań. To raczej Maria Grigoriewna idzie do domu komendantury pod jakimś tam pretekstem. Niektórzy twierdzą, że idzie tam spotkać się nie z komendantem, lecz z *operem*, że *stuka*<sup>4</sup>. Być może. Czymś miłość swoją musi opłacić. Miłość to zresztą intratna. Ze szpitalnej kuchni sanitariusz niesie w zakrytych kociołkach obiad dla Marii Grigoriewny. Jest tam i kawałek mięsa, i kasza gęsta, i zupa z samego dna, taka, że łyżka stoi. Maria Grigoriewna tego nawet nie potrzebuje. Mamy teraz w obozie sklepik, a w nim bywa świńska tuszonka, marmolada, czasem nawet masło, choć rzadkość to wielka. Są landrynki różnego rodzaju, kiedyś przywieziono chałwę. Maria Grigoriewna kupuje wszystko, co jej się zamarzy, bez kolejki. Przychodzi do sklepiku i każdy się na bok usuwa, robi miejsce, aby nie pobrudzić wysmoloną futajką jej czystej, wyfasowanej z żołnierskich przydziałów szubki. Na usługę dzień dobry, prosimy, pozwólcie, ledwie odpowiada. Kiwa tylko głową łaskawie lecz chłodno. To jeszcze dość młoda kobieta, koło czterdziestki i ładna. Niejeden *urka* westchnie patrząc za nią: *Wot takuju by p....!*

Nie lubimy tej baby i trochę się jej boimy. Za wiele może. Mam nocny dyżur, ktoś umiera mi na oddziale. Potrzebny jest tlen. Biegnę do apteki, ale nie chcą mi tlenu wydać. Za mało go. Potrzebny podpis dyżurnego lekarza, a dyżuruje właśnie Maria Grigoriewna. — Gdzie ją można znaleźć? — Chyba jest u siebie, w jedyńce. — Jedyńka zamknięta na cztery spusty. Stukam. Otwiera mi stary zaufany sanitariusz lekarki. Nie będę jej budzić — upiera się. Kłócimy się dobrą chwilę i widocznie podnoszę głos, bo nagle się drzwi otwierają i pokazuje się sama Maria Grigoriewna. Jest w białym fartuchu narzuconym na bieliznę. Z trudem hamuje gniew. Wyraźnie jestem intruzem. Nie dochodzi do niej, że ktoś umiera. Wreszcie podpisuje mi receptę. Uciekam jak najszybciej. Do apteki niedaleko, potem z workiem pełnym tlenu biegiem na mój oddział. Droga się wije między wysokimi na niemal dwa metry zaspami śnieżnymi. To raczej wąska dróżka, z trudem przekopana przez zdrowszych chorych. Moja trójka leży na tej samej ścieżce co jedyńka. Zakręt i oto wpadam z rozpędu prosto w ramiona naczelnika. Mało się nie przewrócił. Rzucam śpieszne przeproszam i coś tam jeszcze na usprawiedliwienie i staram się szybko zniknąć

mu z oczu. W sercu mam strach. Żeby tylko nie poznał, żeby tylko nie wiedział, kto to. Dopiero po chwili uświadamiam sobie, że on jest na pewno jeszcze bardziej przerażony. Kto bowiem widział, żeby naczelnik *otpu* przechadzał się w zonie sam, bez asysty, bez nadzoru. Nadzorcy zawsze chodzili w dwóch, trzech, a to i kilku. Iść samemu między zeków — to czyste samobójstwo. Jeśli więc przyszedł, to dla arcyważnych powodów, by skryć swe odwiedziny w zonie przed innymi enkagebistami. Wystarczy, że rozpaplę, iż go widziałam, a wyślą go do innego obozu, może nawet wdroszą śledztwo. Wystarczy, że się będzie bał mojej paplaniny, a wyśle mnie natychmiast gdzieś do *sztrafnej* leśnej kolonii. Niedobrą mam noc, niedobry dzień pełen niepokoju.

Wieczorem w mojej dyżurce zjawia się nagle Maria Grigoriewna. Pyta o chorego, czy mu lepiej. Chce go nawet zobaczyć. Choremu jest rzeczywiście znacznie lepiej, może się go da uratować, to było serce, pewno zawał. Lekarka nachyla się nad nim, poprawia koc, wzdycha. Przegląda potem historię choroby, choć to nie jej oddział, a dzisiaj nie pełni nocnego dyżuru. Czekam aż coś powie, dostrzegam jak drżą jej wargi. Wreszcie się decyduje. — Spotkałaś kogoś wczoraj w nocy w zonie? (Mówi do mnie „ty”, ja do niej „wy” — obozowa hierarchia. Nie boli mnie to specjalnie, bo jest ode mnie o te 15 lat starsza). Odpowiadam bez namysłu: Tak, jakiś wojskowy, nie wiem czy żołnierz czy oficer, bo było bardzo ciemno. Mało go nie przewróciłam. Uciekłam, żeby mnie za niegrzeczność nie wsadził do karceru. Tylko niech pani o tym nikomu nie mówi. — Nie poznałaś, który to? — Skąd, w tym pośpiechu? Leciałam jak wariatka. Nawet nie wiem, czy nie był to czasem jakiś *urka* w wojskowej czapce, ale to byłoby jeszcze gorzej. A czy pani coś słyszała? — Nie, nie — wycofuje się natychmiast — tak mi się tylko zdawało, że ktoś w nocy koło oddziału się kręcił. Maria Grigoriewna wyraźnie jest uspokojona, choć wszystko to brzmi nieprawdopodobnie. Zona jest oświetlona dostatecznie, aby poznać, kogo się spotyka na drodze. W walonkach chodzi się bezszelestnie, trudno usłyszeć kroki. Rozumiemy się jednak doskonale. Ona wie, że nic nie powiem, ja wiem, że i ona będzie milczała. Cichy układ został zawarty. Boże, jakże my w tym obozie nawzajem się siebie boimy!

Lepiej więc nie widzieć i nie wiedzieć, kto, z kim, kiedy, jak. Nie nasza sprawa. Miłość *ženatików* odbywa się niemal publicznie, a jednocześnie nikt o niej nie mówi, jakby jej w ogóle nie było. Czasem się zdarza, że ktoś przez zazdrość doniesie, że nadzorcy złapią parę *in flagranti*. Oboje idą do karceru. Po karcerze etap. Reżim jest nieubłagany. Małżonkowie nie

mają nawet możności się pożegnać. Rozdzieleni już na zawsze jadą w różne strony, kto wie, czy nie na zatracenie, do innych, cięższych obozów.

Miłość to ryzyko. A jednak tylu zeków podejmuje to ryzyko wciąż na nowo. Przygoda, mówią Rosjanie. Nie tylko. Kto by nie chciał mieć kogoś bliskiego, kogoś, kto by się uśmiechnął, powiedział coś czule, zatroszczył się, zaniepokoił. W tym chłodzie wzajemnej obojętności cenne jest każde ciepłe słowo, każdy życzliwszy uśmiech, a cóż dopiero miłość. Nawet ta krótka, brutalna ma swoje chwile radości, uspokojenia. Uciec więc od niej trudno.

Kiedyś, jeszcze na początku moich obozowych lat w tym szpitalu, w którym królował Michaił Daniłowicz, na parę dni przywieziono do naszego habskiego pokoiku więźniarkę. Siedziała już dziewięć lat. Pamiętam, że był to dla nas szok, że ktoś mógł przebywać w tym piekle tak długo. To była miła, inteligentna dziewczyna. Za co siedziała? Wystarczy policzyć. Czterdzieści sześć mniej dziewięć, to trzydzieści siedem. O szczegółach pytać już nie trzeba. Opowiadała nam pierwsze lata w obozie, te najgorsze, gdy panowała wszechwładnie pelagra. Gdzieś po dwóch latach dostała pierwszą paczkę. Była to mała paczuszka, a w niej trochę rodzyneków, wschodnich łakoci (rodzice stale mieszkali w Gruzji), orzeszki, chałwa, skórkowe rękawiczki i para cienkich pończoch. Płakała nad tą paczką marząc o sucharach, cebuli i słoninie. Jakże ludziom na wolności brak wyobraźni.

Wieczorem pani Ł., Maritié i ja rozmawiałyśmy z nią o miłości. I wy — powiedziała — znajdziecie sobie obozowych mężów, dziesięciu lat nie przeżyje się w cnocie. Pamiętam, jak oburzyły nas te słowa. My? Nigdy.

Trzeba tu przyznać Polkom, także Litwinkom, że się broniły, że były twarde. Rzadko która wiązała się przygodną miłością. Ale gdy się spotkało Polaka, swego chłopca, coś się w nas budziło. Paraliżował tylko lęk: co zrobić w razie czego z dzieckiem. Zajście w ciążę uważałyśmy za tragedię, w przeciwieństwie do *urkaczek*, które tylko o tym marzyły. Gdy już bowiem ciąża wyjdzie na jaw, stosunek władz obozowych się zmienia. Kobieta zaczyna dostawać 200 gram. mleka, przenoszą ją do lżejszej pracy, a potem czeka ją specjalny obóz dla matek, gdzie jest położony szpital, *dietchom* i leciutka praca, póki się karmi swe małe. Pół roku takiego odpoczynku — to dużo. Warto postarać się o następną ciążę.

*Urkaczki* nie przejmowały się zbyt tym, co się dalej z ich dzieckiem stanie. Miały zresztą prawo pisać od czasu do czasu do zarządu sierocińca, a nawet odebrać dziecko po wyj-

ściu z więzienia. Nie wiem, czy to robiły. Listy pisały, to prawda. Nieraz do kilku różnych miejsc, widocznie miały już po kilkoro dzieci. Czy chciały się nimi zająć? Wątpię. Zbyt obojętnie reagowały na wiadomości. Tylko niektóre spoglądały wieczorem na fotografię małego chłopaczka czy dziewczynki trochę płacząc, wdychając. Nie wiem, czy się bardziej rozczułały nad sobą, czy nad tymi maleństwami.

Dla politycznych, czy były nimi proste wiejskie dziewczęta czy inteligentki z Moskwy i Leningradu, rozstanie z dzieckiem było tragedią nie do zniesienia. Nie wiedziały, czy je jeszcze zobaczą, czy będzie miało opiekę. Sierocińce nie cieszyły się dobrą sławą. To tam właśnie powstawały watahy *bezprizornych*, zdemoralizowanych „małolatów”, buszujących po całym terenie ZSSR i kończących swą karierę niechybnie pośród kryminalistów. Rodził się strach o przyszłość własnych dzieci, a więc i strach przed ciążą. Polki, Litwinki, Estonki na samą myśl o dziecku w rosyjskim *dietchomie* dostawały gęsiej skórki. Stąd nasza powściągliwość. Stąd też mnóstwo abortów w obozie, czasem kończących się tragicznie. Również wrażliwsie *urkaczki* niekiedy wołały przerwać ciążę. Niektóre się chwaliły, że są specjalistkami od tego zabiegu. Wystarczy zwykłe szydełko — mówiły. Widziałam skutki tych szydełek, gdy skrwawione, pozbawione niemal życia dziewczyny przywożono w ciężkim stanie do szpitala. Zakażenie, które zwykle takiemu abortowi towarzyszyło, torowało prostą drogę na tamten świat. Czasem jednak któreś się udawało. Niejedna z kobiet zyskiwała też cichą sławę dobrej akuszerki. Czasami usługi ginekologiczne pełnili lekarze. Dawało to lepsze gwarancje higieny. Pamiętamy jednak o tym, że zarówno lekarz jak i kobieta podająca się zabiegowi mogli być natychmiast sądzeni. Prawo rosyjskie nie pozwalało na przerywanie ciąży.

Specjalistą od zabiegów był nasz ftyzjatra, Zbyszek. Kiedy pracowałam na chirurgii, przygotowywałam mu instrumenty. Przychodził po nie późnym wieczorem, w godzinę potem oddawał. Komu robił, gdzie, czy na swoim oddziale czy w innym miejscu, nigdy nie pytałam. Musiał także udzielać pomocy *wolniaszkom*, bo dostawał pieniądze. Trochę mi zawsze coś niecoś odpalił, co było niezmiernie dla mnie ważne. Był przecież wówczas w obozie sklepiak. Zbyszek był ostrożny, dyskretny. Wiem, że czasem odmawiał, bał się prowokacji, bał się gwałtu niektórych kobiet. Lecz, jak sam przyznawał, czynił to zawsze niechętnie. Współczuł bowiem zbyt silnie tym zdesperowanym, gotowym na wszystko kobietom, nawet na utratę zdrowia, więcej, życia, by tylko nie wydać na świat dziecka skazanego na sieroctwo.

W Zbyszku kochała się Marta. Sliczna czarnowłosa dziewczyna z pasmem siwych włosów na skroni. Uważała się za Ukrainkę, choć ukończyła polskie gimnazjum we Lwowie, po polsku mówiła jak każda z nas, a po ukraińsku z fatalnym twardym akcentem. Pracowała jako siostra w dzwiaciacie razem z Olgą Hainówną. Nie wiedziałam, że jest w ciąży. Kryła się z tym, jak zresztą i inne kobiety. Skrobankę robił jej sam Zbyszek i czy to ze zdenerwowania, czy z przejęcia, czy z poczucia zbyt wielkiej odpowiedzialności zabieg sknocił. Marta dostała szalonej gorączki, zakażenia, choć instrumenty były wysterylizowane tak jak zawsze, z całą skrupulatnością. Trzeba było ją hospitalizować pod jakimś pozorem, dostać potrzebne leki. Położono ją więc z podejrzeniem na tyfus, bo tej choroby śmiertelnie się bało naczalstwo. Dawało to rękojmię, że nikt niepowołany do niej nie wejdzie, że można ją będzie odseparować również od innych chorych, a więc od domysłów i plotek. Były to dni krytyczne i ogromnie żałowałam ich obojga, zszarzałego z niepokoju Zbyszka i rozgorączkowanej, mało przytomnej Marty. Udało się ją uratować. Zaczęła już powoli wstawać, blada i chudziutka, kiedy nagle Zbyszka zabrano na etap powrotny do Polski. Był to dla niej grom z jasnego nieba. On jechał nie kryjąc swej radości, jechał do domu, cóż może być cudowniejszego. Ona zostawała tu, słaba, bez zdrowia, na niewiadome, z wyrokiem dziesięciu lat, bez perspektywy powrotu. Próbowaliśmy się cieszyć razem z nim, kochała go naprawdę. Nie, zaiste, lepiej nie kochać, lepiej zachować chłód w sercu i nie przeżywać rozstania. Zekowi wydaje się, że miłość przynosi mu jaśniejszy promyczek w jego pochmurne dni. Gdy jednak ten promyczek gaśnie, noc robi się jeszcze zimniejsza i ciemniejsza.

Czyż nie wystarczy nam, że rozdzielono nas z bliskimi w chwili aresztu? Po co wchodzić w nowe związki, z konieczności nietrwałę? Zawsze bowiem grozi etap, zawsze grozi przymusowe rozstanie. *Urka* wie o tym i dlatego się nie przejmuję. Dziś ta, jutro będzie inna. I ta inna może wyszyje woreczek kolorowymi nićmi. *Urka* ma marynarskie wyposażenie, w każdym porcie dziewczyna.

Staram się odwiedzać Martę jak najczęściej. Obie nosimy w sercu zmoreę. Po pracy późnym wieczorem nie chce mi się wracać do baraku. Siedzimy więc na ławeczce przed szpitalnym oddziałem nr 9 i patrzymy w kierunku zachodnim. Płot z tej strony jest daleko od nas, co najmniej 600 metrów, nie zaśłania więc czubków drzew. Po tych czubkach toczy się ogromne fioletowawo-czerwone słońce. Toczy się powoli i wierzchołki świerków jak ręce wydają się przekazywać je sobie, nie pozwa-

lając mu się zanurzyć w ciemniejszą zieleń. Gdzieś tam ku temu słońcu pojechał Zbyszek, gdzieś tam jest też mój dom. Obok na ławeczce siedzi kilku rekonwalescentów. To *urki*. Śmieją się głośno, widocznie opowiadają anegdoty. I nagle zaczynają śpiewać zgodnym chórem:

*Ot Suchumi do Batumi szariki kopala  
jesliby mnie nie byłoby, s gołodu b propala.*

Brutalna prawda wyziera z tej błatniackiej pieśni. Nie ma co patrzeć na słońce. Mówimy chorem dobranoc i rozchodzimy się, każda w swoją stronę. Na wachcie dzielącej teren szpitala od ogólnej zony strażnik mnie pyta, dlaczego wracam tak późno. Miałam ciężki wypadek, operacja. Kiwa głową i przepuszcza mnie łaskawie. Zona jest cicha, pusta, dawno po *odboju*. Jest jasno jak w dzień, jeżeli ktoś w barakach nie śpi, widzi mnie z daleka. Idę szybko, z trwogą, bo ktoś może skorzystać z okazji, zaatakować, zaciągnąć w ciemny kąt. Niemal biegnę. Zdyszana otwieram furtkę w ogrodzeniu oddzielającym nasze kobiece baraki. Furtka powinna być zamykana na kłódkę, ale z reguły nikt tego nie robi. Za krzakiem dzikiego głogu, który jakimś cudem nie został wykarczowany, natykam się na leżącą na ziemi parę. Nie patrzę na nich, nie mnie to nie obchodzi. Otwieram ostrożnie drzwi od baraku i za chwilę już leżę na kojce. Jeżeli mnie ktoś zauważył, jest pewny, że wracam z miłosnego spotkania.



Muza powiedziała mi dziś, że jest w ciąży. O, Boże, Zbyszek wyjechał. Naprawdę nie wiem, jak jej pomóc. Siedzą razem z Igorem obok mnie na kojce i płaczą. Co robić? Może by się zgodził wolny chirurg. Kręcę głową przecząco, on nigdy nie zaryzykuje, nie będzie chciał narazić się na ewentualne aresztowanie, a nawet tylko utratę pracy. Jest już chory, odsiedział swoje dziesięć lat. Inni lekarze nie mają żadnego doświadczenia w takich rzeczach. Jedna Maria Grigoriwna umiałaby zabieg zrobić, ale ona z zasady nie udziela takiej pomocy. Abort to przestępstwo. Zbyt jest praworządna. — W stosunku do innych — szepcze Muza, nie do siebie. Ma rację, niczego to jednak nie zmienia. Zwracać się do jakiejś babki, cichej akuszerki? Muza jest słabowita, chuda, w razie krwotoku nie przetrzyma. Odradzam jej stanowczo, lepiej urodzić. Igor jest też tego zdania. Muza myśli inaczej. Wywołanie sztucznego poronienia to ryzyko, mówią, że lepiej poczekać do trzeciego miesiąca. Jeżeli

weźmie mnie szlag, to razem z dzieckiem. Dziecko się męczyć nie będzie — to najważniejsze. Ktoś powie, że najlepiej było nie bawić się w miłość, nie byłoby kłopotu. No to niech spróbuje sam napełnić lodem swoje serce. Lodu mamy w bród tu na północy. Niech zawiąże oczy, pozbawi palce czucia, niech chodzi po tej zonie, jak przemarzły pień rachitycznej brzozy, nie nie czując, nikogo nie widząc. My jednak chcemy pozostać ludźmi, chcemy, żeby nie wygasło w nas życie, bronimy się przed śmiercią uczuciowego wyjałowienia. Chcemy o kimś myśleć, o kogoś się bać, do kogoś się przytulić. Umoralniające nauki i chłodny rozsądek niech zatrzyma dla siebie. Miłość to ludzki zryw duszy w tym nieludzkim świecie. Nie można od niej uciec, choć zbyt wielkich żąda ofiar. Czas nadszedł. Igor tuli Muzę do siebie i po twarzy tego chłopaka, który ma nie więcej jak 25 lat, ciekną łzy.

Przychodzi mi do głowy szczęśliwa myśl. Muza otrzymuje paczki od matki. Należy do tych nielicznych Rosjanek, których rodzice nie wyrzekli się córki-przestępczyni. Paczki przychodzą regularnie, regularnie przychodzą też krótkie smutne listy. Znam je, bo mi je Muza czyta. Jej matka musi być kobietą wielkiej dobroci. Nigdy żadnego wyrzutu, tylko serdeczność i trochę nowin ze swego życia. Po areszcie Muzy zwolniono ją z pracy, męża zajmującego przedtem jakieś wysokie stanowisko przeniesiono do małego biura niewielkiej produkcyjnej spółdzielni. Wiązą z trudem koniec z końcem, paczki więc są skromniutkie, widać w nich jednak serce. Poczekaj, mówię, nie nie rób, tylko otwarcie o wszystkim napisz do mamy. Mogę ci pomóc w przesłaniu listu za zonę. Maryna Aleksandrowna na pewno go przez wachtę przeniesie. Może będą mogli zabrać dziecko i zaadoptować, póki nie wrócisz. Podobno jest to możliwe. Igor się ożywia. Wstępuje w nas nadzieja, trzeba się tylko dowiedzieć, czy takie prawo istnieje. Igor też chce napisać list do swojej dalekiej ciotki staruszki, która czasem się z nim kontaktuje. Rodzice już dawno się go wyrzekli. Jeszcze podczas śledztwa zorganizowano mu spotkanie z nimi, oczywiście w obecności prowadzącego dochodzenie. Ojciec, partyjny dygnitarz, uroczyście oznajmił, że nie chce znać syna zdrajcy komunizmu, i te same słowa powtórzyła matka. Kiedy Igor opowiada o tym, cały drży z wściekłości. Jakież kontrast między tymi dwiema matkami, tą daleką, odwracającą wzrok od syna, i tą tu obok mnie, gotową nawet umrzeć, aby tylko dziecka nie unieszczęśliwić.

Listy napisane. Czekamy odpowiedzi. Nieszczęścia chodzą zawsze parami, lepiej by było powiedzieć — tabunami. Nowy nadzorca, gorliwiec nad gorliwcami, nakrył Igora w naszym

baraku. Muzę zabrano do izolatora, Igora jeszcze tego samego dnia wysłano do innego obozu. Nie mamy wiadomości, dokąd. Gdzieś w Tu, ale w promieniu co najmniej dwustu kilometrów rozmaitych łagpunktów jest wiele. Mógł wylądować w kopalniach, na wyrębie lasu, na budowie dróg. Koniec miłości. Po pięciu dniach Muza wraca chuda niemiłosiernie, jakby te ostatnie dni wypompały z niej resztę tłuszczu. Skóra i kości. Kaszle. Skończy się na tym, że dostanie gruźlicę. Na szczęście nie zdjęto jej z roboty, nadal zostaje w zonie. Teraz płacze nie tylko z powodu dziecka, lecz także Igora. Mija trudny, smutny miesiąc i wreszcie przychodzi list. Matka Muzy jest cudowna, chciałyby się ucałować tę panią. Już się dowiedziała, że ma prawo wziąć dziecko do siebie i uczyni to natychmiast, jak tylko zostanie odłączone od piersi. Nie będzie w *dietdomu*, znajdzie kochającą babkę. Muza płacze tym razem z radości. Jej wyrok to siedem lat, odsiedziała już trzy, jeszcze cztery i jakoś to się ułoży. Byle tylko Igor przeżył, aby mogła się z nim kiedyś spotkać. Dni Muzy wypełnione są teraz marzeniami. Dostaje już mleko, więc się trochę poprawiła. Nadzieja pomaga żyć, o ile ma się jeszcze nadzieję.



Jest rano. Noc spędziłam w operacyjnej. Mieliliśmy ciężki przypadek skrótu kiszki. Całe jelito skręcone w wymyślny węzeł. Skutek obżarstwa po długotrwałym głodzie. Jak zawsze — paczka i brak powściągliwości. Chory śpi, pewno z tego wyjdzie. Śpi i Michaił Daniłowicz, śpi Maritié. To mój dzień dyżuru, więc musiałam się nakręcić po oddziale, a teraz siedzę na stopniach szpitalnego budynku i patrzę na tajgę i coraz wyżej szybujące nad nią słońce. Przez otwarte okna sąsiedniego budynku widać krzątającego się Andreasa, myje obłożnie chorych. Czasem dobiega mnie jego głos, serdeczny, ciepły. Andreas to ukończony Maritié, pracuje u nas jako sanitariusz. Sliczny wysoki chłopak, prawdziwy Litwin z ogromnymi niebieskimi oczyma. Nagle zza płotu słychać motor ciężarówki, rozmowy na wachcie, skrzypią drzwi *prachodnoj* i już idzie ku mnie wysoki mężczyzna. Nie widzę, jakie ma oczy, ciemny czy jasny zarost, widzę tylko jego koszulę, zwykłą męską koszulę, gładką, lekko niebieskawą, której otwarty kołnierzyk prosi się o luźno zawiązany krawat. Nie *gimnastiorka* przepasana pasem, nie rubacha ukraińska na wypusk, wyszywana przy kołnierzu, które otaczają mnie tu co dzień. Koszula, jakiej nie oglądały moje oczy od trzech z górą lat. Europejska koszula. Jej właściciel coś do mnie mówi, ja mu zmieszana

odpowiadam, śmiejemy się. *Coup de foudre*. Z powodu niebieskiej męskiej koszuli.



Miłość *ženatików* pociągała za sobą jeszcze inne konsekwencje — choroby weneryczne. Rzeżączka była nagminna. Leczyło się ją kąpielami w kali-hipermanganicum, popularnie zwanym morgancówką, co efekty dawało problematyczne. Pełno też było syfilityków. Tym z kolei aplikowano bizmut i salwarsan, co niekiedy powstrzymywało chorobę. Sądząc jednak po zmianach w twarzy, charakterystycznych nosach, nie zawsze udawało się opanować destrukcyjny proces. Obawa przed krętkiem bładym stanowiła duży hamulec dla obu płci. Starano się dowiedzieć, jak się przedstawia stan zdrowia ewentualnego małżonka czy małżonki. Na ogół mieliśmy dobrą orientację, syfilitycy byli bowiem regularnie wzywani na comiesięczną komisję lekarską. Jednakże ów przepis regulaminu, którego przestrzegano dość pilnie w wielkich obozach, na małych łagpunktach i koloniach stawał się pustą literą, choćby z braku odpowiedniego personelu medycznego. Zaraza więc szerzyła się zwykle na tych odległych *komandirowkach*, z których do naszego centralnego szpitala przywożono zeków nieraz w bardzo już zaawansowanym stadium choroby. Co gorsza, kiła jest zaraźliwa także przez przedmioty wspólnego użytku. A ileż razy tak bywało, że z braku bielizny, najprostszych okryć dwie kobiety lub dwóch mężczyzn dzieliło się jednym kocem, jednym nie zawsze czystym prześcieradłem, jednym ręcznikiem,

Przypominam sobie doskonale, jak trafiła do naszej czwartej sekcji młodziutka, licząca zaledwie 17 czy 18 lat dziewczyna. Za co ją posadzono? Nie wiem. To była Rosjanka, a tyle w latach 47-48 wpadało z powodu małego flirtu z cudzoziemcem marynarzem, czy też nierozsądnie rzuconej krytycznej uwagi o jakimś sowieckim wyrobie. W pierwszym przypadku dawano szpiegostwo, w drugim — zniesławienie Ojczyzny i jej władz. Przyznanie, że amerykańska świńska tuszonka jest lepsza od sowieckiej mogło być natychmiast uznane za szerzenie szkodliwej dla interesów państwa propagandy. Takich artykułów było sporo w karnym kodeksie ZSSR. Okazały się one zresztą przydatne nie tylko w jurysdykcji Starszego Brata. Jeżeli komuś na tym zależało, mógł zawsze odpowiedni artykuł wynaleźć i spreparować na poczekaniu politycznego przestępcę nawet z Bogu ducha winnego baranka. Dziewczyna nie miała ze sobą nic, ani grzebienia, ani jakiejś szmatki, jedynie wyfasowaną brudną po etapie koszulę, rwącą się pod pachami su-

kienczynę i zniszczone buty. Bogatsze z naszych kobiet próbowały jej dopomóc, tym bardziej, że miała iść na ogólne roboty. Ktoś dał ręcznik, ktoś inny mydło, a nawet szczotkę do zębów. Z magazynu obozowego wydano jej stary koc, żółtawe prześcieradło, burki i watówkę. To wszystko. Wyposażenie znakomite. Dziewczyna była jednak zapobiegliwa i staranna, powolutku wchodziła w obozowe życie. Komuś usłużyła, komuś coś przyniosła, wyprała, choć po pracy była zmęczona, i tak zdobyła gdzieś sweterek, spódnice, czystą koszulę. Miała szczęście, że trafiła właśnie na nasz *ośp*, gdzie tylu siedziało ludzi ze starej rosyjskiej inteligencji. Udało się ją nawet zabrać z ogólnych prac. Od amatorów stroniła, była jeszcze zbyt dziecinna, przyjaźniła się natomiast z inną Rosjanką, starszą już kobietą, bardzo poczciwą, mającą paczki, którymi się z nowoprzybyłą dzieliła. I nagle po roku mała Taniuszka dziwnie zachorowała — podejrzana wysypka, powiększone gruczoły chłonne. Syfilis. Kto był winien? Ta stara kobieta? Trudno powiedzieć. Nie odnosiłam wrażenia, by była chora. Zresztą każda przez Tanię otrzymana rzecz mogła przynieść zarazę. Rozpacz Tani była straszna i mimo perswazji z młodzieńczą zapalczywością oskarżeniami obrzuciła przyjaciółkę. Ta zaś, nie wiem, zdruzgotana wiadomością o chorobie czy napastliwością oskarżeń powtarzała tylko w kółko: *Nie ponimaju, Taniusza, nie ponimaju*. Taką ją zapamiętałam, tragiczną i przerażoną. Zrozumiałam wtedy, że dla tej kobiety Tania była jakby córką, przedmiotem macierzyńskiego uczucia, które wydawało się już wygasać. Trudno się jednak dziwić reakcji Tani. Jej wyrok opiewał na 25 lat, takie bowiem w tym czasie dawano wyroki. Jaką miała przed sobą perspektywę? Okresy zaleczenia, po których choroba wybuchnąć mogła z jeszcze większą siłą? To nie wolne życie, gdzie są antybiotyki i fachowa opieka. To obóz z surowo reglamentowanym bizmutem. A i to nie wiadomo, czy lekarz bizmut przepisze.

Nic tedy dziwnego, żeśmy się bali jak ognia tej choroby, zbędnych kontaktów z rzeczami innych, choć w tych warunkach i w tym stanie higieny zachowanie ostrożności było niezmiernie trudne. Kobiety zresztą nieraz tę broń wykorzystywały we własnej obronie. *Urka* zaczepiał, napastował. Dziewczyna niby zmieszana godziła się na zaloty, dodając tylko, że ukryć nie może, powinna mu powiedzieć — że jest chora. Na ogół wybieg ten skutkował, *urka* puszczał całą litanie obrzydliwych wyzwisk, okręcał się na pięcie i odchodził. Znam jednak i takie wypadki, kiedy niby chorą dziewczynę skazywano na śmierć, aby już nikogo nie mogła zarazić.

A mógł się i taki *blatniak* zdarzyć, który na wieść o cho-

robie rzucał stereotypowe powiedzonko: stare do nowego się nie czepia i bynajmniej nie zrezygnował z załatów. I tak źle i tak niedobrze. Żaden z członów alternatywy nie był zachęcający.

W *spectagu* przeżyć miłość było znacznie trudniej. Przez pierwsze pół roku, póki nie oddzielono nas od mężczyzn, kontakty nawiązywano tylko sporadycznie. Zamknięte na noc baraki uniemożliwiały spotkania po *odboju*. Nadzór był gęstszy, zresztą atmosfera nowego obozu, zwiększonego rygoru, bardzo ciężkich prac w ciężkim klimacie, szybko nasilający się głód wyjaławiał serce z wszelkich uczuć. Nie było już *blatnych*, intratnych propozycji, znikły *ženatiki*. Teraz ze spotkanym koło ambulatorium lub koło stołówki znajomym mężczyzną można było zamienić parę słów, podzielić się troską i nie więcej. A jednak i taki kontakt był potrzebny, gdy bowiem wznieziono płot, który odseparował męską i żeńską zonę, kobiety zaczęły tęsknić, nawet do tych niewiele znanych, z którymi się tylko raz porozmawiało. Byliśmy przecież na nowym łag-punkcie zebrani z różnych miejsc, jeszcze sobie *całkiem obcy*. Nie zdążyliśmy przez te pół roku nawiązać bliższych znajomości. Mimo to obfitość korespondencji przerzucanej wiazorami przez płot była nieprawdopodobna. Niemal każda chciała pisać, każda chciała mieć swego przyjaciela, który by jej przesłał kilka słów pociechy. Dziewczeta, które nikogo nie znały, szukały kontaktów przez pośredników. Chłopcy także pisali: czy nie ma u was Litwinki z okolic Poniewieża, chciałbym z nią korespondować. No i Litwinka się znajdowała i kontakt zostawał nawiązany. Wieczorne wędrówki pod płot, wymagające wielkiej ostrożności, aby oszukać wężącego przestępstwo reżimowe Skorpiona, było rozrywką niesłychaną. Dzielenie się wiadomościami zajmowało puste wieczory. Korespondencja nie urwała się nawet wówczas, gdy zamiast płotu zbudowaliśmy same wysoki *sumanny* mur i szeroką zabronowaną *zaprietkę*. Były specjalistki od przerzutu, wystarczył niewielki kamień.

Nastąpił więc czas miłości romantycznej, sentymentalnej, która mogła nie przeżyć jednego bezpośredniego spotkania. Wiem jednak, że niektóre kontakty przeżyły całe sześć lat obozu, rozstanie w zsyłce, by wreszcie spełnić się w małżeństwie. Tylko wyjątki miały takie szczęście. Miłość korespondencyjna była raczej samooszukiwaniem się, stwarzaniem sobie i partnerowi iluzji, z którą łatwiej było żyć. Tak łatwo sobie wmówić, gdy tak bardzo chce się kochać.

Niekiedy zdarzało się, że jakiś śmiałek, szalony, przeskoczy płot i skryje się w żeńskim baraku. Były to sporadyczne

wypadki, kończące się zazwyczaj długim okresem karceru. Skoczkowie nie budzili w nas sympatii, szukali zwykle byle kogo, aby dziewczyny, podczas gdy korespondenci woleli swych pań nie narażać na przykrości. Głód seksualny zaćmiewa umysł, prowadzi do nieobliczalnych czynów lub do zwyrodnienia. Miłość załatwiana gdzieś, byle jak, budziła w nas obrzydzenie. Kiedyś z Haliną wyszliśmy z łaźni, koło której tuż o piętnaście metrów ciągnął się płot. Było lato, niedziela, gorący dzień. Wszyscy kryli się przed słońcem. Przed dziurą w płocie na ziemi siedziała jedna z pracownic szwalni. Nogi miała rozkraczone, zadarte w górę, całą swoją nagą pupę starała się wcisnąć w deski. Z drugiej ich strony słychać było ni to jęk, ni to prośbę mężczyzny: *daj posmotriet, szyrie, szyrie*. — Tfu, splunęliśmy obie.

Jednocześnie kwitła zwykła prostytutka. Mogła mieć miejsce tylko za zoną, podczas pracy, wszędzie tam, gdzie żeńskie brygady spotykały się z wolnymi. Wolni byli najczęściej szoferami, czasem inżynierami, majstrami itd. Niektóre z kobiet nie gardziły też stosunkiem z naczelnikiem konwoju lub nadzorcami. Patrzyliśmy na te wyczyny na ogół z całkowitą obojętnością, starając się raczej o niczym nie wiedzieć. Najstarszy zawód świata zawsze, w każdych warunkach znajduje chętnych do jego wykonywania. Zmienia się tylko wysokość opłat. W obozie kawałek kielbasy był dobrą zapłatą. Co ciekawe, prostytutkę uprawiano także w obozie męskim, a klientkami były kobiety. Brygady zeków pracowały nieraz na dużych budowach całych mieszkalnych kwartałów albo wielkich zakładów fabrycznych. Zakamarków było tam pełno, nie do prześledzenia. Wolne kobiety zjawiały się wcześniej przed przybyciem brygad, chowały się starannie, by ich nie dostrzegli nadzorcy, kontrolujący zawsze rano całą roboczą zonę. Potem spotykały się z wybranymi. Odchodziły dopiero, gdy już nikogo nie było. Jak opowiadali mi koledzy, płaciły dobrze, przynosząc nie tylko żarcie, ale i rzeczy. Nie znajdowały jednak zbyt wielu chętnych, bano się choroby. Podobno były bardzo prymitywne i wulgarne. Co powodowało tymi kobietami, że mając wszystkie możliwości, jakich dostarcza wolne życie, ryzykowały dziesięciu latami więzienia? Czy przyciągała je uroda ogolonych głów, czy miłość z dreszczykiem niebezpieczeństwa? A może dla tych rosyjskich dziewcząt zek, polityczny, na ogół grzeczny, „kulturalny”, jak mówiono, był mimo okrywających go łachmanów czymś tak egzotycznym jak książkę z bajki? Hipoteza nie jest nieuzasadniona. Kto to wie. Spotykałyśmy na różnych pracach przez te lata wielu wolnych mężczyzn. Iluż z nich cechowała chamska gruboskórność! Czy mogli jej nie mieć? Musieli przecież sobie radzić w tej sowieckiej rzeczywistości, gdzie aby coś zdobyć, aby żyć, trze-

ba mieć nie byle jaką „siłę przebicia”. Byt określa świadomość, jak nas uczył Marks.

Utrudnione kontakty z drugą płcią sprzyjały wynaturzeniom. Homoseksualizm i miłość lesbijska to osobny rozdział. Te pary określano dosadnym zwrotem: *kobły*. Wśród mężczyzn panowała swobodnie i cynicznie, na zasadzie trochę sportu, trochę zabawy, rzadko się łącząc z sentymentalnym uczuciem. U kobiet było inaczej. Zetknęłam się z tą miłością już w pierwszym moim obozie. Była tam młodzieńca Litwinka, Grażyna, miała wyraźne skłonności safistyczne i nim się spostrzegłyśmy, wciągnęła w wir swoich zabaw najmłodszą z naszych Polek. Przykra to była sprawa, starałyśmy się bowiem wszystkimi siłami przeciwdziałać zaraźliwym wpływom. Bezskutecznie.

W obozach koedukacyjnych problem homoseksualizmu zniknął, w każdym razie nie dostrzegano go niemal u kobiet. Wystarczyła jednak przymusowa separacja z mężczyznami, aby zaczynał dawać o sobie znać. Co ciekawe, dojrzałe kobiety, mężatki, nie były nań podatne i przymusowy celibat znosiły dość dobrze. Ulegały zazwyczaj młode dziewczyny, jeszcze niewinne, nie znające miłości. Koło pięćdziesiątego roku *specobozy* zaludniły się „dwudziestopięciolatkami”. Na tyle lat opiewał wyrok. Duszone w ten sposób żywe i wciąż się odradzające ruchy nacjonalistyczne na Ukrainie, Litwie, w Estonii. Fala represji zagarniała przede wszystkim młodzież, która nie chciała uczestniczyć w komsomołach i gotowa była w każdej chwili do sabotażu, do walki wręcz, beznadziejnej co prawda, ale uporcezywej i okrutnej. Wśród tej młodzieży było pełno dziewcząt mających po siedemnaście, osiemnaście lat. Pochodziły zazwyczaj ze wsi, z ukraińskich chutorów rozrzuconych po Podolu i Wołyniu, otoczonych sadami, bogatą lessową ziemią, którą teraz zabierano ich rodzicom na sowchozy i kołchozy. W dwadzieścia lat po kolektywizacji w ZSSR przyszła kolej na oczyszczanie polskiej i ukraińskiej ziemi ze wszystkich jej synów, którzy chcieli żyć wolni. Była to masówka, aresztowano i sądzono naprędce setki tysięcy ludzi. Tyle młodych, tyle dzieci! W naszym obozie budowano szybkoitko nowe baraki. Sześć sekcji po sześćdziesięciu ludzi w każdej. To był pierwszy rzut. Za nim poszły inne. Żeński obóz, liczący początkowo około 500 kobiet, w niespełna dwa miesiące rozrósł się do dwóch tysięcy. Nowoprzybyłe prawie nie siedziały w więzieniu. Nie zdążyły więc zmienić się w *dochodiagi*. Wiejskie zdrowe dziewczyny chciały jeść, pracowały dobrze, nawykłe do ciężkiej pracy, i nie chciały patrzeć w przyszłość. Perspektywa spędzenia całej młodości w obozie była przerażająca. Właściwie odebrano im życie, i za co. Niektórym tylko za to, że podały swemu bratu, który się gdzieś ukrywał, kawa-

łekzek chleba. Inne i takiej przewiny się nie dopuściły. Wystarczyło, że ojciec miał dom, pole, bydło. A nawet jeśli wiele z nich miało sympatie banderowskie, lub nawet brało udział w banderowskich oddziałach, to czy nie miały prawa iść z braćmi i ojcami, skoro wydawało im się, że właśnie ta droga prowadzi do wolności? Nigdy nie miałam sympatii do Ukraińców, ich okrutne czyny budziły wręcz nienawiść. Tam nagle, z daleka od naszych ziem dostrzegłam zagubiony, nieszczęśliwy naród, który miał w sobie coś ze stepowego sokoła. Był piękny, gdy szybował ciesząc się mocą swych skrzydeł, i straszliwy, gdy spadając jak kula wpijał pazury w ciało zdobyczy. Ten naród chciał być wolny, tylko nie wiedział, jak dążyć do wolności.

Niełatwo zatrzeć dawne bolesne urazy. Wspólne nieszczęście bynajmniej nie pomaga w torowaniu drogi do wzajemnego zrozumienia. Stare konflikty narodowościowe bardzo ostro wybuchły w obozie, przy różnych nawet drobnych okazjach. Ukraińcy wymyślali Rosjanom, Polakom, ci nie zostawali dłużni. Gruzini nie cierpieli Moskali, darzyli sympatią Polaków. Chińczycy do wszystkich odnosili się z grzeczną rezerwą bez odrobiny sympatii. Ale wśród poszczególnych ludzi nawiązywały się kontakty, nawet jeśli pochodzili z wrogich sobie narodów. Miałam bardzo dobre stosunki z Ukrainkami. Lubiłam je. Były czyste, skrzętne, ładnie śpiewały i wyszywały, a ich zaciętość i nienawiść wobec ruskich nie pozwalała na żadne z nimi konszachty. Nie było wśród nich *stukaczek*<sup>5</sup>.

Przykro więc było patrzeć, jak niektóre z tych najmłodszych zawiązywały nagle związki między sobą. Co prawda nie było ich wiele i przypuszczam, że nie zostawiły po sobie większego psychicznego spustoszenia, choć nasycone były niemal historyczną żarliwością. Żarliwość ta budziła w nas niekiedy wesołość, częściej odrzę. Patrząc z dystansu mam wyrozumiałość dla tych dziewcząt, rozpaczliwie chwytających się namiastki miłości, byle tylko znaleźć zapomnienie i mieć poczucie bliskości z innym człowiekiem. Wówczas tej wyrozumiałości nie miałam i razem z innymi nieraz gęstą drwiną obsypywałam kochające się pary. Dla otoczenia były one nieznośne: szloch, spazmy, sceny zazdrości, rozpacz przy najmniejszym rozstaniu, nawet do innej brygady lub baraku. Reakcje gwałtowne, chorobliwe, jak cała ta miłość. Rzecz jest jednak dobrze znana, wielokrotnie opisywana, nie będę się na niej zatrzymywać dłużej. Pozwolę sobie tylko wspomnieć o jednej postaci, anegdotycznej, dla niejednej z nas wręcz śmiesznej i bardzo smutnej.

Spędziłam razem z Siergiejem Michajłowiczem w jednym obo-

5. Donosicielk.



zie sześć długich lat, wiązało nas coś w rodzaju zdystansowanej przyjaźni opartej na wzajemnym szacunku, choć niekiedy, przyznając, jego zachowanie budziło we mnie wesołość. Staralam się jednak tę wesołość hamować, nie ze strachu przed sporą wiązką *matów*, lecz ze współczucia. Należałam bowiem do nielicznych, którym opowiedział swą historię.

Piszę: on, jego, a przecież była to zwykła kobieta, jej prawdziwe nazwisko brzmiało Sofia Michajłowna Afanasjewa. Lecz także w oficjalnym formularzu dodano: vel Siergiej Michajłowicz. A więc trawestyta. Zawsze ubrany po męsku. Nosił wojskowy frenez, wojskowe spodnie i archaiczne buty ze sztylpami. Jak je zachował, gdzie je zdobył, należało do jego tajemnic. Włosy miał ostrzyżone krótko po męsku, nie ogolone, choć zgodnie z reżimem, skoro chciał uchodzić za mężczyznę, powinien był być wygolony na czysto. Zarostu oczywiście nie miał, natomiast cechowało go wiele męskich zdolności. Umiał majsterkować i lubił to. Zawsze go wzywano, gdy coś się zepsuło, gdy trzeba było naprawić jakieś drzwi, zamek, elektryczność i coś tam jeszcze. Niezmiernie był wówczas dumny, a usiłującym mu pomóc kobietom rzucał zwykle krótkie i wzgardliwe: Zostaw, to nie dla ciebie robota. Lekarze twierdzili, że pod względem anatomicznym był jak każda kobieta, podobno nawet kiedyś musiał rodzić, bądź miał poronienie. Niech no jednak która z nas weszła do łaźni, gdy się kąpał, podnosił krzyk pod niebiosą.

Siergiej Michajłowicz był tolerowany przez władzę. Raz tylko jeden z naczelników próbował go zabrać do męskiej zony. Wynikła z tego cała awantura, która zmusiła naczelnika do zamknięcia Sergieja w karcerze, ale do męskiej zony zabrać się go nie udało. Bał się zapewne nie tylko drwin prawdziwych mężczyzn, ale i czegoś gorszego. Tak więc żył między nami ten dziwny twór, stając się przedmiotem różnych opowieści, tym weselszych, że wiecznie był zakochany.

Jego najdłuższą, najtragiczniejszą miłością była Żenia. Inteligentna, kulturalna Rosjanka, Leningradka, przyjmowała hołdy z pobłażaniem, wyrozumiałością, a może nawet ze współczuciem. Siergiej nie był głupi, dużo wiedział, dużo czytał, choć nie miał właściwie żadnego porządnego wykształcenia. Rozmowa z nim odsłaniała zwykle pod pozorną gruboskórnością nieoczekiwaną subtelność, artystyczne wyczucie, refleksję drażnącą gdzieś w głębi wydarzeń i rzeczy. Można z nim było dyskutować, można się było od niego wielu rzeczy dowiedzieć. Żenia więc z nim rozmawiała, tak jak rozmawiałam ja czy Maryjka. Może właśnie z powodu tych rozmów dzisiaj go wspominam. Był jednym z nielicznych w obozie ludzi, który się nie bał zapuszczać

w analizie otaczającego nas systemu, ukazywać jego sprzeczności i paradoksy i sięgający korzeni fałsz. Nie miał złudzeń. Rosjanin z krwi i kości, na pewno przywiązany do swego narodu, umiał jednak oceniać go chłodno, nie szczędząc surowych ocen.

Nie jestem dziś w stanie powtórzyć jego wywodów ani argumentów. Nie wierzę też, aby ktokolwiek, po wielu latach, tego typu dyskusje i wynurzenia mógł odtworzyć z pamięci. Nigdy nie zapisywane, zacierały się stopniowo, pozostawiając po sobie tylko coś na kształt ogólnego wrażenia lub zarysu jednej czy dwóch ogólnych tez. W próbach odtworzenia zawsze brzmiały fałsz. Interesujące rozmowy Wata w więzieniu sowieckim są znakomitymi dialogami z samym sobą. Rodzą się one z rewizji własnych poglądów, z potrzeby usprawiedliwienia zachwianej wiary. Są literackim kamuflażem procesu zdejmowania łusek z własnych oczu. Jest to zawsze proces fascynujący, godny najwyższej uwagi. Lecz ja nigdy takich łusek nie miałam. Wychowana na samej granicy, w codziennym kontakcie z tymi, co uciekli z tamtej strony, błagającymi o prawo pozostania na każdych warunkach, aby tylko nie zostać odesłanymi znów do raj, wiedziałam, że nie ze Wschodu należy oczekiwać szczęścia dla ludzkości. Siergiej jest wart wspomnienia dlatego, że również tych łusek nie miał, a rzecz to była rzadka. Na ogół bowiem Rosjanie, nawet ci, którzy krytycznie odnosili się do nowego systemu (oczywiście w najgłębszej tajemnicy, z niesłychaną ostrożnością formułując jakże nieśmiałe uwagi), wierzyli, że może się zmienić na lepsze i przyjmie wreszcie idealne formy. Choćby cała rzeczywistość krzyczała przeciwko, człowiekowi jest ogromnie trudno pozbyć się myśli, do których się przyzwyczaił, którymi się nasycił i uznał w końcu za własne. Komunistyczna wiara jest jak rak, czasem i obozowa operacja nie zdoła usunąć przerzutów. Kto wie, czy chorobliwego procesu u niektórych nie przyspiesza. Tak mniej więcej mówił Siergiej. I dodawał: „Cierpię, wszystko straciły, ale niech no umrze Stalin, a będę płakać”. I po śmierci Stalina: „A nie mówiłem? Płaczą — Rosjanin nie ma oczu, jest ślepy, gorzej, nie umie myśleć sam, tylko według wskazówek, jak mu każą. Zanim zdanie wypowie, wpierv spyta, co na ten temat myśli Komitet Centralny”. Trafność tych uwag uderzała mnie. Ileż razy pytałam o jakieś zdanie któregoś z kolegów Rosjan. Zawsze słyszałam odpowiedź, może nie zupełnie szczerą, ale niemal automatyczną: „Trudno powiedzieć, nie jeszcze w tej sprawie w *Prawdzie* nie pisano”. Koniec, kropka. Nawet opinie literackie są kształtowane odgórnie. Mieć własny odrębny sąd — to odwaga ponad miarę. Ktoś ze śledezych powiedział mi kiedyś: Pani myśli w sposób niezależny, już tylko z tego powodu należy panią posadzić.

Siergiej często wdawał się w rozważania na temat rosyjskiej kultury. Tylko w wielkim skrócie mogę oddać jego tezy. „Każdy Rosjanin — mówił — to barbarzyńca, który tak niedawno został uwolniony spod jarzma mongolskiego. Przepojony jest więc żądzą odwetu, naturalnym imperialistycznym pędem, którego nic teraz nie powstrzyma. Podbić świat, tak właśnie, jak to czynili Mongołowie, oto cel jego działania. Jak potem trzeba będzie tym światem rządzić, jakie mu nadać formy ustrojowe, to sprawa drugorzędna. Komunizm wbrew temu, co się o nim myśli potocznie, nie jest bowiem żadną wizją organizacji społecznej ani politycznej. Jest on wyłącznie ideologią, która ułatwia znakomicie podbój. Został on ze względu na takie właśnie zadania odpowiednio zmodyfikowany, odbiega daleko od teorii Marksowskich, atrakcyjność jego polega na niedookreśleniu, łatwości, z jaką każdy rząd a nawet człowiek może nagiąć jego tezy do potrzeb chwili. Okazał się skuteczniejszym orężem niż otwarta imperialistyczna polityka carów. Nie łudźmy się, stworzył takie możliwości, których nie miał Piotr Wielki. Piotr marzył o przebicciu okna na Zachód. Nasi władcy o panowaniu nad Zachodem, ba, nie tylko nad nim. Co się dzieje wewnątrz kraju, Rosjanina dziś nie obchodzi, jak i nie obchodziło go dawniej. Rosjanin może głodować, siedzieć w więzieniu, być przesładowany przez własne władze, pęka jednak z dumy, gdy zobaczy, że czerwony kolor rozlewa się po mapie na nowo zdobyte terytoria. Mongolia, Korea, całe południe, zaraz będzie Afganistan i Zatoka Perska, a z drugiej strony Inflanty, marzenie Piotra, kraje bałtyckie, Polska. Czyż pani nie widzi, że gdybyśmy tylko myśleli o sobie, jak każdy normalny naród, gdyby nie ten dziki irracjonalny pęd, który nas ogarnia, moglibyśmy żyć spokojnie w węższych granicach, ale bogaci, niemniej bogaci jak Kanadyjczycy? Wszystko mamy, surowce, ludzi, i to zdolnych ludzi. Siły jednak, które ten kraj kryje, trwonimy na propagandę, zbrojenia, szerzenie dywersji tam gdzie tylko to możliwe. Po co? Komu to potrzebne? Przecież to postępowanie absurdałne. Gdzieś musi być tego postępowania przyczyna, gdzieś jest jego źródło. Proszę jednak pamiętać, że od czasów ruskiej wspólnoty indywiduum nic nigdy w Rosji nie znaczyło. Rosja nie zna liberalizmu, to był zawsze kraj panów i niewolników. Nawet tu, w obozie, Rosjanin albo chce panować, upokarzając innych, albo zmienia się w niewolniczą *sześciorkę*. Nie umie inaczej. To atawistyczny impuls, nie do pokonania”.

Próbowałam oponować, bronić Rosjan przed nim samym. Ale on się nie dawał zbić z tropu. Podczas jednej z takich rozmów opowiedział mi o sobie. Mowa była o starej rosyjskiej arystokracji. Śmiał się z niej, z jej blichtru, zewnętrżności, sno-

bizmu — przykrywających gnuśność i wiarę w ten stary ruski ideał, że jeżeli los nie dał mi być bogatym, to najlepiej siedzieć na przyzbie i siemeczki gryźć. Sam z tego środowiska pochodził. Czasem o nim mówił z goryczą, niemal ze złością: Cóż z tego, że ojciec jeździł po różnych uniwersytetach świata. Trochę tych książek przywoził, które czytałem ukradkiem. Jego największą pasją było zawsze polowanie. Cierpiał nad tym, że się urodziłem dziewczyną. Zabraniał mi nosić sukienki. Ostrzygł mnie na chłopaka i uczył konnej jazdy, fechtunku, strzelania. Chciał mieć syna. Przyzwyczałem się do bycia synem i to mnie uratowało. Jak przyszła rewolucja, zmiotła nasz dom, rodzinę, mnie jednemu udało się ukryć i uciec. W chłopięcym przebraniu wśród żołnierzy, rozbestwionej gawiedzi mogłem się jakoś utrzymać przy życiu. Pracowałem, gdzie się dało, czasem fizycznie, czasem w naprędcie organizowanych biurach wiejskich rad. Umiałem czytać, co się tej ciemnej masie wydawało czymś niezwykle cennym. Byłem więc nawet komisarzem w jakiejś tam małej mieścinie. I tak życie szło. Dobiłem się wreszcie lepszej pracy, zacząłem nawet chodzić do wieczorowej szkoły, aby uzupełnić wykształcenie, choć okazuje się, że książki w domu ojca dały mi więcej wiedzy niż ówczesny zakres dziesięciolatki. A gdy koledzy się śmiali, że nie mam kobiety, to spróbowałem. I tak poszło, sam nie wiem jak.

Potem przyszła wojna. Zmobilizowano go, i rzecz się wydała. Chciano go posłać na front jako sanitariuszkę, on chciał zachować swoje męskie szatki, uchodzić za felczera. Nie potrafił już inaczej. Posądzono go wpierrw o próbę dezercji, potem o szpiegostwo, i znalazł się na dalekiej północy.

Jak każda lesbijka, Siergiej był sentymentalny. Przychodził do baraku Żeni, siadał na taborecie i patrzył jej w oczy. Widocznie pewnego dnia miała już dość wzdychań i miłosnych spojrzeń. Nie chciała też przyjąć bułeczek, które gdzieś zdobył z za zony. Wrócił więc zdruzgotany do sekeji. Nie wiem, czy to była poza, czy rzeczywisty akt rozpacz, ale nagle jednym ruchem rozdarł na piersi poły frencza, aż się posypały wszystkie guziki. Potem położył się, kryjąc twarz w poduszce. Dziewczeta trochę się śmiejąc zebrały guziki, rzucony na ziemię frencz i zajęły się jego reperacją. Siergiej przeleżał, nie mówiąc do nikogo ani słowa, aż do *odboju*. Gdy jednak tylko barak zamknięto i dziewczęta zaczęły układać się spać, wyjął wzgardzone bułeczki i zaczął je zajadać jedną po drugiej. I tak go widzę, w męskiej gimnastycznej podkoszulce, bez stanika, z widocznymi pod białą płaskimi długimi piersiami, ze zmierzwioną siwą czupryną zajadającego bułeczki. Dialektyczne pomieszanie mądrości i nierozumu, dramatu i śmieszności.

A miłość zakonna, czyli ta uznana przez prawo? Cóż o niej napisać można, skoro właśnie ona, ta zwykła, ta najgłębsza, była spod prawa wyjęta. Aresztowani razem małżonkowie, rodzice i dzieci, rodzeństwo, mogli być pewni, że zostaną rozrzućeni po najrozmaitszych obozach, jak najdalej położonych od siebie, aby się nigdy nawet przypadkiem nie spotkać. Nie będą o sobie nawet wiedzieli, gdzie są. Czasem przez kogoś na wolności, z kim się utrzymuje korespondencję, dojdzie niezauważona przez opera wiadomość, że mąż żyje, że się ma dobrze, że zdrow. Najczęściej jednak nieubłagana ręka cenzora wymaże te słowa lub cały list wyrzuci do kosza. I płyną dni, miesiące, lata, a żadna z nas nie wie, czy jest już wdową, czy jest sierotą, czy może umarło jej najdroższe dziecko. Do tej miłości lepiej się nie przyznawać. Służy ona bowiem jako szantaż w śledztwie, najstraszliwszy szantaż. Złośliwe oczy śledczego wpijają się z lubością w ofiarę, gdy mówi: *Niczewo, mołczy. Uże my twojewe muža dostatočno prokatili, on wsio skazał.* I cierpnie skóra od tych słów, od bezsilności i tylko jedna myśl się kołacze, nie poznać, że to aż tak boli.

Nie ma też większej radości jak krótka wieść. Radością tą dzielimy się wzajemnie. To jakby święto. Ci, co dostają listy regularnie, są szczęśliwi, zawsze coś zostanie przemycone. Listy przychodzą zresztą też od tych kochanych, którzy zostali na wolności, są jakby promyckiem ciepła, ogrzewają nasze zziębnięte serca. W *specobozach* jednak listy te przechodziły bardzo rzadko, nam zaś wolno było pisać tylko dwa razy w roku. Dwa razy i to krótko, bo znów oper lub cenzor nie zadadzą sobie trudu, by cały długi list przeczytać i ewentualnie tylko jakieś słowo skreślić. Nie, wrzuci list prosto do kosza. Więc trzeba pisać tak — oczywiście tylko po rosyjsku, inne języki nie są dozwolone — jestem zdrowa, nie mi nie brakuje. Trochę się niepokoję o Janka (Janek siedzi). Całuję, myślę i podpis. List złożony w trójkącik, bo kopert nie ma, napisany na obskurnym papierze do pakowania, idzie w świat, jako ten jedyny ślad, że jeszcze żyjemy.

Litwinki, Ukrainki otrzymują listy. My Polki już prawie wcale, do Polski pisać nie wolno, z Polski także. Jeżeli jeszcze ktoś został po tej stronie, to stara się przejmować od wyjeżdżających repatriantów korespondencję. Każdy następny list jest podpisany przez nową nieznaną mi osobę, która mnie zawiadamia o wyjeździe poprzedniej. O rodzinie nic, albo wzmianka, że podobno wszystko dobrze. My Polacy jesteśmy zupełnie odcięci od świata. Niemcy piszą. Mają prawo przysyłać korespondencję przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż. Bodajby to być zwyciężonym. Rzekomi zwycięzcy skazani są na niepokój i nieustanną tęsknotę.

Jednakże nasz los jest pod pewnym względem lepszy aniżeli braci Rosjan. My jesteśmy pewni, że nasze rodziny o nas myślą, że się nas nigdy nie wyrzekną, przeciwnie, że są zdolne ponieść wszystkie ofiary, by nas ratować. Prawo wobec naszej miłości jest bezsilne. Może nas rozdzielić, ale nigdy nie zmusi do zapomnienia. U Rosjan jest inaczej. Ich miłość jest przeciwko prawu. Kochać zeka, to ściągnąć na siebie podejrzenia. Czuła na ten fakt jest niemal wyłącznie inteligencja. Prości kołchoźnicy i robotnicy piszą, widocznie nikt nie próbuje wobec nich nacisku, albo się dobrze przed nim bronią. Wystarczy jednak zajmować w hierarchii sowieckiej jakie takie stanowisko, a postawy ulegają radykalnej zmianie. Żona przysłała mężowi wiadomości, że się już z nim rozwiodła. Ojciec zawiadamia oficjalnie syna, że przekreślił wszystkie łączące ich więzy. Czasem jako odpowiedź na szereg listów wysyłanych uparcie przez zeka przychodzi tylko notatka z sądu, że tow. taki i taki nie chce znać takiego a takiego i że nie uważa go za członka swej rodziny. Takie zawiadomienie zek czyta w kółko, pokazuje innym, nie może uwierzyć, nie chce uwierzyć, broni się przed tym faktem, bo nie wie, jak będzie mógł dalej żyć, jak przetrwać opuszczenie, potępienie tych najbliższych, których jeszcze nie wydarł z serca, a którzy tak bezwzględnie wydarli go ze swoich serc. Miłość rodzinna jest nicią łączącą nas z wolnością, domem, normalnym życiem, czymś lepszym, czymś, dla czego trzeba przetrwać, trzeba znieść, żyć. Gdy nić zostaje zerwana, życie traci cel. Wyjść z obozu, to znaczy wrócić. Zek nie mówi nigdy „pojadę do domu”, lecz „wrócę”. I nagle nie ma powodu, nie ma do kogo. Nie można zawołać w swych gorączkowych, pełnych tęsknoty nocnych majaczeniach: czekaj, wrócę. Nikt już nie czeka.

Zmartwiały z bólu zek jeszcze przez parę miesięcy będzie się łudził. Może tak powiedzieli dla niepoznaki, może ich zmuszono, może znajdują jakąś drogę, żeby mi powiedzieć, że to nieprawda. Gdy przynoszą listy biegnie i czeka, czy nie zostanie wywołany. Sprawdza gorączkowo listę adresatów paczek. Nigdzie jednak nie ma jego nazwiska. Powoli prawda dociera do wciąż broniącej się przed nią duszy. Za nią zaś skrada się apatia, pierwszy krok ku nieuniknionemu upadkowi. Zek przestaje walczyć, skoro wszyscy go się wyrzekli! Milczący, nie protestujący przed nieubłaganym prawem silniejszego, na coraz gorszych pracach, na coraz gorszych *pajkach* staje się cieniem samego siebie. Iuż takich opuszczonych umiera. Tylko nieliczni swój gniew, swoje oburzenie przetapiają w siłę życia i przeżycia, z myślą o zemście. I ciśnie się na usta pytanie: Kto jest tu zbrodniarzem? Czy ten zek, choćby nawet popełnił przestępstwo wobec panu-

jącego sowieckiego prawa, czy ci co to prawo ustanowili, zmuszając jego rodziny do haniebnych czynów? Zbrodnia i kara, ulubiony temat rosyjskiej inteligencji. Czyż jeszcze nie zrozumiała, że zbrodnia jest tam na zewnątrz otaczających nas drutów, a kara przede wszystkim dla niej i nie w jednym wymiarze.

Na tym powinien skończyć ten traktat psycho-socjologiczny. Byłby on jednak niepełny. Zabrakło tu jeszcze jednego — miłości do zwierząt. Nie było ich w obozie. Od czasu więzienia, gdzie obserwowałam bawiące się koty, żadnego kota, psa nie widziały moje oczy, tylko ptaki gdzieś wysoko na gałęziach.

Nieprawda. Psy były, ale tylko te, które szły obok nas na smyczy, których lubić nie można było, które były dla nas dobitnym wytworem wynaturzonej rzeczywistości. Te psy dyszały nienawiścią, chęcią mordy. Były groźniejsze niż ich panowie. Gdyby zaś jakieś domowe zwierzę przedarło się przez ogrodzenie, zostałyby natychmiast zabite i pożarte. W Tu, gdzie tyle było głodomorów, opowiadano tylko po cichu o schwytanym psiaku lub kocie. Brr, pieczono nawet na ognisku szczury. Głodny zek zje wszystko, co mu pod rękę popadnie. W K. jednak *blatnych* nie było, a po śmierci Stalina reżim jak gdyby nieco zelżał. I wtedy, pamiętam, zjawił się w cegielni beapański pies, zwykły kundel. Został od razu przyhołubiony przez dziewczęta. Karmiły go jak mogły, same sobie odejmując od ust. Pies był miły, warczał na ludzi w szynelach, miał mentalność naszą, bez zaufania dla obozowych władz i tylko nas się trzymał. Oswoił się tak bardzo, że nie chciał zostawać w cegielni sam. Weiskał się w środek kolumny i naprawdę cudem przebiegał wachtę, szczęśliwy, że jest razem z nami w zonie. Radość nam sprawiał ogromną. Z kuchni dostawał najlepszą zupę. Jak tylko ktoś miał paczkę, zaraz go wołał, nie żałując najsmakowitszych kąsków. Ukrainki wołały na niego Rex, Rosjanki — Czurik, a on zdawał się rozumieć wszystkie nazwy i wszystkie języki.

Niestety, kiedyś rzucił się na jakiegoś oficera. Kazano go natychmiast wygnąć z obozu. Dziewczęta go ukryły, a następnego ranka przemyciły w kolumnie za żonę i mądra psina biegła za nami w dostatecznie dużej odległości, aby konwój nie mógł do niej strzelić. Przyszedł do cegielni, przekradłszy się pod drutami i przez kilka dni byliśmy o niego spokojne. Ale niedziela była wolna i widocznie nudził się sam, lub był głodny, bo przyszedł nagle do obozu. Dostrzeżono go z wyszki i za chwilę cała wataha żołnierzy rozpoczęła obławę. Znalaziono go. Mimo próśb, mimo płaczu wyprowadzono go na rzemieniu poza druty i tylko usłyszałyśmy strzał. Nawet psa nie wolno nam było kochać.

Wiktorja KRAŚNIEWSKA

## Rano, rano, raniutko

Hrabia obudził się i pomyślał, co zrobi tego dnia.

— Zrobię postęp — postanowił.

Ale uświadomił sobie, że jego plan, wyrażony w takiej formie gramatycznej — w pierwszej osobie liczby pojedynczej czasu przyszłego dokonanego — przedstawia się wątpliwie pod względem stylistycznym, śmiesznie wręcz. Spróbował więc w czasie również przyszłym, lecz niedokonanym — będę robił postęp — ale wyszło jeszcze śmieszniej.

— Co u diabła, postęp to rzecz dobra, chcę zrobić dzisiaj dobrą rzecz, a brzmi głupio.

— Zobaczymy, jak to wygląda w czasie teraźniejszym. — I rzekł głośno:

— Robię postęp.

Zabrzmiało tak niezręcznie, że aż się rozejrzał, czy ktoś go nie słyszy, choć wiedział, że jest sam. — To może w czasie przeszłym? — zaproponował sobie ostrożnie. Ostrożność okazała się wskazana. Bowiem ani „robiłem postęp”, ani „zrobiłem postęp” dobrze nie brzmiało.

Hrabia nie dał za wygraną. Przyszło mu do głowy, aby użyć postępu w liczbie mnogiej. „Zrobię postępy” — coś nie tak. „Będę robił postępy” — też niedobrze. A więc nawet w liczbie mnogiej postęp nie nadawał się do przyszłości. Dopiero kiedy Hrabia rozważył zastosowanie postępów obecnie: „Robię postępy”, oraz w czasie przeszłym: „Robiłem postępy”, „zrobiłem postępy” — zgadzało się.

— Ciekawe — pomyślał Hrabia. — Postęp zmierza ku przyszłości, a tymczasem za nic nie da się zastosować w czasie przyszłym. Tylko w czasie przeszłym, czyli w przeszłości czuje się

dobrze. Ale przeszłość, to przecież wsteczność. Doprawdy, nie rozumiem tego.

Lecz zaraz napała Hrabiego jeszcze poważniejsza wątpliwość.

— Przecież jeden jest tylko Postęp jak jeden jest Allah. A jednak nie da się go zrobić ani w czasie przyszłym, ani teraźniejszym, ani przeszłym. Czyżby więc jednak było wiele rozmaitych postępów? Nie, nie, to herezja. Ale i na rozum biorąc, wiele rozmaitych postępów, to czysty nonsens. Bo każdy postęp musi być do przodu, inaczej nie byłby postępem, a więc wszystkie postępy są w tym samym kierunku. A jeżeli w tym samym kierunku, to niczym się nie różnią między sobą i wszystkie razem tworzą jeden tylko, ogólny i niepodzielny na boki Postęp.

To jasne. Ale dlaczego w takim razie tylko w liczbie mnogiej da się zrobić, a w pojedynczej — w żadnym wypadku? I dlaczego nawet w liczbie mnogiej nie da się użyć w przyszłości, dlaczego nie da się zaplanować?

— Jak się nie da, to się nie da — pomyślał Hrabia. A głośno powiedział:

— Ja chciałem dobrze.

Następnie wstał z łóżka i zajął się czym innym.

*Sławomir MROŻEK*

NOWOŚĆ WYDAWNICZA „LIBELLI”

**HANNA KRALL**

**„SUBLOKATORKA”**

**Powieść**

Opinia o książce otrzymana z Kraju:

... „Dzieło literackie niepospolitej wartości. Jest to jedna z najlepszych książek polskich powojennego 40-lecia. Książka jest wielka przez swoją wymowę społeczną, moralną i nawet sens metafizyczny”...

Cena F. 65,00.

**„LIBELLA”**

**12, rue Saint-Louis-en-l'Île — 75004 Paris (France)**

Tel.: 326-51-09.

Książki wysyłamy na cały świat.

## Archiwum polityczne

### Ameryka Łacińska

Geograficznym określeniem Ameryki Łacińskiej objęte są gigantyczne obszary trzynastu państw Ameryki Południowej, sześciu krajów Ameryki Środkowej, archipelagu wysp basenu morza Karaibskiego oraz Meksyku, należącego do Ameryki Północnej. Te tereny liczą łącznie około 20 milionów kilometrów kwadratowych, czyli są czterokrotnie większe od Europy i są zaludnione przez ponad 400 milionów mieszkańców. Losy tego super-kontynentu są na ogół niezrozumiałe dla ludzi mało znających tę część świata i specyficzną metalność tutejszych ludzi, straszliwie biednych i dziko dumnych. O Latynosach mówi się na ogół z pobłażliwością albo z domieszką pogardy jako o ludziach absolutnie niezdolnych do zorganizowania swych krajów, bo wiecznie trawionych sprzecznościami ideologicznymi. Rzeczywistość jest inna i mało kto zdaje sobie sprawę z tego, że źródłem wszelkiego zła jest powszechna nędza i krzycząca niesprawiedliwość społeczna. Krzyżują się tu najrozmaitsze prawdy i „prawdy”, utrudniające wyciąganie wniosków absolutnych. Konflikty są wielorakie: Propaganda komunistyczna, natrafiająca na podatny grunt rozgoryczenia; teologia wyzwolenia, niezgodna z tezami Watykanu, ale z pewnością humanitarna w swych założeniach; produkcja i handel kokainą; niesprawiedliwość społeczna, jako źródło nienawiści; głód, nędza i bezrobocie — oto są chyba najważniejsze rozsądki buntu upośledzonych i opuszczonych, liczących setki milionów ludzi. Trudno więc te wszystkie zjawiska podsumować jako konflikty ideologiczne. Są to raczej sprzeczności socjalne, gospodarcze, religijne czy etniczne, bo nawet niezliczone zamachy stanu przeprowadzane przez wojsko — przy przychylnym poparciu, a czasem przy bezpośredniej pomocy czynników zagranicznych — używają formułek

i hasęł ideologicznych jedynie jako przykrywki dla przejęcia władzy, a w rzeczywistości służą wzbogacaniu się skorumpowanych przywódców, w zamian za obronę ich potężnych protektorów ze świata wielkiego businessu.

### *Rasowa mieszanina Latynosów*

Właściwie czysta rasa Latynosów nie istnieje. Mieszkańcy Ameryki Południowej i Środkowej składają się z Indian i ich potomków, z wnuków czarnych afrykańskich niewolników, z hiszpańskich kolonizatorów i z kolorowej mieszaniny, sformowanej przez tych kolonizatorów, a więc Mulatów, Kreolów i Metysów. Poza tym od kilkudziesięciu lat w całej Ameryce Łacińskiej istnieje silna imigracja Arabów, Japończyków, Włochów, Portugalczyków, Niemców, Polaków i Ukraińców. Wszyscy są dokładnie zasymlowani i uważają się za pełnych Latynosów. Brazylia jest jedynym krajem skolonizowanym przez Portugalczyków. Ponieważ nie wolno im było przywozić rodzin, żyli z czarnymi niewolnicami, tworząc piękną rasę Mulatów. Dziś potomkowie starych rodów, tak zwani „Czterystoletni” mają jakąś domieszkę swego pochodzenia, kolor „kawy z mlekiem”. Dlatego chętnie poprawiają swoją genealogię, przyznając się do pochodzenia od sefardyjskich Żydów, którzy zdołali uratować się od Inkwizycji i znaleźć schronienie w Brazylii.

Kraje Ameryki Łacińskiej obfitują we wszystkie bogactwa mineralne, posiadają miliony hektarów uprawnej ziemi, hodowlę zwierząt, miliony ryb, wielką sieć rzeczną — wszystkie zatem warunki rozwojowe. Zapewne na przeszkodzie stoi parzące słońce tropiku, odbierające ludziom energię i chęć do wysiłku. Lenistwo jest tu cnotą.

W Buenos Aires mówi się żartobliwie: Argentyna posiada wszystkie elementy dobrobytu. Ma nadwyżki zboża, nadwyżki mięsa, nadwyżki nafty. Ale Pan Bóg w swej niezmiernej mądrości chciał zachować równowagę i sprawiedliwość i dlatego zaludnił ten kraj Argentyńczykami.

### *Ale Ameryka Łacińska to wielki rynek*

Prawdopodobnie wielkie bogactwa naturalne z jednej strony, a nieudolność czy lenistwo mieszkańców z drugiej sprawiły, że mimo pobłażliwości czy pogardy, możni tego świata są głęboko zainteresowani krajami Ameryki Łacińskiej.

Weźmy dla przykładu Brazylię, która liczy dziś 130 milionów

mieszkańców. Ma ona około miliona prawdziwych miliardów i około 4 milionów ludzi bogatych. Ma też około 35 milionów przedstawicieli klasy średniej, 50 milionów niezamożnych i biednych i 40 milionów żyjących w stanie absolutnej nędzy, poniżej minimalnych warunków przeżycia. Otóż te pierwsze trzy kategorie, bardzo bogatych, bogatych i średnio zamożnych, tworzą 40 milionów potencjalnych konsumentów. Ile jest na świecie krajów, które posiadają 40 milionów ludzi zdolnych do kupowania samolotów, jachtów, samochodów, telewizorów, ale również mydła, wody kolońskiej czy rannych pantofli? Ile jest krajów posiadających klientów dla turystyki, kin, teatrów czy restauracji w tak wielkiej ilości? Te wszystkie dobra czy usługi mają zapewniony rynek nie tylko w Brazylii, ale w Argentynie, w Wenezueli, w Chile, w Kolumbii czy na Kostaryce. Ale w tym miejscu otwiera się straszliwy rozdział niesprawiedliwości, gdyż normalne życie jest dostępne jedynie dla ograniczonej ilości mieszkańców, a większość ich — ogromna większość — żyje w upodleniu nędzy. Luksus obok nędzy.

Weźmy raz jeszcze przykład Brazylii, która zajmuje połowę całego obszaru Ameryki Południowej, druga połowa należy do dwunastu innych państw. Po Rosji, Chinach i Kanadzie Brazylia jest największym krajem świata. Obejmuje 8,5 milionów kilometrów kwadratowych, z których ponad 40 % stanowi basen dżungli amazońskiej. Brazylię trudno jest zaliczyć do typowych krajów Trzeciego Świata. W południowych i centralnych stanach ludzie żyją w pełnym rozwoju przemysłowym i kulturalnym. Osiem fabryk samochodów, dwie fabryki samolotów, trzy fabryki broni. Ogromny przemysł chemiczny i metalurgiczny, rozwinięta sieć banków, wspaniała architektura, sztuka, teatry, muzyka, muzea. Wytworne hotele, elitarne kluby, kosztowne lokale nocne. A na północnym wschodzie kraju mieszka 40 milionów ludzi w wieloletniej już suszy, przymierających głosem, przy 18 % śmiertelności dzieci w pierwszym roku życia — z niedożywienia. Te bezrolne rodziny nędzarzy posiadają po ośmioro, dziesięcioro dzieci, które w wieku kilku lat idą w świat, wałęsając się w poszukiwaniu jedzenia. Znajdują je w żebraniu, kradzieży, napadach.

Mimo wszystko zainteresowanie Ameryką Łacińską jest ogromne. Amerykański, japoński i zachodnioeuropejski przemysł inwestycyjny tkwi głęboko zarówno w Ameryce Południowej jak i w Środkowej. Dziś cały ten kontynent znajduje się w trudnościach finansowych, jest łącznie winien 350 miliardów dolarów, czego nigdy nie zdoła zapłacić. Ale skąd pochodzą te wielomiliardowe zobowiązania? Dyktatury, rządzące przez dziesiątki lat w większości krajów łacińskich, chciały się „wykazać” rozwojem, postępem, rozmachem. Ale dokarmianie dzieci, leczenie chorych

czy budowanie wiejskich szkół nie dawało odpowiedniego rozgłosu. Stawiano więc supernowoczesne wieżowce, gmachy ministerialne, pałace rządowe. Podpisywano międzynarodowe kontrakty na miliardowe dostawy, zakupywano okręty i statki, sprowadzano nowoczesną broń, biorąc przy tym wielkie łapówki. Brazylia podpisała kontrakt z Niemcami na budowę ośmiu stacji energii atomowej. W Argentynie wykryto, że z 48 miliardów dolarów zagranicznych długów, członkowie junty wojskowej ukradli 9 miliardów dolarów oraz zabrali cały dochód osiągnięty z olimpiady w roku 1978, a generałowie boliwijscy w ogóle nie księgowali dochodów osiągniętych z eksportu kokainy.

Nigdy nie istniały jakiegokolwiek trudności z otrzymaniem pożyczek zagranicznych. Bankierzy wierzyli, że mocne autorytatywne rządy są dostatecznymi gwarantami bezpieczeństwa ich pieniędzy. Toteż nie należy się dziś zbyt rozczulać nad losem biednych bankierów międzynarodowych. Bankierzy są też kupcami, którzy sprzedają swój towar, którym jest pieniądz. I jak wszyscy inni kupcy, chcą sprzedać swój towar po najlepszych cenach. Nie ma na pieniądze lepszych cen niż w krajach Ameryki Łacińskiej, bo poza normalnym oprocentowaniem bankierzy pobierają dodatkową stawkę ryzyka, tak zwany *spread*, który zależy od sytuacji kraju wynosi od 1,5 % do 2,5 % rocznie. Tak więc dług Argentyny, wynoszący 48 miliardów dolarów, przynosi tym bankierom — poza normalnym oprocentowaniem — jeszcze około 720 milionów rocznie, a astronomiczny dług Brazylii, wynoszący 100 miliardów dolarów, jest dodatkowo obciążony stawką ryzyka w sumie 1,75 miliardów dolarów. Zresztą trzeba wiedzieć, że żadnemu bankowi nie zależy na spłacie kapitału. Bo co by zrobili, gdyby na przykład Brazylia spłaciła jutro 100 miliardów? Włożyliby te pieniądze do kas bankowych? Musieliby natychmiast szukać nowych nabywców pieniądza, bo naczelną zasadą bankową jest, że pieniądz nie może leżeć bezczynnie, a nikt nie może zagwarantować, że następny klient byłby lepszy od poprzedniego. Wiadomo więc, że żaden bank nawet nie porusza sprawy spłaty kapitału, a chodzi wyłącznie o regularne spłaty procentów. I tu leży cały dramat, ponieważ kraje zadłużone nie są w tej chwili zdolne do spłacania miliardowych opłat procentowych, bez odpowiednich nadwyżek eksportowych. Ale amerykańscy eksporterzy i ich banki domagają się punktualności w spłatach procentów, podczas gdy amerykańscy importerzy, w obawie przed zagraniczną konkurencją, starają się, poprzez swe wpływy w administracji państwowej, obłożyć barierami celnymi towary importowane do Stanów Zjednoczonych. Kraje dłużnicze, nie mogąc wydatnie zwiększyć swego eksportu muszą szukać budżetowych nadwyżek w ograniczaniu importu, co prowokować musi

dalszy zastój, wzrost bezrobocia i inflacji. W tej chwili jedynie Meksyk potrafił spłacić zaległe raty procentów, a wszystkie inne kraje starają się w bezpośrednich naradach znaleźć jakieś praktyczne wyjście. Takim wyjściem, w mniemaniu krajów dłużniczych, byłoby przejście rokowań z wierzycielami przez zainteresowane rządy, które wzięłyby pod uwagę niebezpieczeństwo nowych konfliktów społecznych, gdyby zaspokojenie żądań bankierskich miało oznaczać gwałtowne ścinanie budżetów rządowych, redukcję pracowników i niemożność podwyżek zarobków, niezbędnych przy szalejącej wszędzie inflacji.

### *Amerykofobia*

Oto jeden z głównych powodów zjawiska znanego pod nazwą Amerykofobii, istniejącej w Ameryce Łacińskiej. Stany Zjednoczone są tu ironicznie nazywane „Centralą” a kraje dłużnicze filiami tej Centrali.

Początek wszystkiemu dał prezydent Teodor Roosevelt, który wymyślił teorię *big stick*, zakładając w sposób raczej cyniczny, że o wiele lepiej i taniej jest skorumpować jednego generała-dyktatora, niż udzielać pomocy całemu narodowi. Tak się to zaczęło i przez wiele dziesiątków lat — aż do późnych lat sześćdziesiątych — istniały jedynie trzy czy cztery państwa tego kontynentu, żyjące w ustroju demokratycznym, podczas gdy dziesiątki krajów Ameryki Południowej i Środkowej pozostawały we władzy generałów. Waszyngton był zadowolony, bo wszędzie był zaprowadzony „porzudek”. Choć dzisiaj jedynie pięciu dyktatorów rządzi nadal w Chile, w Paragwaju, na Kubie, w Haiti i w Surinamie (dawna Gujana holenderska), to nic się już nie zmieniło w mentalności Latynosów i lepiej albo gorzej skrywana nienawiść do Stanów Zjednoczonych nadal kwitnie.

Jakie są powody takiej nienawiści? Najlepiej charakteryzuje ją ten stary przykład amerykańskiego dziennikarza, który zaraz po zakończeniu drugiej wojny światowej pracował w Paryżu. Zapytał kiedyś francuskiego taksjarza dlaczego Francuzi tak nienawidzą Amerykanów. Z całym spokojem taksjarz odpowiedział: „Dlatego, że wy nam dajecie pieniądze”. Ta odpowiedź nie powinna nikogo dziwić, tak było zawsze zarówno odnośnie narodów jak i prywatnych ludzi. Na ogół nikt nie lubi własnych dobroczyńców i czuje antypatię do bogatych krewnych; choć wypada okazywać im wdzięczność, to jednak po otrzymaniu pomocy czuje się do nich niechęć, wynikającą oczywiście z kompleksu krajów biednych i ludzi biednych.

Opinia publiczna w Ameryce Łacińskiej jest w tej chwili skoncentrowana na sytuacji w Nikaraguy i w El Salvadorze. Gra prowadzona na linii Ronald Reagan - Daniel Ortega jest przedmiotem wysokiego napięcia i bezustannych dyskusji, zajmując naczelne miejsca w prasie. To już nie tylko depesze i wiadomości agencji prasowych i sieci telewizyjnych, lecz codzienne wielokolumnowe komentarze i artykuły wstępne, naświetlające obecną sytuację i jej dalszy rozwój i rozważające prawdziwe przyczyny dramatu, snując najróżniejsze przypuszczenia na przyszłość. Ta prasa — niekiedy lewicowa, ale i demokratyczna, liberalna czy konserwatywna — stoi na pozycjach nacjonalistycznych (w Brazylii nawet komuniści nazywają siebie nacjonalistami, gdyż pomagają im to w propagandzie antyamerykańskiej) i jest raczej jednoznaczna w swych krytykach obecnej polityki Waszyngtonu w Ameryce Środkowej. Tego rodzaju zgodność opinii wcale nie oznacza obrony marksizmu sandynistów czy działalności kubańskich komunistów, natomiast stwierdza, że metody Stanów Zjednoczonych są katastrofalne, bo w jedynym możliwym wyniku mogą doprowadzić do zbombardowania Managuy i inwazji Nikaraguy. Dla opinii amerykańskiej byłby to nowy tragiczny Wietnam.

Brałem udział w sympozjum brazylijskich pisarzy politycznych, zorganizowanym przez związek dziennikarzy. Sympozjum było poświęcone sytuacji w Ameryce Środkowej. Specjalny wystąpienie tygodnika *Isto é*, który powrócił z Managuy, opowiadał o działalności tajemniczej postaci nazywanej „Kapłanem Śmierci”, popularnej w obozach wojskowych w Hondurasie. Jest to amerykański major rezerwy, którego misja polega na rozpętywaniu akcji dywersyjnej na tak wielką skalę, aby nie było już od niej odwrotu. Uprzednio stworzona organizacja bojowa pod nazwą „La Tripartita”, w składzie: Stany Zjednoczone jako projektodawca i finansista, Argentyna, jako centrum wyszkolenia i Honduras ze swym terenem, nie przyniosła spodziewanych wyników. Argentynscy instruktorzy, pełni okrucieństwa nabytego w czasach ludobójstwa w ich kraju, rozpoczęli walki uliczne w nadgranicznych miasteczkach, a Amerykanie byli zaniepokojeni negatywnym obrazem antysandynistów, czyli „Contras”, których cały świat rozpoznawał jako ultra-prawicowych członków zbrodniczej gwardii narodowej generała Somozy. Wtedy tajemniczy „Kapłan Śmierci”, na wyraźny rozkaz dyrektora CIA Williama Caseya stworzył nową jednostkę elitarną pod nazwą „Latino”, złożoną z ochotników z Boliwii, Peru i Ekwadoru. Ta nowa organizacja przeprowadziła napady na składy ropy w Corinto i w Puerto Sandino i pomagała Amerykanom w zaminowaniu tych portów. Z wielogodzinnego seminarium w Rio de Janeiro można było wyciągnąć następujące wnioski: Sekretarz Stanu George Shultz umyślnie stawia coraz

wzrastające wymagania, co utrudnia jakiegokolwiek pokojowe rozwiązanie. Prezydent Reagan zażądał wyrzucenia z kraju wszystkich asesorów sowieckich i kubańskich oraz zredukowania stanów armii. Wreszcie Reagan postawił kropkę nad „i” i wyraźnie zaznaczył, że jego celem jest obalenie rządu Ortegi, chyba że przyjmie wszystkie warunki Waszyngtonu. Daniel Ortega, z którym rozmawiałem w Rio de Janeiro, jest człowiekiem niesympatycznym, ale raczej sprytnym politykiem. Mówiąc o żądaniu Reagana obniżenia stanów wojska, Ortega ironicznie zapytał czy to żądanie miałooby oznaczać że Stany Zjednoczone obawiają się inwazji Nikaraguy.

Nikt poważnie myślący nie przeczy, że Nikaragua i El Salvador pozostają pod silnymi wpływami komunizmu. Nikt nie próbuje lekceważyć polityki eksportu komunizmu i wszyscy rozumieją, że bazy wojskowe Związku Sowieckiego tuż pod bokiem Stanów Zjednoczonych stanowią niebezpieczeństwo, z jakim Waszyngton musi walczyć. Natomiast w zgodnej opinii politologów, publicystów i polityków łacińskich uważa się, że rząd prezydenta Reagana nie odróżnia przyczyn od skutków i że wbrew uświęconej zasadzie nieinterwencji i samostanowienia narodów, nie ma prawa doprowadzać do akcji zbrojnej, utożsamiając się z sowiecką inwazją Afganistanu. Czy należy zwalczać komunizm? Oczywiście należy, ale w pierwszym rzędzie należy sobie uświadomić skąd się ten komunizm bierze w Ameryce Środkowej i dlaczego mógł się tam rozrastać. Trzeba się było zastanowić nad faktem, że żołnierze-sandyniści oraz powstańcy w El Salvadorze nic nie rozumieją, nie mają najmniejszego pojęcia co to jest komunizm i że biorą udział, walczą i giną od kul jedynie dlatego, że dotąd ginęli z głodu. Że nigdy w życiu nie mieli butów, że są okrągłymi analfabetami i bezrobotnymi od urodzenia. Od dziesiątków lat i oni i ich ojcowie żyli jak niewolnicy pod rządami generałów Gwatemali, Hondurasu, El Salvadoru czy Nikaraguy, w absolutnej, skrajnej nędzy i bez żadnych praw do samoobrony. Żołnierze i policjanci rabowali ich nędzne mienie i gwałcili ich żony i córki. Dziś ofiaruje się im fasolę, buty i battledressy i mówi się: Brońcie się! Czy mogli nie wierzyć?

Nikt w Ameryce Łacińskiej nie ma wątpliwości, że komunizm jest zjawiskiem niebezpiecznym i że należy go zwalczać. Ale nie zbrojeniem dawnych gwardzistów generała Anastasia Somozy, jednego z najokrutniejszych dyktatorów na tym kontynencie, nie niszczeniem urzędów portowych, nie odmawianiem pomocy finansowej — ale przysyłaniem nauczycieli, lekarzy, socjologów, instruktorów rolnych. Zmniejszenie bezrobocia, eliminacja głodu, roztoczenie opieki nad umierającymi dziećmi, sieć lecznic, zwalczających szalejące epidemie — to są sposoby wytrącające broń



z rąk komunistów, rozbrajające ich propagandowe argumenty o niesprawiedliwości społecznej, o dzikim kapitalizmie, o wyzysku biedoty, o ofiarach śmierci głodowej. Ta amerykańska tragedia nadal czeka na rozwiązanie.

### *Teologia Wyzwolenia powstała w Brazylii*

Brazylia jest liczebnie największym krajem katolickim na świecie. Mało jednak rozumiałym zjawiskiem jest równoległe istnienie wielu sekt religijnych i rozmaitych odmian spirytyzmu oraz kultów niegdyś przywiezionych przez afrykańskich niewolników z Nigerii i z Dahomeyu. Należą do nich miliony adeptów, którzy oficjalnie są zarejestrowani jako rzymscy-katolicy i którym chodzenie do kościołów na niedzielne msze w niczym nie przeszkadza w praktykowaniu tajnych rytuałów, zabobonów i zaklęć. Te rytuały w Rio de Janeiro i w centralnych częściach kraju nazywają się „Umbanda”, a na północnym wschodzie noszą nazwę „Candoblé”. Wykazują one duże podobieństwo do „Voudou”, praktykowanego w Haiti i do czarodziejskich praktyk w innych krajach Ameryki Środkowej. „Umbanda” czy „Candoblé” to religia wierząca w duchy umarłych, które można pozyskać dla swego dobra za pomocą modlitw, tańca, śpiewu i ofiar składanych w rytuale zwanym „Macumba”. Ich bogiem jest Oxalá, największa świętość. Kiedy Jan Paweł II przybył do Salwadoru, stolicy stanu Bahii i stolicy „Candoblé” — miasta o 365 kościołach, prymas Brazylii skreślił z programu papieskiej wizyty odwiedzenie kościoła Bonfim, pod pretekstem że modlą się w nim adepci „Candoblé”. W tym dniu zerwała się gwałtowna burza i spadł ulewny tropikalny deszcz. Wyznawcy „Candoblé” nie mieli wątpliwości: Urażony bóg Oxalá zesłał burzę, jako karę za ominięcie jego kościoła.

Wszystko to sprawiło, że episkopat brazylijski musiał przyjąć jakąś postawę i zdecydował się na najbardziej rozumne rozwiązanie, a mianowicie zastosował tak zwany synkretyzm religijny, czyli jakby dyskretne przymrużenie oka na przejawy „Ubandy” i „Candoblé”. Ta religia przestała być wiarą czarnego proletariatu i dziś wśród oddanych adeptów znajdują się intelektualiści, artyści, pisarze, a nawet dyrektorzy banków. 87-letnia „Panieczka z Gantois”, prawnuczka afrykańskich kreolów, jest otaczana ogólnym uwielbieniem i posiada nieoficjalny tytuł prymasa „Candoblé”. W ostatnim spisie ludności podała jednak jako swoją religię wyznanie rzymsko-katolickie.

Kościół katolicki w Brazylii jest silny i bardzo wpływowy. Episkopat jest zgrupowany w Naczelnej Radzie Biskupów Brazy-

lijskich i składa się z sześciu kardynałów i 360 arcybiskupów i biskupów. Kościół odczuwa jednak brak księży i dlatego wśród 35 tysięcy księży świeckich i zakonnych prawie trzecią część stanowią cudzoziemcy: Holendrzy, Niemcy, Włosi, Hiszpanie, Irlandczycy, Portugalczycy, Francuzi i 250 księży polskich, Chrystusowców i Misjonarzy. Naczelna Rada jest doktrynalnie podzielona na konserwatystów, umiarkowanych i postępowych. Kapłani postępowi stanowią większość i są czynnie zaangażowani w Teologii Wyzwolenia. W okresie minionej dyktatury, postępowi biskupi, w nieustannym konflikcie z rządem ostro występowali przeciw systematycznym torturom więźniów politycznych, a potem w obronie liberalizacji politycznej. Dziś nadal otwarcie występują w obronie nędzarzy, walcząc z niesprawiedliwością społeczną i stając nieugięcie po stronie głodnych i pokrzywdzonych.

Konflikt dzielący duchowieństwo jest poważny, ale aby móc go zrozumieć, należy, w pierwszym rzędzie, zająć się osobą Jana Pawła II, który odegrał wielką rolę w dziele zjednoczenia tego duchowieństwa. W czasie swej brazylijskiej pielgrzymki w roku 1980, na inauguracyjnym zebraniu Dziesiątego Kongresu Eucharystycznego, papież wyznaczył zebranych kardynałom i biskupom drogi, jakimi mają kroczyć w dalszych pracach misyjnych Kościoła w Brazylii. Była to wyraźna opcja opieki nad biednymi i pokrzywdzonymi i nieustający protest przeciw niesprawiedliwości. „Każdy człowiek ma prawo domagać się, aby szanowano jego godność — mówił papież — a tymczasem miliony ludzi żyją w zagrożeniu głodu, bez pracy, bez zdrowia, bez prawa do protestu. Nie jest to wezwanie do walki klas, bo walka klas właśnie niesie zagładę. Jest to apel do stworzenia systemu powszechnej sprawiedliwości”. I w dalszym ciągu papież nauczał: „Z całą siłą odrzucam możliwość, aby partia komunistyczna miała prawo widzieć w akcji Kościoła wspólność celów. Odrzucam chęć komunistów stworzenia z Kościoła odskoczni dla swych programów. Komuniści mają prawo do wypowiedzania swych poglądów, ale niech mają cywilną odwagę propagowania swych marksistowskich praktyk. Kościół walczy o prawa człowieka, poprzez Ewangelię, poprzez miłość, poprzez solidarność, a nigdy przez gwałt”. W ten sposób postępową grupą episkopatu otrzymała pełne poparcie. Ale równocześnie, ku widocznej satysfakcji konserwatystów, papież ograniczył działalność Kościoła do środków chrześcijańskich, ewangelicznych, zabraniając wszelkiego udziału w życiu politycznym, w interwencjach i naciskach na rząd we współpracy z partiami politycznymi. I tu zarysował się konflikt. Po rozpatrzeniu wszystkich kazań papieża, wszystkich aktów i odruchów, stało się jasne, że Ojciec Święty wysuwał tezę pluralizmu w akcji kościelnej, zróżnicowania metod działania, podkreślając jednak nie-

ustannie swą walkę z deptaniem ludzkiej godności, z głodem i z nędzą. W ten sposób stał się w oczach Brazylijczyków oskarżycielem popełnianych krzywd i obrońcą uciśnionych. Robotników na plantacjach trzciny cukrowej, których zarobki wynoszą 350 dolarów rocznie, nawoływał, aby nie dali sobą ponieierać. W stolicy Amazonii miał dramatyczne spotkanie z 60 kacykami indiańskimi, którzy oskarżali rząd brazylijski o ludobójstwo i o niszczenie ich rezerwatów. Indianie skarżyli się białemu papieżowi na białego Boga, który jest niemiłosierny dla czerwono-skórych. Biały Papież płakał. A w stolicy stanu Bahia nastąpiło wstrząsające spotkanie z nędzarzami z dzielnicy Alagados. Papież przyniósł słowa pociechy i wyraził swą bolesną solidarność wobec nieopisaną tragedii 150 tysięcy tych, którzy w warunkach podludzkich żyją na samym dnie nędzy, w blaszanych budach, postawionych na palach nad stojącą, cuchnącą, zakażoną wodą. Na stadionie sportowym w Sao Paulo 160 tysięcy robotników i robotnic słuchało w skupieniu papieża, który w ulewnym deszczu stał samotnie pośrodku stadionu i przez dwie godziny mówił im, że fałszywy rozdział dóbr opiera się na gromadzeniu zysków, kopiąc coraz większą przepaść między bogatą mniejszością i olbrzymią większością ludzi biednych.

Z każdym dniem rósł entuzjazm tłumów. Ten entuzjazm przemienił się w adorację, w uwielbienie, graniczące ze zbiorową histerią. Ludzie śpiewali na cześć papieża pieśń, w której nazywali go Janem Bożym; dzieci szkolne krzychały: Król, nasz król, a robotnicy w Sao Paulo nadali mu tytuł brata, towarzysza pracy, robotnika chrystusowego i kolegi.

Równocześnie konflikt rozrastał się. Niższe duchowieństwo, proboszczowie i wikariusze w dalekich parafiach i w proletariackich dzielnicach wielkich miast, wspierani przez postępowych biskupów i przez dwóch kardynałów, poczuli się zagubieni w powstałym zamęciu. Jak to? Ojciec Święty przyjął opcję opieki nad biednymi, a przecież to właśnie Teologia Wyzwolenia rozacza nad nimi taką opiekę?

Ojciec Święty zabronił uprawiania polityki, ale czy można nazywać polityką organizowanie Komórek Kościelnych, powstałych na plebaniach, gdzie ludzie z jednej wsi, z jednej osady, z jednej ulicy lub z jednego domu, zbierają się co tydzień, aby wspólnie przedyskutować męczące ich bolączki, szukać praktycznych rozwiązań lokalnych problemów, starać się o pomoc dla najbiedniejszych, naradzać się nad możliwościami poprawy ich bytu i bytu ich dzieci? W tej chwili istnieje już 90 tysięcy Komórek Kościelnych, we wszystkich częściach kraju. Stworzono system wzajemnej pomocy, zwany „Mutirao” co oznacza wspólny wysiłek. Lu-

dzie w soboty wolne od pracy naprawiają dziurę w dachu sąsiadów, wymieniają rury kanalizacyjne, wprawiają stłuczone szyby — zawsze solidarnie, dla dobra ogółu. Nauczycielki wygłaszają pogadanki dla dzieci, wikariusze uczą śpiewu, grono kobiet postanawia przygotować wyprawkę dla jakiegoś noworodka. Wspólnymi siłami stara się załatwić drobne lokalne sprawy, poprawić, ulepszyć. To nie jest walka klas, to nie jest polityka, to nie jest marksizm — protestują księża — to jest prawdziwa Solidarność. Jan Paweł II jest wiernym sługą Kościoła — mówią wyznawcy Teologii Wyzwolenia, ale obowiązkiem Kościoła jest nie tylko dbałość o czystość dogmatów, ale również walka o prawo do życia w ludzkich warunkach. Brazylijski jezuita, ksiądz Carlos Alberto Libanio Christo, jeden z głównych bojowników o Teologię Wyzwolenia, oświadczył publicznie: „Przyjeżdżają do nas różni wysłannicy Watykanu i pytają o nasze zdanie w sprawie dogmatu Niepokalanego Poczęcia, konfliktu otwartego przez szwajcarskiego teologa Hansa Künga. Odpowiadamy im, że nam przede wszystkim leży na sercu nędza ludzka, a nie teoretyczne rozważania teologiczne”. Toteż 10-dniowy nadzwyczajny kongres biskupów brazylijskich z udziałem pięciu kardynałów i około trzystu biskupów, odrzucił potężną większością głosów wniosek o potępienie Hansa Künga.

Co niesie przyszłość? Kiedy po okresie ponurej dyktatury Brazylii wchodzi w erę pełnej demokracji, ogromnej wagi nabrało oświadczenie Konferencji Biskupów Brazylijskich, postanawiające, że w ręce nowego demokratycznego rządu przekaże swą walkę o prawa ludzkie i obronę uciśnionych w nędzy i głodzie. Jest to oświadczenie, które należy odczytać jako w pewnym stopniu zakończenie Teologii Wyzwolenia, stanowiącej główny punkt konfliktu z Watykanem. Tyle tylko, że ta Teologia przestała być monopolem Brazylii i przeniosła się na kraje Ameryki Środkowej. Dalszy ciąg jest nadal nieznany.

### Przemiany

Prezydent Boliwii, Hernán Siles Buazo, przeprowadził strajk głodowy, aby zaprotestować przeciw podejrzeniom wyrażonym przez parlament, że brał czynny udział w handlu narkotykami. Życie polityczne tego kraju zakrawa na karykaturę wszystkich zagadnień, istniejących w innych krajach tego kontynentu. W ciągu 155 lat swej niepodległości Boliwia miała już 201 rządów, regularnie obalanych przez kolejne zamachy stanu. Chyba największym dramatem Boliwii jest kokaina, bo wszystkie wysiłki zmierzające do zwalczania handlu narkotykami nigdy nie będą uwieńczone

pełnym skutkiem. Nie wystarcza zwalczanie mafii, bo to jedynie ona sprzedaje i rozprowadza kokainę. Bez uprzedniego zlikwidowania produkcji kokainy walka jest beznadziejna, a produkcji nie da się zlikwidować. Przede wszystkim dlatego, że przynosi ona dziennie miliony dolarów zysku — nie dla kraju, ale dla rządzących nim generałów. Wpływy ze sprzedaży kokainy nie wpływają do kas państwowych, lecz do kieszeni ministrów, którzy wojskowymi samolotami przewożą ten towar do Kolumbii i Brazylii, a potem dalej do Zachodniej Europy i do Stanów Zjednoczonych. Z drugiej strony życie liści koki służy wynędzniałej ludności do zabicia nieustannie odczuwanego głodu. Kraj jest w zupełnej ruinie, inflacja osiągnęła już 2.700 %. Władze utraciły jakąkolwiek kontrolę i wszystko zaczęło się ostatecznie walić w gruzy. Większość banków przestała pracować ze względu na zupełny brak środków płatniczych, a artykuły spożywcze doszły do nieznanych wyżyn ciągłe rosnących cen. Banknot o najwyższej wartości stu tysięcy pesos ma wartość mniejszą od jednego dolara, więc noszenie waliz i worków pełnych pieniędzy stało się koniecznością. Kiedy do banku Boliviano-Americano w La Paz wszedł woźny jakiejś firmy handlowej, niosąc na plecach worek i prosząc o przyjęcie depozytu 32 milionów pesos, kasjer bez słowa przyjął worek i wydał odpowiednie pokwitowanie. „Nie liczymy więcej wkładów, objaśnił, dodając z humorem, że bank wierzy na słowo swym klientom”.

Chile było krajem o tradycji największego rozwoju politycznego, dopóki nie utonęło w utopijnych szaleństwach rządu prezydenta Allende; w następstwie zostało zmiażdżone krwawą dyktaturą prezydenta Pinocheta. Dziś Chile, kiedyś kolebka kultury Ameryki Łacińskiej, żyje wśród wrogich manifestacji całego społeczeństwa, wśród strajków, zamachów bombowych oraz brutalnych represji karabinierów. I nie widać dotąd końca tego dramatu.

W Peru, wbrew wysiłkom „Zjednoczonej Lewicy” łączącej komunistów i socjalistów i mimo gróźb pro-chińskich terrorystów, znanych jako „Sendero Luminoso”, czyli „światła ścieżka”, wybory wygrał 35-letni Alan Garcia, adwokat i przywódca stronnictwa „Apra” o linii socjal-demokratycznej stylu zachodnioeuropejskiego. Ludność żyjąca w straszliwej nędzy i w nieustannym niebezpieczeństwie starć zbrojnych między prawicową armią i fantastycznymi obietnicami skrajnego marksizmu terrorystów, chciała mieć jedynie możliwość spokojnego życia. Wtedy ukazał się Alan Garcia, porywając tłumy swym programem demokratycznego socjalizmu połączonego z nacjonalistycznym entuzjazmem. Uwierzyli mu i chcą w nim widzieć lepszą przyszłość i dlatego śpiewają dziś

hymn „Apry”, na melodię francuskiej Marsylianki ze słowami potępiającymi imperializm.

W Kolumbii co najmniej od trzydziestu lat działa terror. Pięć tamtejszych organizacji terrorystycznych walczy nie tylko z rządem i z wojskiem, ale też wzajemnie się zwalczą. Ich przynależność do trockizmu, komunizmu czy anarchizmu nie pozwala na stworzenie wspólnego frontu.

Piętnaście organizacji terrorystycznych działa dziś w El Salvadorze, w Gwatemali i w Hondurasie. Wszystkie są absolutnie przekonane, że po dziesiętkach lat wojskowej dyktatury jedynie siłą można rozwiązać wszystkie palące zagadnienia gospodarcze i społeczne. Ich ideologia opiera się na wzorach sowieckich albo kubańskich. Republika Dominikańska nigdy dotąd nie zapomniała amerykańskiej inwazji, a Nikaragua pamięta, że dopiero w ostatniej chwili i to bardzo niechętnie Stany Zjednoczone przestały popierać pół-amerykańskiego dyktatora Anastazja Somozę. Dziś Nikaragua jest chyba zagadnieniem najgroźniejszym — nie tylko dla Ameryki Łacińskiej, ale dla całego świata.

Paragwaj od trzydziestu lat znajduje się w stanie obłączenia. Kiedy mówi się o ustrojach autorytarnych na tym kontynencie, mało kto zwraca uwagę na Paragwaj. Pewnego rodzaju wytłumaczeniem jest teoria, że Paragwaj nie jest państwem pozostającym pod absolutną władzą generała Alfreda Stroessnera, ale prywatną jego własnością, jego majątkiem ziemskim, którym rządzi jak prawowity dziedzic. Stroessner, syn niemieckiego dentysty, czuje się niezwykle dumny ze swej „pokojujowej rewolucji”, choć ta pokojowość opiera się właśnie na nieprzerwanym od trzydziestu lat stanie obłączenia, przekreślającym wszystkie prawa polityczne i obywatelskie ludności. Ta ludność, bardzo biedna, żyjąca głównie z rolnictwa jest pochodzenia indiańskiego i w większości nie zna języka hiszpańskiego, porozumiewając się w narzeczu Guarani. Ci biedni chłopcy nie są prześladowani, ale żyjąc poza nawiasem polityki i rozwoju kraju, nie posiadając żadnych ambicji, nie interesując się żadnym zagadnieniem ogólnym, nie są elementem niebezpiecznym dla rządu. Wiedza polityczna Stroessnera polegała na umiejętności ofiarowania Departamentowi Stanu obrazu Paragwaju, jako bazy do walki z komunizmem na tym kontynencie. W zamian za to Departament Stanu obsypał go przywilejami. Posypały się dolary, pożyczki, finansowanie projektów przemysłowych. Wdzięczny generał całkowicie podporządkował się regulaminom Międzynarodowego Funduszu Walutowego, który kieruje całą polityką finansową Paragwaju. Stroessner otworzył granice dla wszelkiego rodzaju uciekinierów z rozbitego Reichu. Masowo osiedlili się tam b. ofi-

cerowie SS, członkowie wojskowej mafii „Odessa”, zbrodniarze wojenni, poszukiwani przez sądy w Europie. Najślynniejszym jest doktor Józef Mengele, kat Oświęcimia, otoczony przez Stroessnera, z jemu tylko wiadomych powodów, czułą opieką i pełną siatką bezpieczeństwa. Trzeba przyznać, że Paragwaj spłaca skrupulatnie i punktualnie wszystkie przyjęte zobowiązania i dlatego na listach międzynarodowych banków figuruje jako wzorowy dłużnik, korzystający z niższych stawek oprocentowania, a także z Trzech Gwiazdek, jakie w rejestrach bankowych oznaczają minimalne ryzyko dla wierzycieli.

Znany kiedyś jako Szwajcaria Ameryki Południowej Urugwaj był rządzony przez całkowicie ustabilizowany ustrój pełnej demokracji i żył dostatnio, głównie z eksportu mięsa i wełny oraz ze wszystkich przywilejów, jakie daje zaufanie światowych banków. Wojna partyzancka anarchistycznych terrorystów spod znaku Tupamaros zdołała w szybkim tempie doprowadzić kraj do zupełnej ruiny. Przez następnych jedenaście lat rządziło wojsko. Był to ponury okres represji i tortur. Więźniów nie bito, torturowano ich psychicznie, doprowadzając do rozpacz. Wizyty rodzin dozwolone były dwa razy w roku i odbywały się przez szybę. Kiedy więzień siedział nieruchomo w celi, wbiegał strażnik i potrząsając nim wrzeszczał: „Tu nie wolno myśleć, twoje myśli są złe”. W listopadzie wojsko zeszło z placu. Wybory wygrał 48-letni adwokat Julio Maria Sanguinetti, przywódca centrolewu, tworząc gabinet koalicji wszystkich stronnictw demokratycznych. Pierwszym jego zarządzeniem było ogłoszenie pełnej amnestii, na zasadzie której 500 więźniów politycznych odzyskało wolność po jedenastu latach systemu uznanego za najbardziej okrutny. Czterdzieści tysięcy Urugwajczyków powróciło z wygnania, głównie z Brazylii i z Argentyny.

Prezydent Argentyny Raul Alfonsin jest niewątpliwie najwybitniejszym politykiem Ameryki Południowej. Radykalizm w nazwie jego stronnictwa nie przerażał nikogo, gdyż był rozumiany w wersji francuskiej, gdzie partia radykalna zawsze należała do umiarkowanego centrolewu, dużo na prawo do socjalistów.

Podobno jedyną jego wadą jest to, że nie umie tańczyć tanga, co w Argentynie jest grzechem niewybaczalnym. Ale za to osiągnął wielkie i podwójne zwycięstwo, rozbijając juntę wojskową i partię peronistów. Rozgrywka z generałami nie była łatwa. Nic podobnego nie zdarzyło się dotąd na tym kontynencie. Proces dziewięciu generałów, członków trzech kolejnych junt wojskowych, rozpoczął się przy wielkich manifestacjach w Buenos Aires,

domagających się surowego ukarania winnych ludobójstwa. Po szesnastu miesiącach śledztwa, w czasie którego oskarżeni starali się uniknąć procesu w sądach federalnych, żądając dla siebie trybunałów wojskowych, prezes sądu apelacyjnego otworzył przewód sądowy, odrzucając wniosek 22 adwokatów obrony, domagających się odczytania 30.000 stron aktów, co miało na celu opóźnienie trwania procesu, i tak już przewidzianego na co najmniej pięć miesięcy. Strategia obrony opiera się na tezie, że trzy junty wojskowe wykonywały swój obowiązek walki z siłami wywrotowymi. Prokurator natomiast opiera oskarżenie na podstawie 709 dokonanych zbrodni, wybranych spośród udowodnionych 8.961 wypadków, w jakich już zidentyfikowano zwłoki zamordowanych. Natomiast Komitet Badania Ofiar oblicza ilość zamordowanych i „zaginionych bez śladu” na 20.000-25.000 osób. Oskarżonym grozi degradacja, pozbawienie praw obywatelskich i dożywotnie więzienie, a w najlepszym wypadku wyrok 25 lat. Równoległe do tego procesu izba kontroli państwa prowadzi śledztwo w sprawie 716 dotychczas udowodnionych nadużyć, kradzieży i przekupstwa. Przewodniczący tej komisji nazywa ich złodziejami w białych rękawiczkach. Odkryto, że z długu zagranicznego Argentyny, wynoszącego 48 miliardów dolarów, dziewięć miliardów nigdy nie wpłynęło do kas państwowych i dotąd nie wiadomo co się z tymi pieniędzmi stało, choć najprawdopodobniej są już dawno umieszczone na numerowanych kontach w bankach szwajcarskich. Odkryto również, że fundusz przeznaczony na organizację olimpiady piłki nożnej w Buenos Aires w roku 1978 znikł bez śladu. Wśród najbardziej podejrzanych figuruje były prezydent, generał Videla i minister skarbu Martines de Hoz.

Ten najbogatszy i najbardziej kulturalny kraj Ameryki Południowej, kraj bez analfabetów, posiada wszystkie elementy rozwojowe. Ma nadwyżki nafty, zboża i mięsa, ma nowoczesny przemysł i handel. Ale przez czterdzieści lat panował tu niepodzielnie peronizm, o wybitnym charakterze faszyzmu. Peron objął władzę w roku 1945, właśnie w czasie kiedy ten faszyzm już zamierał na świecie. Nie biorąc udziału w drugiej wojnie światowej Argentyna była opóźniona w rozumieniu nowych czasów, które wszędzie przybierały kierunki bardziej liberalne. Rządy peronistów zdeorganizowały gospodarkę do tego stopnia, że doprowadziły do radykalizacji mas. Wtedy wpływy wojska zaczęły rosnąć. W odróżnieniu od armii brazylijskiej, która jest pochodzenia plebejskiego — gdyż niezamożne rodziny kierowały swych synów na księdza albo na oficera, dwie najłatwiejsze i najtańsze kariery — dzisiejsi generałowie brazylijscy są synami lub wnukami drobnych rolników, kupców czy robotników, podczas gdy oficerowie argentyńscy od wielu pokoleń należeli do kasty uprzywile-

jowanych i przez swą przynależność do arystokracji czy ziemiaństwa byli nawykli do traktowania społeczeństwa przez pryzmat swej wyższości.

Taki stan nie mógł trwać wiecznie, musiał wywołać konflikt ze społeczeństwem. Do walki z uprzywilejowanymi oficerami stanęli Montonerzy i partyzanci z Ludowej Armii Rewolucyjnej, łączący swój marksizm z zeszlowiecznym anarchizmem. Rozpoczął się terror. Partyzanci napadali na banki, porywali ludzi, rabowali i zabijali. Wtedy zaczęła się tragedia. Dowody zebrane przez prokuraturę są wstrząsające jeśli idzie o przeraźliwe okrucieństwo sił zbrojnych walczących z terrorystami, a na dalszym etapie wymyślnych tortur stosowanych także w stosunku do niewinnych ofiar zemsty swych nieprzyjaciół, donosów sąsiadów z którymi nie żyli w zgodzie albo osobistych porachunków na tle finansowym czy erotycznym.

Opinia publiczna popiera prezydenta Alfonsina, a organizacje obrony praw ludzkich i grupa matek ludzi zaginionych domagają się sprawiedliwości. Ale trzeba też wziąć pod uwagę, że w tych ciężkich latach głębokiego kryzysu gospodarczego, w jakim żyje społeczeństwo walcząc o byt codzienny, przy szalejącej inflacji wynoszącej w kwietniu 30 %, przy nieustannie rosnących cenach żywności, uwaga ludzka koncentruje się bardziej na problemach codziennego życia, niż na chęci zemsty. Można też wyraźnie odkryć uczucia młodych oficerów. Porucznicy, kapitanowie czy majorowie nagle zrozumieli, że wybierając zawód wojskowy popełnili największy błąd swego życia. Jako podchorążowie byli zapatrzeni w blask kariery wojskowej swych ojców i dziadków, w potęgę jaką reprezentowali, w przywileje jakie ich otaczały, w szacunek jakim się cieszyli. Dziś z przerażeniem widzą, że to były tylko sny i że najwyżsi dostojnicy wojskowi, byli prezydenci republiki, udekorowani generałowie i admirałowie, mogą być jutro poniżeni, sądzeni, zdegradowani i skazani na wieloletnie więzienie. Za wcześniej jeszcze mówić o istnieniu spisku młodych oficerów, ale jest oczywisty ich bunt w obronie „sponiewieranego majestatu munduru”. I coraz wyraźniejsze są szeptki o tworzącej się konspiracji czy nawet zamachu stanu. Niewyraźna jest również sytuacja wśród peronistów. Wprawdzie głośno deklarują swą walkę z dyktaturą wojska, ale nie mogą zapomnieć o klęsce, jaką im zadał Alfonsin. Toteż kiedy prezydent zarządził wielką koncentrację w Buenos Aires, prosząc, aby milion ludzi poparł jego walkę z dyktaturą i kryzysem gospodarczym, na Placu Majowym można było naliczyć zaledwie dwieście pięćdziesiąt tysięcy ludzi. Związki zawodowe zawiodły i prawdopodobnie w jakiś, jeszcze nie rozeznanym, sposób próbują grać na dwóch stołkach, popierając proces przeciw generałom ale i przy okazji próbując uderzyć w Alfonsina.

Raz jeszcze sprawdza się, że ideologia w polityce jest zwykłym mitem. Do partii peronistycznej należeli zarówno działacze prawicowi jak i politycy ze skrajnej lewicy. Łączyła ich magnetyczna siła uwodzenia ludzi, jaką odznaczał się Juan Domingo Perón. Peronizm urósł do granic uwielbienia o podłożu religijnym. Istniała nawet tendencja ogłoszenia Perona bogiem ludowym, a po jego śmierci cały splendor spłynął na Izabelitę. Zrobiła ona najbardziej błyskotliwą karierę. Z fortancerki w nocnym lokalu w Panamie, gdzie ją przypadkowo spotkał Peron, została żoną dyktatora, a potem prezydentką Argentyny. Po pięciu latach aresztu domowego z wyroku junty pozwolono jej opuścić kraj. Dziś Izabelita ma 54 lata, jest nadal bardzo przystojną i wytworną panią, posiadającą w bankach zawrotne sumy dolarów i żyjącą w luksusie w Madrycie. Przeżywa tam może już ostatni romans z towarzyszącym jej nieodstępnie Milo Božitićem, dawnym jugosłowiańskim członkiem jej ochrony pałacowej.

Argentyna znajduje się dziś na niebezpiecznym zakręcie. Powinna żyć teraźniejszością i myśleć o przyszłości, ale Argentyńcy upierają się przy nawrotach do przeszłości. Może się okazać, że narasta nowy koszmarny, z jakiego Argentyna się wyzwoli — o ile się wyzwoli — już jako kraj osłabiony, okaleczony i nieszczęśliwy.



Szał radości ogarnął Brazylijczyków, kiedy 15 stycznia Tancredo de Almeida Neves został przytłaczającą większością głosów wybrany prezydentem Brazylii. Data 15 marca była wyznaczona na jego zaprzysiężenie. Program przewidywał akt przysięgi w kongresie, akt objęcia władzy przez nowy rząd, przyjęcie dla 96 delegacji zagranicznych oraz wielki bal jako wyraz entuzjazmu i radości, że po 21 latach autorytarnych rządów wojskowych władzę obejmuje cywilny prezydent, demokrat, polityk roztropny, umiarkowany i obdarzony wielką inteligencją. Tancredo przygotował skład swego rządu, składającego się z polityków liberalnych i z przedstawicieli umiarkowanych stronnictw centrolewu. Zły los zrządził inaczej. W nocy poprzedzającej uroczystości, na kilka godzin przed złożeniem przysięgi, prezydent musiał być nagle operowany na zapaleniu dolnego jelita. Nieoczekiwanie operacja okazała się poważna. Cały kraj zamarł, a politycy zaczęli gorączkowo szukać legalnego rozwiązania na wypadek śmierci prezydenta. Uznano, że w zgodzie z konstytucją jedynym wyjściem byłoby zaprzysiężenie wybranego wiceprezydenta, jako tymczasowego prezydenta republiki. Ale ustępujący prezydent, generał Figueiredo, odmówił przekazania szarfy — symbolu władzy prezydenta —

wiceprezydentowi, gdyż miałby on zastępować prezydenta jeszcze w danej chwili nie zaprzysiężonego. Sześciu najwybitniejszych profesorów prawa uznało, na godzinę przed rozpoczęciem uroczystości w kongresie, kiedy na sali plenarnej znajdowali się delegaci zagraniczni, a wśród nich wiceprezydent Stanów Zjednoczonych George Bush, prezydent Argentyny Raul Alfonsin, prezydent Nikaraguy Daniel Ortega oraz pięć innych głów państwa i dziewięciu premierów, że wybrany wiceprezydent José Sarney nie jest wiceprezydentem prezydenta Nevesa, lecz wiceprezydentem republiki. Zdecydowano pominąć akt przekazania szarfy, jako czynności symbolicznej a nie aktu prawnego, i wszystko odbyło się według przewidzianego programu. Wiceprezydent złożył przysięgę i stał się tymczasowym prezydentem kraju. Tłumy zgromadzone przed kongresem w Brasiliu skorzystały z okazji, aby wygwizdać wchodzącego prezydenta Paragwaju, generała Stroessnera, obdarzyć burzliwymi oklaskami Daniela Ortegę i w grobowej ciszy witać Busha. Tymczasem w szpitalu leżał bezsilny prezydent Neves, płacząc na swój zły los. Zła taktyka lekarzy, którzy chcąc uspokoić opinię zaczęli wydawać optymistyczne komunikaty zaczęła przynosić wyniki negatywne. Fala plotek objęła cały kraj a nastroj nerwowego napięcia zamienił się w szok, kiedy po czterech dniach uspokajających biuletynów lekarskich, okazało się konieczne przeprowadzenie nowej operacji nadal sparaliżowanych jelit. A potem już dramat stał się nie do wytrzymania. Nastąpiła infekcja, a potem silny krwotok i w ciągu następnych 25 dni prezydent był poddany pięciu nowym operacjom. Zaczęto mówić, że złe czary, że został otruty, że go postrzelono. Sytuacja pogarszała się dalej i prezydenta poddano siódmej kolejnej operacji. Ale ten 75-letni człowiek był już zaatakowany infekcją płuc, nerek, wątroby i pogarszającego się z godziny na godzinę stanu serca. Po 38 dniach choroby zmarł. Od dziesiątków lat żaden polityk brazylijski nie cieszył się taką popularnością jak twórca nowego ustroju, któremu zły los nie pozwolił wziąć udziału w tej odzyskanej wolności. W całym kraju ludzie modlili się na intencję jego szybkiego powrotu do zdrowia. W hallu szpitalnym w Sao Paulo modlił się kardynał Arns, arcybiskup Sao Paulo, największej na świecie archidiecezji, liczącej 14 milionów wiernych, a tuż obok grupa rabinów wznosiła modły do Jehowy. Nieopodal stali przedstawiciele sekt spirytystycznych oraz kapłani i kapłanki afrykańskich rytuałów. Radość życia Brazylijczyków zawsze się opierała na ich przeświadczeniu, że wszystko zawsze musi się dobrze skończyć, bo Bóg jest Brazylijczykiem. Ale tym razem dobry Bóg nie wysłuchał modlitw ludzi, którzy bez względu na ich wiarę i przynależność wyznaniową, z przerażeniem patrzyli co się stać może po śmierci prezydenta, który chciał zmienić bieg

historii, uwalniając Brazylię od ponurej dyktatury wojskowej. Zgodnie z konstytucją wiceprezydent José Sarney został prezydentem kraju. 55-letni doktor praw, pochodzący z północnowschodniego stanu Maranhao, był senatorem i przez wiele lat członkiem a potem przewodniczącym partii, na której opierała się dyktatura. Kiedy dyktatura zaczęła się chylić do upadku, wstrząsana wieloma skandalami finansowymi, korupcją i nadużyciami swych dygnitarzy, Sarney nie czekał na zatonięcie statku i wraz z 80 innymi senatorami i posłami wystąpił z partii prorządowej i stworzył z nimi nowe stronnictwo liberalne. Zmarły prezydent Neves oparł swój rząd na centrolewie i na tym właśnie stronnictwie liberalnym, które w zamian za 80 swych głosów zastrzegło sobie wybór Sarneya na stanowisko wiceprezydenta. Ale w ustrojach rządów prezydenckich osoba wiceprezydenta ma charakter raczej dekoracyjny, bez żadnych funkcji wykonawczych. Wiceprezydent jest jakby zapasowym graczem, który wbiega na boisko, kiedy trzeba zastąpić kontuzjowanego zawodnika tytularnego. Toteż Sarney doznał prawdziwego wstrząsu, kiedy nieoczekiwanie musiał objąć urząd prezydenta kraju. José Sarney jest przede wszystkim pisarzem i poetą, mającym w dorobku 12 dobrych książek. Czuje się lepiej w złotem wyszywanym zielonym fraku niż nieśmiertelnego członka Brazylijskiej Akademii Literatury niż na burzliwych sesjach kongresu. Jest mało znanym politykiem i nie posiada popularności w społeczeństwie. Obejmując władzę nagle ujrzał, że rząd, na czele którego stanął, składa się z ludzi nie przez niego dobranych. Nie widząc innego wyjścia, naród zrozumiał, że musi mu ofiarować poparcie, jakim darzył prezydenta Nevesa — zapewne w obawie przed niebezpieczeństwem rozbicia „Nowej Republiki” czy może nawet jakichś nowych prób zamachowych. W swej pierwszej mowie do narodu, prezydent Sarney powiedział, że program zmarłego prezydenta będzie jego programem, którego naczelnym obowiązkiem będzie opieka nad biednymi, bo nikt nie może być szczęśliwy w kraju, w którym miliony ludzi nie mają prawa do szczęścia.

### *Nowa Republika — symbol odnowy*

Gigantyczne obszary pełne naturalnych bogactw są zamieszkałe przez setki milionów biedaków. Po raz pierwszy zaczynają oni wierzyć w nadchodzące przemiany. W Ameryce Południowej pozostał jeszcze na placu tragiczny generał Pinochet, a Stany Zjednoczone zaczynają odczuwać żenujące zakłopotanie, że przez tyle lat go popierały. W Brazylii skończyło się panowanie wszechwładnej służby bezpieczeństwa, która skazała na banicję 80 poli-

tyków, a 4.877 innych ukarała pozbawieniem praw obywatelskich, bez prawa do apelacji od wyroków wydawanych przez oficerów. Około dziesięciu tysięcy ludzi uciekło za granicę, a 339 „zagięło bez śladu”. Jest to raczej skromna cyfra w porównaniu z 30 tysiącami „zaginionych” Argentyńczyków. W okrucieństwie stosowanych tortur przodował Urugwaj ze swymi dźwiękoszczelnymi celami i piwnicami grobowej ciszy, gdzie zamykano więźniów na długie miesiące.

Wojskowe dyktatury we wszystkich bez wyjątku krajach doprowadziły gospodarkę do kompletnej ruiny, a ich pseudo-ideowe hasła okazały się zasłoną dla uprawianej korupcji.

Teologia Wyzwolenia, wprawdzie zwalczana przez Watykan, pracuje, pomaga, wydatnie wspiera biednych i nie chce żadną miarą zrozumieć oporu ze strony Ojca Świętego.

W krajach Ameryki Środkowej nie widać światła. W pojęciu wszystkich demokratycznych rządów łańciskich winę ponosi tragicznie błędna polityka prezydenta Reagana, z coraz bardziej realną groźbą przemiany walk podjazdowych w otwartą wojnę. Nikaragua idealnie nadaje się na poligon gier wojennych obu Super-Potę. Natomiast coraz bliższa wydaje się zmiana w stosunku do Kuby. Oddalając się od Moskwy Fidel Castro chciałby zbliżyć się do Waszyngtonu. Pierwszy krok wyjdzie z Brazylii, która w najbliższym czasie ma nawiązać stosunki dyplomatyczne z Kubą. Jest tu już nawet znane nazwisko przyszłego ambasadora brazylijskiego w Hawanie.

Cały kontynent żyje w nieustającym kryzysie gospodarczym i finansowym. Wszędzie rosną konflikty społeczne, bezrobocie i inflacja. Rośnie rozpacz ludności, niebezpieczna pożywka dla komunistycznej propagandy.

Trzeba wierzyć, że Argentyna, jeden z trzech członów Trójkąta, nie zawiedzie nadziei milionów ludzi i że ten kontynent nie będzie na nowo wepchnięty w czarną noc przemocy.

Maciej FELDHUZEN

Rio de Janeiro w kwietniu 1985

**Kraj**

## Aresztowanie Czesława Bieleckiego

W mieszkaniu na Targówku (Goławicka 11 m. 40) został aresztowany 13 kwietnia br. ukrywający się Czesław Bielecki, architekt, znany jako publicysta polityczny pod pseudonimem Maciej Poleski. Blok i okolice były już obstawione poprzedniego dnia przez tłumy ubeków (w tym liczne kobiety), chowających się m.in. w budce warzywniej i kręcących się na parkingu i na klatce schodowej.

O 7-ej lub 8-ej rano do budynku weszło 2 mundurowych i ok. 20 tajniaków, którzy wzięli ze sobą dozorczynię. Ok. 9-ej wyprowadzono Bieleckiego, na głowę zarzuconą miał zakrwawioną szmatę, krzyczał że jest z „Solidarności” oraz swoje nazwisko i pseudonim. Na oczach tłumy mieszkańców bito go jeszcze pałkami. Po wykrzyczeniu wiadomości dał się wprowadzić do samochodu SB. Wokół domu cały czas kręcili się tajniacy z widoczną bronią (pistolety), budynek z zewnątrz filmowany był kamerami z teleobiektywami. W tym samym mieszkaniu zatrzymano Marię Twardowską (bratanicę znanego księdza-poety Jana Twardowskiego).

Czesław Bielecki publikował w *Kulturze* paryskiej jeszcze przed Sierpniem 1980. Jest autorem książek wydanych w podziemiu („Pomysły polityczne”, „Program i organizacja”, „Wolność w obozie”) i artykułów drukowanych w pismach podziemnych (np. w TM, m.in. „21 uwag o dialogu z terrorystą”). Jest również autorem dwóch świetnych plakatów: CENZURA (pusta biała kartka z czarnym napisem-dedykacją: Cenzurze) oraz ELEKTROKARDIOGRAM: na białym tle czerwoną wykreśloną jak w EKG ze szczytowymi punktami, opisanymi jako daty 56, 68, 70, 76, 80. Wiadomo, że Czesław Bielecki jest obiektem wyjątkowej

nienawiści SB, będąc w jej rękach narażony jest na szczególne niebezpieczeństwo, obawiamy się o jego zdrowie i życie.

(IS 263)

(Tygodnik CDN — *Głos wolnego robotnika* Nr 110, Warszawa, 19. 4. 1985)

FRAGMENT PRZEMÓWIENIA GEN. KISZCZAKA,  
MINISTRA SPRAW WEWNĘTRZNYCH,  
WYGŁOSZONEGO W SEJMIE PRL 10 MAJA 1985

„Ostatnio wiele rozgłosu nadaje się sprawie aresztowania Bogdana Lisa, Adama Michnika i Władysława Frasyniuka. Są to ludzie szczególnie aktywni i zainteresowani w kształtowaniu wizerunku Polski jako kraju niestabilnego politycznie, kraju więźniów politycznych. Niektórych z nich po amnestii w 1984 roku trzeba było wyprowadzić z więzienia przy użyciu siły. Obecnie ich demonstracyjne i wręcz prowokacyjne ataki na porządek prawny dokonywane były chyba z tą samą motywacją. Chcą znaleźć się w kolizji z prawem bo to jątrzy, podgrzewa atmosferę, dostarcza wdzięcznego tematu zagranicznym ośrodkom politycznym i propagandowym. To niechlubne grono powiększyło się o aresztowanego niedawno szefa nielegalnego wydawnictwa CDN Czesława Bieleckiego vel Macieja Poleskiego wieloletniego agenta ośrodków dywersji politycznej, który miał być nielegalnie przetrzucony do Paryża by z polecenia CIA objąć po Giedroyciu kierownictwo paryskiej *Kultury*. Zdaniem Amerykanów Giedroyc jest już bowiem mało użytecznym gratem. Aresztowany Bielecki, którego z Polską łączy tylko fakt, że się tu urodził i uzyskał wyższe wykształcenie, stosował oprócz innej wrogiej działalności realizowanej na zlecenie mocodawców zachodnich wyjątkowo podłą metodę. Mianowicie, wyprodukowane na Zachodzie wzorce medali i dyplomów carskich za tłumienie Powstania Styczniowego w 1863 roku przesyłał uczciwym i szlachetnym ludziom m.in. nawet takim, którzy jeszcze w czasie pierwszej wojny światowej w Legionach krew przelewali za Polskę i jej niepodległość a także wybitnym twórcom kultury i nauki polskiej za to tylko, że chcą żyć i pracować dla kraju, dla PRL...”

Ta ocena Bieleckiego różni się diametralnie od oceny np. innego doradcy gen. Jaruzelskiego — mjr. Wiesława Górnickiego, który w artykule pt. „Los starszego brata”, zamieszczonym w warszawskiej *Kulturze* z dn. 22 października 1978 napisał:

„W Warszawie znam już jeden tylko autentyczny bruk: ten na powązkowskiej kwaterze żołnierzy 'Żywiciela', za którą nieznamy mi z nazwiska twórca powinien przejść do każdego polskiego podręcznika historii sztuki. Trudno pojąć, dlaczego to wstrząsające dzieło, plód wielkiego talentu, wyobraźni i wiedzy historycznej, jest tak mało znane”.

Była to praca Bieleckiego.

Czesław Bielecki jest bowiem wybitnym architektem. Ukończył studia na Wydziale Architektury Politechniki Warszawskiej w 1973 roku. Za pracę dyplomową zostało mu przyznane wyróżnienie SARP-u w 1974 roku. Od tego czasu aż do 13 grudnia 1981 roku Bielecki był stałym współpracownikiem *Architektury*, gdzie opublikował szereg prac. Kilka jego prac ukazało się w prasie fachowej na Zachodzie.

Z inicjatywy Bieleckiego, powstała w roku 1980 grupa „Dom i Miasto”, niezależna grupa około 25 młodych architektów. Działania grupy rozwijały się na fali niezależnych inicjatyw społecznych różnych środowisk. Po raz pierwszy grupa zaprezentowała swój program na Ogólnopolskim Zjeździe Architektów we Wrocławiu na jesieni 1980 roku, a następnie na Międzynarodowym Kongresie Architektów w Warszawie latem 1981 roku. Analizy i propozycje DiM spotkały się z dużym zainteresowaniem. DiM nawiązał współpracę z wieloma niezależnymi, małymi spółdzielniami mieszkaniowymi oraz ze środowiskiem uniwersyteckim.

Jako kontrpropozycja w stosunku do nierealnego planu rządowego — na zlecenie uniwersyteckiej „Solidarności” — powstał projekt rozbudowy UW oraz budowy nowej biblioteki. Nawiązała się również współpraca z Wydziałem Architektury PW w celu zorganizowania akcji samokształceniowej i uaktywnienia zawodowego.

Bardzo wiele innych pożytecznych inicjatyw DiM powstało i rozwijało się owocnie aż do 13 grudnia 1981 roku. Niewątpliwie największą rolę w tym przedsięwzięciu odegrał Bielecki, którego aktywność, intelekt i autorytet zawodowy wyzwały działanie innych.

Jako architekt Bielecki był znany także we Francji:

— prawdopodobnie jeszcze przed dyplomem w 1973 roku, w Angers, departament Maine-et-Loire, w agencji architekta Gabreau pracował nad projektem zespołu mieszkaniowego „Résidence Margueritte d'Anjou”;

— w maju 1979 w Nantes wraz z architektem Jean Lapinay pracował nad projektem konkursowym kompleksu administracyjnego. Projekt otrzymał I nagrodę i został zrealizowany;



— również w 1979 wraz z architektami Kąkolewskim, Ferre, Lepinay robił konkurs na centrum Angers „Place de la République”;

— pod koniec 1979 w Paryżu projektował 2 wille dla księcia Hrh Abdullah Bin Abdul Aziz z Arabii Saudyjskiej w Djeddah, w ramach współpracy z agencją GEAA, 33 rue Croulebarbe, 75013 Paris.

Aresztowanie Bieleckiego spowodowało duże poruszenie w środowiskach architektonicznych na Zachodzie. Zostały wysłane protesty z Anglii, Francji i Norwegii. Ta akcja rozszerza się.

W najbliższym czasie zamieścimy artykuł o dorobku i koncepcjach architektonicznych Bieleckiego.

Wracając do przemówienia gen. Kiszczaka bardzo nas ubawiła rewelacja o wyznaczeniu Bieleckiego przez CIA na redaktora *Kultury*. Dowodem na to jak aparat Ministerstwa Spraw Wewnętrznych jest doskonale poinformowany jest ogromne opracowanie pt. „Zmierch Bogów” zamieszczone w krakowskim *Życiu Literackim* w trzech odcinkach, autorstwa Krzysztofa Majchrowskiego (pod którym to pseudonimem ukrywa się jeden z wyższych dygnitarzy tego Ministerstwa) z rewelacjami, że Zdzisław Najder pisywał do *Kultury* pod pseudonimem „Poleski” — ta „rewelacja” ukazała się w dniu kiedy Bielecki-Poleski został aresztowany.

Przemówienie gen. Kiszczaka ma jedną dobrą stronę: generał bardzo zabiegał, by uchodzić za liberała, człowieka czynnego, otwartego na dialog. Obecnie maska spadła — ukazała się twarz żandarma. Może to wyleczy niektórych intelektualistów w kraju z naiwnych złudzeń. Generał jak najbardziej zasługuje na odznaczenie go medalem „Za usmienie polskawo miatieża”. „Usmienia” co prawda nie ma, i do tego jest coraz dalej, ale trzeba docenić cały jego wysiłek w tym kierunku...

## Czy władza ludowa kocha zabytki?

Temat zrodził się z rozmów z Niemcami, w których stale powraca jako komplement, mający sprawić przyjemność przybyzowowi z Polski, pozytywna ocena opieki nad zabytkami w kraju oraz umiejętności polskich konserwatorów. Z podobnymi opiniami, choć nie w takim już natężeniu, spotkałem się także w innych

krajach, być może więc nie jest od nich wolna i część emigracji. A w takim wypadku należałoby się jej nieco wyjaśnić, chociaż na tle problemów, z którymi boryka się kraj, sprawa zabytków nie należy do najważniejszych na dziś (na dłuższą metę jest już inaczej, gdyż idzie tu o istotny, materialny nośnik narodowej tradycji).

Na początek zastanówmy się, co zrodziło owo tak pozytywne przekonanie o Polsce jako kraju dbającym o swe zabytki. Widziałbym trzy zasadnicze czynniki. Po pierwsze — rzeczywiste osiągnięcia odbudowy lat powojennych (rekonstrukcja Warszawy i Gdańska stanowi na Zachodzie prawdziwy mit). Po drugie — powierzchowne wrażenia turystów, którzy oczywistą inność historycznych ulic polskich miast, wolnych od reklam i metalowo-szklanych wtęretów nowoczesności, skłonni są interpretować jako przejaw dbałości o substancję historyczną. Po trzecie wreszcie — obecność polskich konserwatorów w RFN, prowadzących tam wiele trudnych i prestiżowych robót. Słusznością tych spostrzeżeń i opinii zajmujemy się szczegółowo w dalszym ciągu. Na razie musimy przyjąć, że gdyby ten pozytywny obraz był prawdziwy, gdyby w polskiej rzeczywistości istniała enklawa godnych międzynarodowej pochwały osiągnięć i to w dziedzinie wymagającej skomplikowanych działań prawno-organizacyjnych i ekonomicznych, zasługa za to musiałaby przypaść władzy, inicjującej i realizującej wszelkie akcje o tej skali. Postawmy więc tytułowe pytanie: czy władza ludowa kocha zabytki? Odpowiedź jest prosta — nie, nie kocha. Czy więc nienawidzi? Też nie. Władzy ludowej zabytki są obojętne, a problem ich istnienia i ochrony, podobnie zresztą jak i inne zagadnienia życia gospodarczego i kulturalnego, traktuje ona w sposób czysto instrumentalny, z punktu widzenia ich przydatności dla umocnienia swej pozycji i budowy własnego pozytywnego obrazu na użytek wewnątrz-krajowy i zagraniczny. Stan ochrony dziedzictwa historyczno-artystycznego w naszym kraju stanowi bezpośrednią funkcję panującego w nim systemu i tylko jako element tego systemu może być owocnie opisywany i wyjaśniany.

Przede wszystkim przedstawmy krótki obraz interesującego nas problemu, wykraczający nieco poza wrażenia turystów, którzy dostrzegają głównie to, co chcą zobaczyć. Obraz ten musi być głęboko różny od sygnalizowanych na wstępie iluzji opinii zachodniej i jeżeli wzbraniałbym się przed określeniem go w całości jako katastrofalny, tak jak tego chce wielu specjalistów, to jedynie dlatego, że istnieją w nim jednak dość szerokie obszary częściowo przynajmniej zabezpieczone przed ogólnymi negatywnymi tendencjami. Owa jasna enklawa to przede wszystkim wielkość budowli sakralnych, spełniających w Polsce funkcje zgodne

ze swym pierwotnym przeznaczeniem i objętych na ogół prawidłową opieką techniczno-konserwatorską. (Nie oznacza to oczywiście, by sytuacja była tu idealna i by nie popełniano błędów konserwatorskich). Poza tym bystrzejszy obserwator, umiejący uwolnić się od sugestii odmalowanych fasad i okrągłych zdań przewodnika wycieczki, musi dojrzeć obraz wręcz przerażający. Większość tak zdawałoby się trwałego dziedzictwa minionych wieków znajduje się na progu unicestwienia, a w wielu wypadkach proces jego fizycznego znikania jest zaawansowany. W makroskali zagrożenie dla zabytków pochodzi dokładnie z tych samych źródeł co zagrożenie dla środowiska naturalnego i zdrowia ludności. Głównym niebezpieczeństwem są nieprzemyślane do końca, dyktowane biejącymi względami politycznymi decyzje urbanizacyjne i industrializacyjne, brutalnie niszczące historyczne układy i poddające najcenniejsze obiekty niszczącemu działaniu skażeń przemysłowych. Nie wchodząc w szczegóły, wystarczy tu przytoczyć przykłady katastrofalnych skutków, jakie przyniosła dla Krakowa budowa huty im. Lenina oraz prawdziwie piekielny, na szczęście zaniechany projekt odcięcia klasztoru na Jasnej Górze od reszty miasta wielopasmową autostradą. W mniejszej skali pojedynczych budowli czy ich zespołów, najwięcej szkód przynosi główna wada socjalistycznej gospodarki — brak bieżącej opieki, w połączeniu ze sztucznie wytworzonym (jak się przekonamy) brakiem środków na remonty oraz nieumiejętnością sensownego użytkowania zabytku. Wszystko to rodzi zjawisko dekapitalizacji, modne ostatnio nawet w oficjalnej propagandzie, dostrzegającej w nim jednak wynik kryzysu ostatnich lat, wywołanego przez wewnętrznych i zewnętrznych wrogów, nie zaś logiczny i nieunikniony skutek czterdziestoletniego panowania przodującego systemu. Każdemu, kto uzna moje wywody za zbyt abstrakcyjne i nie przekonujące, polecałbym wycieczkę szlakiem zrujnowanych pałaców klasycystycznych wokół Warszawy (miejmy nadzieję, że w ogóle zdoła on jeszcze coś zobaczyć), dalek niezbyt wyczerpujący gest przejechania palcem po doszczętnie zerodowanej powierzchni piaskowcowej okładziny któregoś z zabytków Krakowa, czy wreszcie — wymagającą większego już wysiłku — wycieczkę do uroczych kiedyś, a dziś wręcz rozsypujących się miasteczek śląskich. Kto takich wypraw podjąć nie chce lub nie może, bogatą egzemplifikację moich tez znajdzie w prasie polskiej, najlepiej w takich pismach jak *Życie Warszawy*, czy *Kurier Polski*. *Życie Warszawy* prowadzi nawet specjalną rubrykę *Zabytkom na odzież*, której dramatyczny tytuł (chciałoby się tu zapytać, jacyż to barbarzyńcy systematycznie czyhają na nasze kochane zabytki) wcale nie odbiega od przeciętnej podobnych wystąpień, pełnych oburzenia, zgrozy i niemocy. Sytuacja ta nie różni się niczym od

wskazanych po tysiącokroć absurdów socjalistycznej ekonomii i życia społecznego w PRL. Dozwolona krytyka zatrzymuje się zawsze na pojedynczych, zewnętrznych symptomach, a wara jej od wszelkich uogólnień, mogących zahaczyć o nietykalny system.

Opisana wyżej fatalna sytuacja mogłaby prowadzić do wniosku, że w PRL zgoła nic się dla ochrony zabytków nie robiło i nie robi oraz do zanegowania umiejętności polskich konserwatorów. Byłoby to wysoce niesprawiedliwe. Kluczem do zrozumienia tego złożonego zagadnienia jest uwzględnienie dychotomii, a nawet antynomii, jaka zachodzi pomiędzy istniejącymi teoretycznie możliwościami a warunkami ich realizacji. Po stronie teorii znajdują się różnorodne przepisy i deklaracje, regulujące status zabytku i sposób jego ochrony oraz wielki potencjał umiejętności i zaangażowania większości ludzi powołanych do działań konserwatorskich. Po stronie praktyki — twarda, a właściwie grząska rzeczywistość realnego socjalizmu, prowadząca do wypaczeń najlepszych intencji i marnotrawstwa wielkich nieraz nakładów pracy.

Złożoną problematykę ochrony zabytków, w której tak wielką rolę odgrywają wartości materialnie niewymierne, trudno jest ująć w precyzyjny system prawny. Istniejące przepisy międzynarodowe dotyczą przede wszystkim specyficznego statusu zabytków i dzieł sztuki w warunkach wojny. Kwestie bardziej szczegółowe należą do kompetencji ustawodawczych poszczególnych państw, a niezwykle istotna sprawa teoretycznych podstaw konserwacji i etyki konserwatorskiej należy z natury rzeczy do sfery deklaracji i zaleceń. Podstawowym dokumentem w tej dziedzinie jest tak zwana karta wenecka z roku 1964, istotną rolę odgrywają również różnego rodzaju akty wydawane przez UNESCO. W Polsce całokształt problematyki prawnej, związanej z szeroko pojętą konserwacją reguluje ustawa o ochronie dóbr kultury z roku 1962. Wszyscy właściwie zgadzają się, że jest to ustawa dobra. Cóż z tego. Sytuacja, w której praworządność mogła być wcieleną w życie bez oparcia w systemie demokratycznym należy do zamierzchłej epoki oświeconego absolutyzmu. W dzisiejszych czasach prawidłowe funkcjonowanie systemu prawnego oparte jest na wzajemnym równoważeniu się trzech sił: prywatnej inicjatywy gospodarczej, decydującej o rozwoju społeczeństwa, ale i stanowiącej potencjalne zagrożenie dla interesów ogółu, władzy ustawodawczej i wykonawczej, powołanej dla usuwania tych sprzeczności oraz niezależnej opinii publicznej, kontrolującej i wywierającej nacisk na władzę. W systemie totalitarnym ów trójkąt znika przez zmonopolizowanie przez ten sam ośrodek decyzji ekonomicznych i politycznych oraz zduszenie opinii publicznej. Prawo staje się parawanem, poza którym rozgrywa się zażarta walka różnorodnych interesów grup uczestniczących we władzy. Trudno spodzie-

wać się, by w kraju, w którym systematycznie są gwałcone i obchodzone podstawowe przepisy konstytucji, miano uszanować właśnie prawa zabytków, choćby były one zabezpieczone najlepszą nawet ustawą. Ustawa z roku 1962 pozostała zresztą w znacznym stopniu piękną, ale pustą deklaracją, podobnie jak wiele humanitarnych z pozoru i demokratycznych praw państw totalitarnych. Nigdy nie została ona w pełni wprowadzona w życie, ani zharmonizowana z całością polskiego ustawodawstwa. Do dziś brak jej wielu przepisów wykonawczych, nie posiada też suwerenności na swym, tak zdawałoby się specyficznym terenie. Gęszcz przepisów odnoszących się do spraw finansowych, spraw własności i użytkowania lokali, a nawet do spraw rolnictwa zawiera wiele punktów sprzecznych z jej paragrafami i często utrudnia, czy wręcz uniemożliwia podjęcie ważnych posunięć konserwatorskich.

Służba opieki nad zabytkami w PRL zorganizowana jest w dwóch pionach: administracyjnym i wykonawczym (dla jasności obrazu pomijamy tu muzea, jako powołane do spełniania specyficznych zadań). Pion administracyjny to wojewódzcy i miejscy konserwatorzy zabytków, wraz z podległymi im jednostkami, należący do odpowiednich ogniw administracji. Pion wykonawczy to państwowe przedsiębiorstwa, z których najbardziej znanym, ale nie jedynym są Pracownie Konserwacji Zabytków (PKZ). Podstawowym obowiązkiem konserwatora, na mocy samej definicji jego urzędu, jest prowadzenie rejestru i czuwanie nad stanem zabytków na podległym mu terenie. Inicjuje on również i kontroluje prace badawcze i konserwatorskie, dysponując na ten cel znacznymi środkami finansowymi. Wszystko to w teorii brzmi bardzo pięknie, w praktyce jednak konserwator jest tylko małym kółkiem w ramach potężnej maszyny biurokratycznej, której biegu nie jest w stanie zahamować ani ukierunkować. Ustawa określająca jego uprawnienia nie może zabezpieczyć go przed naciskami o wiele silniejszych lobby różnych grup nomenklatury, ani też pohamować samowoli miejscowego kacyka, dla którego ze szczególnie pojętych względów prestiżowych czy estetycznych jakiś zabytek może stać się niewygodny. Sławnym w swoim czasie wypadkiem było wysadzenie w powietrze pozostałości średnio-wiecznych młynów we Wrocławiu, właśnie dla „upiększenia” miasta. Konserwator, traktujący siebie i swe obowiązki naprawdę poważnie, byłby postacią na miarę dramatu antycznego. Trudno się dziwić, że nie ma takich wielu, a stanowiska te obsadzone są z reguły przez osoby pozbawione indywidualności i autorytetu, potulnie akceptujące zalecenia idące z góry, względnie przez cyników, widzących w nich tylko stopień w karierze osobistej. Takich właśnie ludzi dobiera się zresztą i popiera. W pewnym

mieście o poważnych zasobach zabytkowych, nawet w czasach Solidarności mając do dyspozycji profesora wyższej uczelni, wybitnego specjalistę i fanatyka idei konserwacji, zdecydowano się na małego urzędnika, stojącego przy tym na granicy alkoholizmu. Nietrudno zgadnąć, czemu taki wybór służył — realizacji celów ochrony, czy komfortowi władzy.

Przechodząc do pionu wykonawczego służby konserwatorskiej — jego podstawowe ogniwo, Pracownie Konserwacji Zabytków, to wielkie przedsiębiorstwo o kilku tysiącach pracowników i bardzo złożonej strukturze, którego dokładna analiza przekracza zakres niniejszych uwag, a także i moje skromne możliwości laika. Podstawowy mankament działania PKZ widoczny jest jednak jak na dłoni dla każdego. Jest nim samo określenie tej instytucji jako przedsiębiorstwa. Mając do czynienia z delikatną tkanką substancji zabytkowej, PKZ poddane są więc takim samym sztywnym i absurdalnym rygorom planowo-finansowym jak każda inna jednostka gospodarcza PRL. Z powyższej definicji wynika jeszcze jedno. Otóż PKZ musi przynosić zysk i to zysk nie byle jaki, bo wynoszący 100 % kosztów. Ów 100 % „narzut” (to taki piękny termin należący do peerelowskiej nowomowy) stanowi skandaliczne oszustwo wobec społeczeństwa, gdyż oznacza on, że wszelkie środki oficjalnie przeznaczone na konserwację wykorzystywane są tylko w połowie. Druga połowa automatycznie wraca do skarbu państwa. Pogoń PKZ za zyskiem stanowi też główne wytłumaczenie rzekomych europejskich sukcesów polskiej konserwacji, o których decyduje nie wyższość zawodowa (wzorowe wręcz utrzymanie bardzo trudnych w konserwacji wnętrz niezliczonych kościołów barokowych południowych Niemiec świadczy o potencjale i umiejętnościach miejscowych rzemieślników), a konkurencyjność finansowa. „Eksport polskiej myśli konserwatorskiej”, o którym z triumfem pisze prasa, odbywa się jednak kosztem zabytków w kraju. Nabija on dewizami kabzę przedsiębiorstwa (czytaj państwa) i pozwała na złapanie oddechu finansowego wydelegowanym za granicę szczęśliwcom, ale odrywa od pracy na miejscu znaczną część i tak już zbyt szczupłych sił. Protest przeciwko PKZ-etowskiemu „eksportowi” do RFN i ZSSR był jedną z głównych przyczyn dymisji długoletniego dyrektora Muzeum Narodowego w Warszawie, prof. Stanisława Lorentza. Status ekonomiczny przedsiębiorstw konserwatorskich odbija się wreszcie na ich podstawowej działalności remontowej. Uzależnienie zysku od „przerobu” sprawia, że najkorzystniejszym dla przedsiębiorstwa rozwiązaniem jest po prostu zburzenie „konserwowanego” obiektu za pomocą ciężkiego sprzętu i budowa jego makiety od fundamentów. Żmudne prace wzmacniające nadwątloną budowlę, czy nawet rozbiórka ręczna i ponowne użycie oryginal-

nych elementów są zbyt pracochłonne, szczególnie w warunkach chronicznego braku pracowników. Postępowanie takie nie stanowi na szczęście reguły, ale i nie jest wyjątkiem. Wystarczy przyrzeć się metodom „rewaloryzacji” wyburzonego w znacznych partiach śródmieścia Krakowa.

Niezależnie od opisanego wyżej grzechu pierworodnego, PKZ stanowią główną nadzieję, jaka zabytkom polskim jeszcze pozostaje. Ich podstawowym kapitałem są ludzie. Oczywiście nie wszyscy. Doskonałych fachowców zatrudniają działy specjalistyczne, zajmujące się ratowaniem różnego rodzaju dzieł sztuki, od malarstwa po tkaniny i przedmioty metalowe. Wykształcenie i doświadczenie zawodowe tych ludzi nie ustępuje z pewnością standardowi zagranicznemu, tyle że na przeszkodzie właściwego ich wykorzystania stoi chroniczny brak odpowiednich materiałów i narzędzi. Wielu świetnych specjalistów, bez reszty zaangażowanych w ideę ochrony, działa w pionie dokumentacji naukowej, rozpoznającym pod względem historyczno-artystycznym obiekty przeznaczone do konserwacji. Ich opracowania, teoretycznie wiążące dla realizatorów dalszych etapów prac, są jednak często traktowane jako zło konieczne, deformowane i pomijane. W pracowniach projektowych i grupach wykonawczych sprawa przedstawia się bowiem o wiele gorzej. Decydujący tu inżynierowie, architekci i budowniczowie wyjątkowo tylko posiadają głębsze zrozumienie wartości historycznej zabytku i skłonni są raczej do myślenia kategoriami technokratyczno-ekonomicznymi. Nieważną negatywną rolę odgrywają również kwestie ambicjonalne oraz wadliwe ustawienie sprawy zarobków, w tej grupie stosunkowo wysokich, ale powiązanych z wykonaniem planu. Największe zło tkwi jednak na przeciwległych końcach drabiny hierarchicznej. Szczyty są oczywiście zarezerwowane dla partyjnej nomenklatury (choć z dyplomami politechnicznymi w kieszeniach), której działanie specjalnych komentarzy nie wymaga. Nie lepiej, choć z innych powodów, jest i u samego dołu, w brygadach budowlanych, stale borykających się z problemem uzyskania i zatrzymania w przedsiębiorstwie już nie tylko fachowców, ale ludzi umiejących przyzwolnie wykonać jakąkolwiek pracę. Niskie zarobki i ciężkie warunki pracy sprawiają, że PKZ, tak jak i całe polskie budownictwo, skazane są w znacznym stopniu na ludzi o najniższym poziomie zawodowym i moralnym, traktujących pracę jako okazję do pijaństwa, bumelanctwa i kradzieży. Jednym z niewielu „fachowych” doświadczeń przeciętnego pracownika budowlanego PKZ jest świadomość, że wiele elementów zabytkowej budowli, od mosiężnych klamek i kafli piecowych aż po parkiety, można korzystnie sprzedać. Łatwo sobie wyobrazić, jak owo uświadomienie wpływa na autentyczność substancji remontowanego budynku.

Realizacja zadań konserwatorskich stale natrafia na dalsze różnorodne trudności, od fałszywych koncepcji teoretycznych po szkodliwe działania niektórych ludzi odpowiedzialnych za konserwację. Wiele złego przyniosło i wciąż przynosi zatarcie granicy pomiędzy konserwacją i rekonstrukcją. Charakterystyczne dla pierwszych lat powojennych wielkie przedsięwzięcia rekonstrukcyjne, cieszące się do dziś międzynarodową sławą, nie były w ogóle działaniami konserwatorskimi w ścisłym znaczeniu tego słowa. Nowoczesna teoria konserwacji jest rekonstrukcji z zasady przeciwna i dopuszcza ją tylko w wyjątkowych wypadkach. W odbudowie Warszawy i Gdańska szło też nie o restytucję wartości historycznych i artystycznych w sensie naukowym, ale o przywrócenie znękanemu narodowi części symboli, decydujących o jego tożsamości. Z tego punktu widzenia były to działania naprawdę wielkie i w pełni udane. W zapędach rekonstrukcyjnych posuwano się jednak często za daleko. Odbudowa Zamku Królewskiego w Warszawie była jeszcze zupełnie usprawiedliwiona, przede wszystkim względami urbanistycznymi, o czym się łatwo przekonać oglądając Plac Zamkowy, a szczególnie panoramę miasta od strony Pragi (o wiele gorzej przedstawiają się szczegóły, przede wszystkim wnętrza, niesmak musiało też budzić wykorzystywanie odbudowy zamku przez propagandę we wczesnym okresie gierkowskim). Zupełnym absurdem, przykładem przeforsowania prywatnych ambicji, jest natomiast rekonstrukcja Zamku Ujazdowskiego i to w formach, jakie definitywnie utracił w wieku XVIII. Budowa takiej makiety, z którą w dodatku nie bardzo wiadomo co zrobić (*vide* żałosny spór o przeznaczenie budowli dla celów Muzeum Narodowego względnie enigmatycznego centrum sztuki współczesnej) na pewno Warszawy nie upiększyła ani nie naprawiła haniebnego faktu zburzenia niezłe zachowanych murów autentycznego Ujazdowa na rozkaz marszałka Rokossowskiego. Patrząc z punktu widzenia ściśle konserwatorskiego, forsowanie rekonstrukcji przyniosło wiele szkód. Odbudowa Warszawy była molochem, który rozrastał się kosztem innych części kraju. Skoncentrowanych tam ludzi i środków zabrakło choćby na Śląsku, gdzie pomimo poważnych zniszczeń wojennych można jeszcze było ratować setki autentycznych zabytków. Poświęcono je jednak, zarówno w sensie przenośnym przez zaniedbanie, jak i w sensie dosłownym, traktując je jako źródło materiału dla odbudowy stolicy. Może jeszcze groźniejsze było jednak przemieszanie pojęć, utrwalenie się dominującego do dziś przekonania, że zniszczony zabytek można odbudować, co zwalniało niejako z obowiązku opieki bieżącej.

Z tym samym typem myślenia wiąże się kolejny błąd, wynikający z niezmiennych zasad organizacji pracy w krajach komunis-

tycznych, mianowicie prowadzenie działań konserwatorskich na zasadzie akcji. Sposób ten nie jest pozbawiony uroku i korzyści, tyle że nie dla zabytków, a dla tych, którzy pragną przy okazji zbić kapitał polityczny, czy też po prostu doskonale, jak na polskie stosunki, zarobić. Oto jakaś zaniedbana przez dziesięciolecia sprawa okazuje się nagle nadzwyczaj ważna. Uchwała sejmu (rządu, rady narodowej, zależnie od potrzeby) nadaje jej wszelkie możliwe priorytety. „Publikatory” podnoszą radosną wrzawę. Protektorzy akcji, jej twórcy i wykonawcy wychodzą z cienia, jawią się już to jako światli mecenas kultury, już to jako niezłomni bojownicy o słuszną sprawę, już to jako wybitni specjaliści, sprawnie rozwiązujący nadzwyczaj trudne problemy. A forsa płynnie strumieniem o wiele szerszym niż przy codziennej, nieefektywnej a skutecznej pracy. Klasycznym przykładem takich działań akcyjnych, które pochłonęły ogromne środki, a przyniosły żałosne skutki, była rewaloryzacja Zamościa. Autentycznej substancji miasta doprowadzonego do ruiny nie udało się już uratować, a zbudowane niemal od nowa makiety są na fatalnym poziomie estetycznym i technicznym. Jest nadzwyczaj niepokojące, że tę samą formę postępowania wybrano i w Krakowie, czego nadzwyczaj negatywne rezultaty, o których opowiemy jeszcze szerzej, są już wyraźnie widoczne.

Nie byłoby celowe zagłębianie się w ramach niniejszego szkicu w szczegóły różnorodnych działań konserwatorskich, które pozostają domeną specjalistów. Konserwacja jest sztuką trudną i nadzwyczaj złożoną, opierającą się na dokonaniach najróżniejszych nauk, od historii sztuki po chemię. Jej naczelną zasadą jest jednak nadzwyczaj prosta i brzmi identycznie jak podstawowe wskazanie medyczne: *primum non nocere*. Tym smutniejsze są wypadki, w których podjęte już po przewyżczeniu wszelkich możliwych trudności prace konserwatorskie zasady tej nie respektują, prowadząc nie do ratowania, a do degradacji zabytku. Zjawisko to, niezależnie od popełnianych codziennie drobnych błędów, jest na szczęście rzadkie. Nie można tu jednak pominąć jego uosobienia w postaci prof. Wiktora Zina, złego geniusza polskiej konserwacji. Jest to człowiek obdarzony niezwykłą energią, zdolnościami w dziedzinie organizacji i *public relations*, co w połączeniu z zadziwiająco ignorancją zawodową, wybujałymi ambicjami i zupełnym brakiem skrupułów tworzy całość prawdziwie niebezpieczną. Cała Polska zna profesora, popisującego się w telewizji swymi umiejętnościami rysunkowymi i składną wymową o sympatycznym, zalatującym kresami akcencie. Owe telewizyjne pogadanki zrobiły nawet wiele dobrego, budząc zainteresowanie dla dziedzictwa przeszłości. Były one jednak tylko przykrywką dla właściwej działalności ich autora, który dzięki zdobytej pozycji (przejsiowo

doszedł nawet do stanowiska wiceministra kultury i sztuki. Kiedy w tym charakterze przemawiał na Kongresie Kultury w grudniu 1981, większość osób orientujących się z kim ma do czynienia opuściła salę) mógł przez wiele lat narzucać swe zupełnie aberracyjne koncepcje. On to jest w głównej mierze odpowiedzialny za „akcję Zamość”, głównym terenem jego działalności był jednak Kraków. Do najważniejszych i najprzykrzejszych jego „sukcesów” należy fatalna pod względem estetycznym i praktycznym nawierzchnia Rynku Głównego, zamienionego w gładką, kamienną, ale zapewne pełną błota pustynię. Niepojętym wprost absurdem było oblepienie wieży ratuszowej makietami gotyckich wykuszy, których prawidłowe odtworzenie było niemożliwe na podstawie istniejących materiałów. Brutalne metody prowadzenia prac pozbawiły też historycznych nawarstwień kilka z najstarszych krakowskich kościołów. Wszystko to odbywało się w stale podgrzewanej atmosferze pochwalnej propagandy, z góry wykluczającej wszelką merytoryczną dyskusję. Jak się wydaje, lata kryzysu ograniczyły możliwości kontynuacji działań profesora, z reguły bardzo kosztownych. Nie udało mu się jak dotąd doprowadzić do wykonania kolejnego koszmarnego projektu, pomnikowego za betonowania pola bitwy pod Grunwaldem. Jego dotychczasowe „osiągnięcia” zapewniają mu jednak i bez tego trwałe negatywne miejsce w dziejach polskiej konserwacji.

Wskazane wyżej różnorodne negatywne uwarunkowania działań konserwatorskich w PRL nie powinny stworzyć wrażenia, że w tej dziedzinie nic się nie robiło i nie robi, względnie że wszystko co zrobiono, zrobiono źle. Wręcz przeciwnie, w ciągu powojennego 40-lecia uratowano dosłownie tysiące obiektów, bez których Polska byłaby już dziś kulturalną pustynią. W ochronę zabytków włożono ogromny wysiłek, a fatalny stan obecny jest wynikiem złożonych procesów zrodzonych przez system, wobec których garstka konserwatorów jest bezsilna. Na progu śmierci technicznej znajduje się przeważająca część dawnego budownictwa (stan budowli wznoszonych w ostatnich dziesięcioleciach stanowi odrębne, równie trudne zagadnienie). Problemów tej skali nie byłaby w stanie rozwiązać najlepiej zorganizowana służba konserwatorska jakiegokolwiek kraju. Idzie tu bowiem o ratowanie już nie tyle wartości historycznych, co materialnej substancji, koniecznej dla zaspokojenia podstawowych potrzeb narodu. Sprawa zabytków w ścisłym tego słowa znaczeniu stanowi tu tylko niewielki wycinek całości i nie na konserwatorach spoczywa odpowiedzialność za przyzwyciężenie kryzysu. Na przykładzie zabytków można natomiast doskonale ukazać proces degradacji materialnego otoczenia człowieka, jaki w okresie powojennym przybrał w Polsce zastraszające rozmiary. Na zakończenie naszych rozważań przy-

rzyjmy się więc dziejom owej degradacji. Obok dominującej problematyki miasta i budynku miejskiego, marginalnym ale bolesnym uzupełnieniem będzie obraz zagłady rezydencji wiejskich.

Wśród miast polskich szczególnie nieszczęśliwie potoczyły się powojenne dzieje Krakowa. Nie jest to może przykład typowy, ze względu na szczęśliwe uniknięcie zniszczeń wojennych. Dzięki temu, a także dzięki doskonałej strukturze urbanistycznej, odziedziczonej jeszcze po czasach autonomii galicyjskiej, właśnie tu istniały wszelkie dane, by prowadzić racjonalną politykę rozwoju miasta i ochrony jego wartości historycznych. Obecny stan Krakowa odbija szczególnie jaskrawo niekompetencję i zwykłą głupotę jego władców, połączoną niekiedy z wyjątkowo perfidnym natężeniem złej woli. Kraków był i jest bowiem przedmiotem działań szczególnie brutalnych. Wyniki referendum z roku 1946 zyskały miastu opinię ośrodka konserwatywnego i wrogiego nowej władzy. Zareagowała ona za pomocą środka z repertuaru marksistowskiej inżynierii społecznej. W celu zmiany swego profilu socjalnego, Kraków otrzymał wielki przemysł z Hutą Lenina na czele oraz potężny zastrzyk nowej krwi proletariackiej. Dzieje Solidarności wykazały, że komuniści doczekali się tu rezultatów zupełnie odmiennych od planowanych. Stanowi to jednak niewiłą pociechę wobec niepowetowanych strat, jakie poniosło miasto. Niepohamowany, przekraczający wszelkie granice rozsądku rozrost terytorialny i ludnościowy wraz z katastrofalnym zatruciem wyziewami przemysłowymi stworzył w Krakowie strefę permanentnej klęski ekologicznej, w której jednakowo cierpią ludzie, zabytki i przyroda. Oprócz tych działań wielkich i spektakularnych, od pierwszych miesięcy powojennych zagrożenie dla miasta zaczęło narastać również od wewnątrz, od strony poszczególnych budynków. Wprowadzenie nowych porządków miało w Krakowie, podobnie jak i w innych miastach polskich, przebieg pozornie mniej dramatyczny niż na wsi. Prywatna struktura własności większości nieruchomości pozostała w zasadzie nienaruszona. Władza przywłaszczyła sobie jednak prawo dysponowania lokalami i regulowania wysokości czynszów. Ustalając głodowe pensje dla swych pracowników, państwo ułatwiało im w ten sposób przeżycie kosztem nielicznej grupy „kamieniczników”.

W normalnych warunkach o stan budynku, nawet posiadającego wysokie wartości zabytkowe, dba we własnym interesie jego właściciel. Rola konserwatora ogranicza się do kontroli oraz do fachowej i ewentualnie finansowej pomocy w najtrudniejszych sytuacjach. W PRL budynki wielomieszkaniowe pozbawione zostały jednak z dnia na dzień wszelkiej realnej wartości (rynkowa cena całej, ale zajętej przez lokatorów kamienicy stanowi ułamek

ceny jednego wolnego mieszkania), a absurdalnie niskie czynsze uniemożliwiły właścicielom prowadzenie remontów bieżących. Roli tej nie przejęły również wspólnoty mieszkańców, ze względu na ich niejednorodny skład socjalny (od profesora uniwersytetu do lumpenproletariatu w jednym domu, a nawet w jednym podzielonym mieszkaniu) oraz typową dla komunizmu atrofie poczucia odpowiedzialności za dobro zbiorowe. Wartość skumulowana w przeszłości w budowlach mieszkalnych została poddana bezwzględnej eksploatacji dla zaspokojenia potrzeb bieżących. Ostateczne rezultaty tej sytuacji nie ujawniły się od razu, jednak przynajmniej od 15 lat mnożą się wypadki popadania w zupełną ruinę domów w najstarszych częściach miasta, a na granicy tego stanu znajduje się również większość dzielnic XIX-wiecznych. Dobrze trzymają się tylko wyjątkowo solidne budynki z lat międzywojennych, w których mieszkania są też w Krakowie szczytem marzeń. Reakcja władz polegała początkowo po prostu na próbach fizycznej likwidacji problemu. Dopuszczono w ten sposób do wypalenia dla potrzeb filmu *Noce i dnie*, a następnie do wyburzenia całych bloków zabytkowych domów na Kazimierzu. Z czasem zrozumiano jednak, że tak nie można i na horyzoncie pojawiła się nowa akcja. Powołano Społeczny Komitet Rewaloryzacji Krakowa z Jabłońskim na czele i jego ramię wykonawcze — Zarząd Rewaloryzacji (wymyślono przy okazji ów termin, oznaczający postępowanie o zakresie szerszym niż normalne prace konserwatorskie). Ogłoszona została zbiórka publiczna pod chwytliwymi hasłami (*Rzecz krakowska — rzecz polska*). Co najważniejsze, prace rzeczywiste ruszyły, przynosząc niemal od razu wiele bardzo cennych odkryć. Są one jednak obciążone wszystkimi opisanymi już wadami. Występuje w nich wyraźna tendencja do traktowania zabytku jako preparatu konserwatorskiego, do nadużywania rekonstrukcji, czy dokomponowywania różnych ozdóbek. Na dużą skalę stosuje się wyburzenia, które skandaliczne wręcz rozmiary przybrały w blokach pomiędzy ulicami Floriańską i Szpitalną. Niezależnie od fachowej oceny akcji rewaloryzacyjnej, podstawowym mankamentem jest jej niedostosowanie do skali potrzeb. Przy obecnym tempie robót nie ma szans na ich ukończenie za życia obecnego pokolenia nawet w obrębie miasta średniowiecznego, nie mówiąc już o dzielnicach poza linią Plant. Fakt ten trudno nawet krytykować, gdyż jak już wspomniano, metody konserwatorskie nie mogą usunąć skutków makroprocesów ekonomicznych i społecznych.

Rewaloryzacja Krakowa ma jeszcze jeden aspekt, którego nie można pominąć — otóż prowadzi ona do ostatecznego zniszczenia resztek tradycyjnej struktury społecznej miasta. Przed przystąpieniem do prac wszyscy mieszkańcy danego domu łącznie z

jego właścicielem są wykwaterowywani, w zasadzie bez prawa powrotu. Gigantyczny koszt robót, wielokrotnie przekraczający wartość posesji, wpisany na hipotekę równa się jej wywłaszczeniu. Spełniwszy w ten sposób ostatni akt rewolucyjnych przemian, władze nie bardzo jednak wiedzą, co począć z owocami zwycięstwa. Większość lokali w odnowionych domach wielokrotnie przekracza normy powierzchni mieszkalnej, z których budynków zabytkowych dotąd nie wyłączono. Zastosowanie tu obowiązującego systemu przydziału mieszkań z tzw. puli rad narodowych, który teoretycznie faworyzuje najuboższych, przyniosłoby zagrożenie stanu dopiero co odnowionych budynków. Jedynym rozsądnym rozwiązaniem byłoby odstąpienie od *urawniłowki* i stworzenie małych spółdzielni, złożonych z osób, będących w stanie podjąć odpowiedzialność za budynek. Jak zwykle w PRL wybiera się jednak pewien kompromis, nie zadowalający nikogo poza nielicznymi pupilami władzy. Część mieszkań otrzymują osoby posiadające wystarczającą ku temu siłę przebicia (równa się to prezentowi wartości kilku milionów złotych), większość przekazywana jest różnego rodzaju instytucjom. W niedalekiej już przyszłości centrum Krakowa zamieni się w martwą po zmroku handlowo-urzędową *city*.

Na wsi osiągnięty do dziś stopień socjalistycznych przemian osiągnięty został za jednym zamachem, za pomocą dekretu o reformie rolnej z roku 1944. Podział ziemi nie przedstawiał większych problemów. Wkrótce okazało się jednak, że o wiele łatwiej było pozbyć się krwiopijców, niż zabezpieczyć pozostałe odebrane im dobra, stanowiące teraz teoretycznie własność społeczną. Około 20.000 siedzib ziemiańskich zostało więc wydanych na pastwę zupełnie przypadkowych użytkowników, a najczęściej i zwykłego rabunku. Władze nie umiały ani nie chciały temu przeciwdziałać. Rewolucyjne hasło „grab zagrabione” było przecież usankcjonowaną przez komunistów metodą realizacji zasad sprawiedliwości społecznej. W ciągu kilku miesięcy roku 1944 i 1945 uległa w ten sposób zniszczeniu niemożliwa do określenia ilość ruchomości, w tym tysiące cennych dzieł sztuki. Opuszczone i ogołoczone pałace i dwory należało jakoż zagospodarować. Potrzebę lokalowe na wsi były ogromne, rezydencje zamieniano więc nągminnie na siedziby lokalnych władz, szkół, ośrodków zdrowia względnie na mieszkania dla najbardziej potrzebujących. Łatwo sobie wyobrazić jak nowi użytkownicy traktowali budynki, których nie uważali za swoją własność i które nie nadawały się zresztą do pełnienia nowych funkcji. Tym niemniej znalezienie najgorszego choćby użytkownika było dla zabytku zbawieniem. Obiekty definitywnie opuszczone w roku 1945 dziś z reguły już nie istnieją. Na wsi przybywało z czasem budynków użyteczności

publicznej i domów mieszkalnych, a rabunkowa eksploatacja rezydencji sprawiała, że stopniowo przestawały się nadawać do jakiegokolwiek użytku. Od lat 60-tych rozpoczął się też coraz powszechniejszy proces wtórnego ich opuszczania, prowadzący do nieuchronnego popadania w kompletną ruinę. Tendencji tej nie da się odwrócić. Wiejskie rezydencje straciły po prostu swe społeczno-ekonomiczne podłoże. Jest bardzo znamienne, że pewna ich ilość zachowała się w stosunkowo dobrym stanie w tych miejscowościach, gdzie majątki zamieniono na PGR-y, i gdzie stanowią one jak dawniej centrum gospodarstwa. (Nie bez znaczenia są tu zapewne i ziemiańskie atawizmy niektórych kierowników gospodarstw, a szczególnie stadnin koni, w których do dziś panuje często kawalerski fason i porządek). Dalszy niewielki procent zabytków udało się uratować przez urządzenie w nich muzeów oraz siedzib różnych instytucji kulturalnych. Przykładami mogą być tu Radziejowice i Obory, które odegrały tak ważną rolę w dziejach powojennej kultury polskiej, czy też podlegający warszawskiemu Muzeum Narodowemu pałac w Nieborowie, jedyna właściwie rezydencja, która zachowała w całości oryginalne wyposażenie. Nie przyniosły szerszych rezultatów próby zainteresowania wiejskimi pałacami zakładów przemysłowych, które mogłyby je wykorzystać dla celów reprezentacyjnych i rekreacyjnych. Nie udało się też zrealizować rozsądnego pomysłu, polegającego na umożliwieniu przejmowania mniejszych obiektów przez osoby prywatne. Konserwatorzy opracowywali całe listy będących do dyspozycji budynków, na przeszkodzie stanęły jednak przepisy zabraniające nabywania gospodarstw rolnych przez osoby nie posiadające specjalnych uprawnień. Półhektarowy ogród czy resztką parku wokół dworu stanowi już w myśl prawa gospodarstwo, nic więc dziwnego, że udane przedsięwzięcia tego rodzaju można policzyć na palcach. Dzisiaj, w połowie lat osiemdziesiątych, wielowiekowa historia polskiej rezydencji wiejskiej jest już w zasadzie zamknięta. Można mieć nadzieję na przetrwanie pewnej ilości zabezpieczonych przykładów, jednakże, podstawowa masa obiektów już nie istnieje, lub też jest skazana na ostateczne zniknięcie w niedługim już czasie. Najlepsi konserwatorzy nie są w stanie nic zrobić. Ileż to razy zdarzało mi się przedostawać do wnętrza pałacu czy dworu przez wielką jak wrota dziurę w ścianie, podczas gdy na szczelnie zamkniętych drzwiach wisiała tabliczka z orłem i groźnym napisem „Obiekt zabytkowy prawnie chroniony”.

Przedstawiony przeze mnie obraz może się wydawać skrajnie pesymistyczny. Niestety nie jest on przesadzony. Przeciwnie, starałem się unikać wyliczania drastycznych szczegółów, starając się raczej koncentrować na tendencjach ogólnych i uwarunkowaniach

społeczno-ekonomicznych zagadnienia. Czyżby nie było więc wyjścia z obecnego fatalnego stanu ochrony zabytków w Polsce? W ramach obecnie panującego systemu — nie. Tak samo jak nie ma szans na poprawę sytuacji ekologicznej, na wyjście z kryzysu rolnictwa, oświaty, budownictwa mieszkaniowego i tylu innych dziedzin. Specyfiką zabytków jest na tym tle w gruncie rzeczy tylko ich niepowtarzalność, decydująca o niemożności naprawienia raz powstałych szkód nawet w tym stopniu, w jakim możliwe jest ponowne zasadzenie uschniętego lasu, czy oczyszczenie zatrutych wód rzek. Każdy, kto fakt ten neguje czy bagatelizuje, dopuszcza się oszustwa wobec opinii publicznej, a co gorsza, wobec samego siebie.

Piotr Paweł URSYN

## O polskich wydawnictwach konspiracyjnych i niezależnych

(Na marginesie artykułu Witolda Pileckiego o tym samym tytule w nr. 33/1985 *Kontaktu*)

Nasza rubryka zachęcała niezależne czasopisma w Kraju do rejestrowania ogólnopolskich wydawnictw podziemnych, jak dotąd głównie książkowych. Poważniejszą próbę zestawienia konspiracyjnych czasopism powzięto na łamach *Obecności*. Autor ukrywający się pod pseudonimem Cyryl Iwański<sup>1</sup> zestawił w ramach swego artykułu bibliografię wrocławskiej prasy niezależnej i druków zwartych opublikowanych tylko od 13. XII. 1983 do 15. V. 1984 roku, gdyż: „Pełny spis prasy oraz innych wydawnictw niezależnych datowanych po 13. XII. 1981 roku obejmuje około 130 pozycji. Jego publikacja okazała się niemożliwa ze względów objętościowych”. Tymczasem podano tam mniej lub bardziej dokładnie 41 opisów tytułów czasopism i wzmiankowano o dalszych 31. Ponadto wymieniono, dając bardzo oszczędne opisy, 20 książek.

Z dużym opóźnieniem dotarło pismo *Polityka polska*, w którym w nr. 2/3 z 1983 roku opublikowano anonimowo bibliografię<sup>2</sup> 102 konspiracyjnych druków zwartych, wydanych od końca

1. Iwański Cyryl [pseud.]: „Wrocławska bibuła”. *Obecność* (Wrocław) 1984, nr 6, str. 65-71.

2. [Pilecki Witold, pseud.]: „Bibliografia”. *Polityka polska* (Warszawa) 1983, [nr] 2/3, str. 97-103.

1982 do I połowy 1983 roku oraz podano zawartość 16 numerów z 13 tytułów czasopism politycznych, społecznych i literackich. Kontynuacja jej ukazała się w nr. 5 z 1984 roku tego pisma pod pseudonimem Witolda Pileckiego<sup>3</sup> dla okresu amnestyjnego 23. VII. 1983 - 31. XII. 1983. Tym razem bez wątpienia ten sam autor obu bibliografii opisał 262 druki zwarte oraz dał spis zawartości 27 numerów z 18 tytułów czasopism.

Trzeba przyznać, że uczynił to fachowo, dając bardzo dokładne opisy książek z podaniem nie tylko formatów w centymetrach, ale również formatów papierniczych (A 4, 5, 6, 7), co jest już lekką przesadą. Bliższa analiza formalna tych opisów wskazuje, że autor wzorował się na bibliografii druków konspiracyjnych z okresu niemieckiej okupacji opracowanej przez W. Chojnackiego<sup>4</sup> i to zarówno przy sporządzaniu samych opisów, jak i przez zastosowanie dużej liczby wszelkiego rodzaju odsyłaczy do tytułowych włącznic, co jest też przesadą. Nie można stawiać znaku równości między tamtymi a obecnymi drukami konspiracyjnymi, które w dużej mierze są przedrukami wydawnictw emigracyjnych, powstają w innych warunkach i pod innymi zagrożeniami, niż w czasie okupacji niemieckiej. Tekst pisany na maszynie nie pozwala na zróżnicowanie czcionek i w wypadku dawania nadmiaru informacji w samym opisie bibliograficznym druku, co dość często tam występuje, sprawia że opis staje się niezrozumiały lub mało czytelny. Dlatego winno się je przenosić do adnotacji.

To samo występuje w nieopublikowanej, lecz rozpowszechnianej w formie maszynopisu przebitkowego bibliografii wydawnictw książkowych w okresie stanu wojennego tegoż autora<sup>5</sup>, w której umieścił również wydawnictwa niezależne wydrukowane przed wprowadzeniem stanu wojennego, ale rozprowadzane konspiracyjnie po 13. XII. 1981 roku. Można się spierać o słuszność tej zasady, jako że i obecnie raz po raz są rozprowadzane stare „przedwojenne” nakłady opatrzone stempelkami z nowymi cenami. Do jakiej kategorii należałoby je zakwalifikować? Ostatecznie nie to jest najważniejsze, ale sam fakt pojawienia się w Kraju „Estreichera podziemia”, który z dużą rzetelnością podjął się pracy trudnej, wymagającej ciągłych poszukiwań i niebezpiecznej. O tych trudnościach świadczą duże luki w jego bibliografiach i dlatego zastosowane przezeń cezury okresów stanu wojennego, amnestyjnego itp. są sztuczne, nie mają pokrycia w rzeczywistości. Nie da się bowiem precyzyjnie określić czasu ukazania się danej książki aż po datę dzienną, skoro nie

3. Pilecki Witold [pseud.]: „Bibliografia. Okres amnestyjny 23. VII. 1983 - 31. XII. 1983”. *Polityka polska* 1984 [nr] 5, str. 46-56.

4. Chojnacki Władysław: „Bibliografia zwartych druków konspiracyjnych wydanych pod okupacją hitlerowską w latach 1939-1945”. Warszawa 1970, str. 309.

5. Pilecki Witold [pseud.]: „Materiały do bibliografii druków zwartych stanu wojennego w Polsce”. Sierpień 1983, str. 62, maszynopis.



można nawet pokusić się o zestawienie w *wszystkich* książek wydanych w tamtym okresie!

Świadczy to o zbyt wielkiej pewności siebie autora, co znajduje też potwierdzenie w innych jego opracowaniach, skądinąd bardzo cennych i ciekawych. W tym samym czasie, bo w styczniu br. ukazały się dwa jego artykuły w paryskim *Kontakcie*<sup>6</sup> i krakowskim *Bez Dekretu*<sup>7</sup>. Pierwszy powstał — jak autor na wstępie wyjaśnił — „Na marginesie artykułów w *Kulturze*: „Dwieście lat polskiej prasy konspiracyjnej” — nr 12/1982; „List z Polski” — nr 11/1982 i „Spis wydawnictw podziemnych w PRL (3)” — nr 5/1983”. Autor zajął się właściwie tylko tym pierwszym artykułem i doszedł do wniosku, że „artykuł ten zawiera zbyt liczne błędy i istotne luki, by mógł dać reprezentatywny obraz tej tak bardzo charakterystycznej dla Polaków działalności”.

Oczywiście autor nie wiedział, że artykuł nie był specjalnie napisany do niniejszej rubryki, lecz znalazł się tu całkiem przypadkowo, będąc tłumaczeniem tekstu napisanego w Polsce na zamówienie berneńskiego dwutygodnika *Zeit Bild*<sup>8</sup>. Szkoda tylko, że Redakcja *Kultury* nie wspomniała o tym choćby w przypisie, bo zrozumiałą jest chyba rzeczą, że trudno pisać dla Szwajcarów szczegółową historię wydawnictw konspiracyjnych w Polsce od XVI wieku począwszy. Tak czy owak dobrze się stało, że sprostował on p. Witolda Pileckiego do opublikowania szkicu historycznego o polskich wydawnictwach konspiracyjnych i niezależnych na przestrzeni połowy tysiąclecia! Świadczy on, że autor zajmuje się z pasją tym dziewiczym w naszej literaturze naukowej tematem i o dojściu do interesujących ustaleń, które zapewne zachęca również i innych badaczy do pracy nad tym zagadnieniem.

Autor omówił w sposób bardzo skrótowy okres XVI-XVIII wieków, zatrzymując się nieco dłużej nad wiekiem XIX. Pominął całkowicie wydawnictwa z okresu rewolucji 1905-1907 oraz pierwszej wojny światowej, kiedy na terenach okupowanych przez Niemców i Austriaków ukazało się kilkakrotnie więcej druków konspiracyjnych niż w poprzednich wiekach! Tak więc z końca XIX wieku Pilecki przeskoczył od razu do okresu drugiej wojny światowej i tu zaraz na początku strzelił gafę, wytykając anonimowemu autorowi wyżej wspomnianego artykułu, że pierwsze pismo konspiracyjne, *Polska żyje*, ukazało się nie w październiku 1939 roku, lecz 19 września, powołując się na informację umieszczoną w pracy S. Lewandowskiej<sup>9</sup> na str. 36. Tymczasem na stro-

6. Pilecki Witold [pseud.]: „O polskich wydawnictwach konspiracyjnych i niezależnych”. *Kontakt* (Paryż) 1985, nr 33, str. 31-35.

7. Pilecki Witold [pseud.]: „Niezuważona rocznica. Czterdziestolecie prasy konspiracyjnej w PRL”. *Bez Dekretu* (Kraków) 1985, nr 3, str. 35-39.

8. „Zweihundert Jahre Untergrundpresse in Polen”. *Zeit Bild* (Bern) 1982, nr 21 z 20 października, str. 6-7.

9. Lewandowska Stanisława: „Polska konspiracyjna prasa informacyjno-polityczna 1939-1945”. Warszawa 1982, str. 445, nln. 1.

nie 36 Lewandowska pisze, że pierwszy numer *Polska żyje* ukazał się, 10 października 1939 roku”. Podobnie Pilecki zarzucił autorom „Centralnego katalogu prasy konspiracyjnej 1939-1945”, że nie uwzględnili czasopism wydawanych pod sowiecką okupacją, chociaż w przedmowie wyraźnie zaznaczyli, że uwzględniają tylko prasę wychodzącą pod hitlerowską okupacją.

W innym miejscu Pilecki pisze: „Autor wspomina o 500 zanotowanych ulotkach wydanych przez polskie podziemie w czasie drugiej wojny światowej. Jest to wielkość nie odzwierciedlająca faktycznej ilości wydanych w tym czasie ulotek, która na pewno musiała iść w tysiące”. [...] podanie liczby ulotek wielokrotnie mniejszej od ilości samych tytułów tylko tytułów prasy konspiracyjnej tego okresu wydaje się być nieporozumieniem”. Nie należy utożsamiać słowa „z a n o t o w a n y c h”, czyli opisanych, ze słowem „wydanych”. Może p. Pilecki wskaże osobę, która opisała te tysiące ulotek?

Najciekawsza część artykułu W. Pileckiego dotyczy wydawnictw konspiracyjnych okresu PRL, którą autor w nieco poszerzonej formie opublikował także w podziemnym czasopiśmie *Bez Dekretu*<sup>10</sup>. Autor zacytował we wstępie „List niestałego czytelnika”, w którym znalazło się zdanie: „Tymczasem nikt dotąd nie zainteresował się, a przynajmniej nic nie opublikował na temat prasy konspiracyjnej, wydawanej na naszych ziemiach wschodnich pod sowiecką okupacją w latach 1939-1941 i od 1944 roku, a także nikt dotąd nie pisał o podziemnych wydawnictwach prasowych, książkowych i ulotnych wydawanych na ziemiach polskich między 1944 a 1949 rokiem”. W dalszym ciągu apelował „do wszystkich, którzy wydawali, redagowali i choćby tylko czytali te wydawnictwa: piszcie na ten temat do redakcji czasopism konspiracyjnych w Kraju bądź emigracyjnych za granicą!”.

Można więc przypuszczać, że obydwa artykuły W. Pileckiego są jakby odzewem na ten apel. Zapewniamy „Niestałego Czytelnika”, że my tutaj interesujemy się i to nawet bardzo wypełnieniem tej luki w dziejach prasy polskiej, jak to wynika z poniższych uwag, a zwłaszcza uzupełnień do spisów W. Pileckiego: czasopism wydawanych pod okupacją sowiecką w latach 1939-1941, broszur wydawanych konspiracyjnie po tzw. „uwolnieniu” w latach 1944-1949 oraz czasopism z tego okresu. W pierwszej grupie autor wymienił 6 tytułów czasopism z Białegostoku, Lwowa i Wilna, my tutaj dorzucamy jeszcze 11 dalszych:

1. *Jeszcze Polka nie zginęła!* (Lwów 1940). 2. *Narodowiec polski* (Lwów 1940). 3. *Ogniwo* (Czortków 1939-1940). 4. *Opór* (Lwów 1940). 5. *Pobudka* (Lwów 1940). 6. *Walka* (Lwów 1941). 7. *Wiadomości dla Polaków* (Lwów 1940). 8. *Wiadomości narodowe* (Suwalszczyzna, przed marcem 1941). 9. *Wytrwamy* (Lwów od lutego 1940 do września 1945). 10. *Za Naszą i Waszą wolność* (Wilno 1940). 11. *Ziemia lwowska* (Lwów 1940-1941). Pomijamy tu tytuły

10. Pilecki Witold [pseud.]: „Niezuważona rocznica. Czterdziestolecie prasy konspiracyjnej w PRL”. *Bez Dekretu* (Kraków) 1985, nr 3, str. 35-39.

konspiracyjnych czasopism ukraińskich, nawet wydawanych w języku polskim.

W rozdziale „Konspiracja powojenna 1944-1957” W. Pilecki zestawiał 106 tytułów prasy konspiracyjnej wydawanej na ziemiach polskich pod sowiecką okupacją i w PRL w latach 1944-1947. Wśród niej wymieniono jedno pismo ukraińskie (*Biuletyn informacyjny UPA*, 1947); jedno wydane tylko w okresie okupacji niemieckiej (*Informator wewnętrzny Roju Szarych Szeregów* w Zbigniewowie 1945 — w rzeczywistości ukazywał się ten tytuł od listopada 1943 do czerwca 1944) oraz broszurę pt. „Zatruta pigułka”, wydaną w 1945 roku przez Ruch Oporu i odbitą w zakładach graficznych Polski Podziemnej „Wirówka”. My pozwalamy sobie tutaj dorzucić 94 nowe tytuły czasopism, które — w przeciwieństwie do W. Pileckiego — niemal wszystkie poznaliśmy z autopsji:

1. *Agencja polityczna „Strop”* (Warszawa 1945).
2. *Agencja Równość* (Warszawa 1945).
3. *Agencja społeczno-polityczna* (Warszawa 1945).
4. *Biuletyn informacyjny* (Rzeszowskie 1945).
5. *Biuletyn informacyjny* (Wilno 1944).
6. *Biuletyn wewnętrzny* (Warszawa 1945).
7. *Bojowy znak* (Wilno 1944).
8. *Czarne na białym* (B.m.w.\* 1944).
9. *Czuj duch* (Przemyśl 1944-1945).
10. *Czyn* (Olsztyńskie 1945).
11. *Do zwycięstwa* (B.m.w. 1945).
12. *Dokumenty chwili* (Lublin 1945).
13. *Drogowskaz* (B.m.w. 1945).
14. *Echa leśne* (Siedlce 1945-1946).
15. *Echo* (Lubelskie 1944).
16. *Ekspres podolski* (Czortków 1945).
17. *Gazetka ścienna* (B.m.w. 1945).
18. *Głos Polski* (Kielce 1945).
19. *Głos prawdy polskiej* (B.m.w. 1945).
20. *Głos spod ziemi* (Łomża 1945).
21. *Głos wsi* (B.m.w. 1945).
22. *Głos z nad Narwi* (B.m.w. 1945).
23. *Głos z podziemia* (B.m.w. 1947).
24. *Informacje polskie* (Chełm Lubelski 1944).
25. *Informator podolski* (Czortków 1944-1945).
26. *Iskra* (B.m.w. 1945).
27. *Iskra* (Siedlce 1945).
28. *Jestem Polakiem* (B.m.w. 1945).
29. *Jutro Warszawy* (Warszawa 1944-1945).
30. *Kraj* (Warszawa 1945).
31. *Kresowy komunikat* (Tarnopolskie 1945).
32. *Kresowy zew* (Tarnopolskie 1944).
33. *Kronika wileńska* (Wilno 1944-1945).
34. *Królowej Swej* (Lwów 1944).
35. *Lubelska Agencja Informacyjna* (Lublin 1944).
36. *Lubelski biuletyn radiowy* (Lublin 1944).
37. *Lubelskie wiadomości codzienne* (Lublin 1944).
38. *Myśl polska* (B.m.w. 1946).
39. *Na tropach wolności* (Przemyśl 1944-1945).
40. *Naród* (Warszawa 1945).
41. *Nasz biuletyn* (B.m.w. 1944-1946).
42. *Nasza sprawa* (Stryj 1944).
43. *Niepodległość* (Wilno 1944).
44. *Nurt* (Białystok 1945).
45. *Ojczyzna* (Wilno 1944).
46. *Okręgowy biuletyn wewnętrzny* (Kraków 1945).
47. *Orlą* (Wilno 1944).
48. *Orły* (Lwów 1944-1945).
49. *Partia* (B.m.w. 1946).
50. *P.I.R. [Polska Informacja Radiowa]* (Warszawa 1945).
51. *Płomień* (Lublin 1944).
52. *Pobudka* (Rudnik 1947-1949).
53. *Podar* (okolice Ciechanowca 1945).
54. *Polak* (Lwów 1945).
55. *Polska* (Warszawa 1945).
56. *Polska informacja polityczna* (Warszawa 1945).
57. *Polska informacja tygodniowa 'P.I.T.'* (B.m.w. 1945).

\* B.m.w. = Bez miejsca wydania.

58. *Polska niezależna* (B.m.w. 1945).
59. *Polska walcząca* (Kielce 1946).
60. *Polska walczy* (B.m.w. 1945).
61. *Polski tygodnik radiowy* (Wilno 1944).
62. *Prawda* (Lwów 1944).
63. *Prawda polska* (B.m.w. 1945).
64. *Przedświt* (Wołkowysk 1944-1945).
65. *Przegląd krajowy* (Warszawa 1946).
66. *Sprawy polskie w świecie* (B.m.w. 1945).
67. *Strażnica kresowa* (Czortków 1945).
68. *Szczerbiec* (Opoczno 1949).
69. *Szerszeń* (Lublin 1945).
70. *Szydło* (B.m.w. 1946).
71. *Świt* (Rudnik 1947-1949).
72. *Świt Polski* (Nowogródzkie 1944-1945).
73. *Uwagi na czasie* (B.m.w. 1945).
74. *Walczymy* (B.m.w. 1945).
75. *Walka* (Lublin 1945-1946).
76. *Walka do zwycięstwa* (Lubelskie 1947-1949).
77. *Walka światopoglądowa* (B.m.w. 1945?).
78. *Warszawa Niepodległa* (Warszawa 1945).
79. *Wiadomości* (Lublin 1944).
80. *Wiadomości radiowe w ogniu walki* (B.m.w. 1945).
81. *Wiadomości robotnicze* (B.m.w. 1945).
82. *Wiadomości tygodniowe* (B.m.w. 1945).
83. *Wola* (B.m.w. 1946).
84. *Wolność i demokracja* (Lublin 1944).
85. *Wschód* (B.m.w. 1945).
86. *Wydawnictwo „Polski Niezawisły”* (Warszawa 1945).
87. *Wyzwolenie* (Warszawa 1945).
88. *Zerwijmy pęta!* (B.m.w. 1944-1945).
89. *Zew* (B.m.w. 1945).
90. *Zew narodu* (B.m.w. 1945).
91. *Zew podziemia* (Zamość, Garbatka 1944).
92. *Znak* (Wilno 1944).
93. *Zręb* (Lublin 1944).
94. *Żagiew* (Lublin 1944).

Oprócz czasopisma W. Pilecki zestawiał jeszcze 8 tytułów broszur konspiracyjnych, wydanych w tym samym czasie (1945-1946), z których jedna Zygmunta Zaremby: „Powstanie sierpniowe” (wydanie 1) nie ukazała się w 1945 roku, ale już w listopadzie 1944 roku pod niemiecką okupacją (informuje o tym wspomniana wyżej bibliografia W. Chojnackiego na str. 266). Nie było również broszury pt. „Testament Polski Walczącej”, jedynie czterostronicowa odezwa Rady Jedności Narodowej do Narodu Polskiego i do Narodów Zjednoczonych z 1. VII. 1945 roku, wydana dwukrotnie pod tym nagłówkiem. Przedrukowano ją w 1981 roku poza cenzurą z opuszczeniem ostatniego jej rozdziału pt. „Testament Polski Walczącej”, w którym zamieszczono m.in. 12 postulatów wobec władz rządzących Polską. Trudno zrozumieć, czemu anonimowy wydawca z 1981 roku nie umieścił tego rozdziału, a posłużył się jego tytułem dla swej publikacji.

Autorem broszury wymienionej w spisie W. Pileckiego pt. „Bój Warszawy 1 sierpień - 2 październik 1944”, a wydanej w lipcu 1945 roku w Krakowie był Roman Goldman.

Wykaz broszur, jaki zestawiał W. Pilecki z lat 1945-1946, można jeszcze uzupełnić o dalsze 22 tytuły, z pominięciem znanych nam z autopsji wydawnictw ukraińskich w języku polskim wydanych w Kijowie i we Lwowie:

1. *Co myślą „ludzie z lasu” o polskiej rzeczywistości?* B.m.w. [1945].
2. *Debaty polskie w parlamencie Wielkiej Brytanii*. B.m.w. 1946.
3. *Faszyzm i komunizm*. B.m.w. 1946.
4. *Gałązka* [pseud.]: *Ziemia dla chłopów*. [Markowa] Listopad 1944.
5. *Geografia polityczna*. B.m.w. [1946].

6. *Katyń* B.m.w. [1945].
7. *Lubelska Targowica*. B.m.w. [1945].
8. (M.L.): *Do wolnych narodów świata*. [Wiersze]. B.m.w. [1945].
9. *Nowa Targowica*. [Lublin] Październik 1944.
10. *O wolność obywatela i niezawisłość państwa*. 'Wytyczne ideowe'. B.m.w. [1945].
11. *Płomień* [pseud.]: *Prawda Warszawy*. [Markowa] Wrzesień 1944.
12. *Polska i Sowiety*. B.m.w. Lipiec 1945.
13. *Powstanie Warszawy 1. VIII - 1944 - 2. X*. B.m.w. [marzec 1945].
14. *Program kursu szkolenia organizacyjnego 'okresu kandydackiego'* [Stronictwa Narodowego]. B.m.w. [1946].
15. Prus T. [pseud.]: *Gawędy organizacyjne 'zestaw do szkolenia organizacyjnego'* [SN. Warszawa 1946].
16. *Rzeczywistość polityczna roku 1945*. B.m.w. [1945].
17. *Sprawa Polski w świecie 'wybór artykułów politycznych z prasy polskiej zagranicą'*. Część I. B.m.w. 1946 (Wydane z ochronną okładką: Stefan Litauer: *Zmierzch Londynu*. Warszawa-Łódź 1946).
18. *Sprawa rokowań o zjednoczenie PPS*. [Warszawa 1946].
19. *W obliczu okupacji sowieckiej*. B.m.w. [1945].
20. *Wielka Polska 'referat wstępny'*. B.m.w. [1946].
21. *Wyniszczenie narodu polskiego*. B.m.w. [1946].
22. *Zalety i wady charakteru narodowego*. [Lwów 1945].

„Oczywiście, o wiele większa była liczba druków ulotnych wydanych przez powojenną konspirację — pisze dalej W. Pilecki. — Śmiało można przypuszczać, że przekracza tysiąc pozycji. Spotkałem się z ponad 200 różnymi ulotkami wydawanymi najrozmaitszymi technikami, od normalnego druku począwszy, poprzez różne formy powielania, na ręcznie pisanych skończywszy”. Szkoda wielka, że autor im się tylko przyglądał, nie opisując ich bibliograficznie, gdyż właśnie ulotki stanowią obecnie większą rzadkość niż czasopisma. Nam udało się zarejestrować niespełna setkę ulotek.

W dalszym ciągu swego artykułu W. Pilecki omówił nieliczne czasopisma podziemne z okresu 1956-1974 bez podania jakichkolwiek tytułów. Natomiast poświęcił więcej miejsca prasie opozycji lat 1976-1980, obliczając ją na przeszło sto pozycji, z których przytoczył 65. W rzeczywistości ukazywało się ponad 500 tytułów czasopism w tym pięcioletnim okresie czasu.

Jak więc widać z tego pobieżnego, z braku miejsca, przeglądu artykułu W. Pileckiego z *Kontakt* (artykuł umieszczony w *Bez Dekretu* nie wniósł tu niczego nowego) autor jego również nie ustrzegł się błędów, niedokładności czy zwykłej niewiedzy, omawiając dziedzinę zupełnie dotąd nieznaną. Wprawdzie *errare est humanum*, a sama niewiedza nie zasługuje na potępienie, to jednak dziwi pewność siebie autora w krytykowaniu innych. Bibliografia jest dziedziną nauki wymagającą od osób parających się nią wiele entuzjazmu, pracowitości, dokładności i... pokory, takiej jaką odznaczał się nasz niedościgniony wzór Karol Estrei-

cher (starszy). On najlepiej wiedział z własnych, nieraz bolesnych doświadczeń, jak trudno jest odszukać wydawnictwa polskie i rozproszone polonika zagraniczne oraz ile popełnia się błędów, gdy rejestruje się je z drugiej ręki.

Więc my, anonimowi bibliografowie „z Bożej łaski” jesteśmy jego kontynuatorami, starając się na wąskim odcinku bibliografii narodowej często nieudolnie kontynuować Jego dzieło, aby zachować dla potomności pamięć o dorobku eksterminowanej polskiej kultury w obecnym czasie. Spłacamy równocześnie naszą pracę choć odrobinę długu wdzięczności, jaki nasza Ojczyzna zaciągnęła wobec Karola Estreichera (starszego), którego dziad przybył do nas z Moraw.

## SYTUACJA W ŚRODOWISKACH ARTYSTYCZNYCH KRAKOWA

Dobrze zorganizowana jest pomoc finansowa dla osób bojkotujących sektor państwowy, ale o szczegółach nie chcą organizatorzy informować.

Rolę integrującą środowisko artystyczne spełnia m.in. duszpasterstwo zorganizowane w kościele św. Szczepana.

*Literaci*. Bojkot prasy reżimowej i imprez reżimowych trwa. Literaci i dziennikarze drukują w *Tygodniku Powszechnym*. „Znak” drukuje książki (ostatnio J. J. Szczepańskiego). W kościołach odbywają się spotkania autorskie. W KIK-u raz w miesiącu „pismo mówione” — czyta się na głos nowe utwory — impreza ma ogromne powodzenie.

Wielu literatów i dziennikarzy jest na rencie tzw. „twórczej”, którą załatwili sobie po 13 grudnia — renta w wysokości pensji docenta PAN.

*Plastycy i fotograficy*. Większość bojkotuje rządowe wystawy indywidualne za co władza bije ich nie kupując ich dzieł. Organizuje się liczne wystawy w lokalach nierządowych (jak różne kluby) oraz w lokalach sakralnych (np. comiesięczna wystawa grafiki w Kamieniołomach na Podgórzu, indywidualne wystawy w galerii Papieskiej Akademii Teologicznej, w kościele w Mistrzejowicach. Kościół organizuje konkursy (na medale, rysunki itp.).

*Aktorzy*. Bojkot TV jest sprawą indywidualną. Jest duża grupa aktorów, którzy nigdy się w TV nie pokazują. Młodzi z bojkotu są całkowicie wyłączeni. Niezależnie od tego gdzie występują, aktorzy biorą licznie udział w programach artystycznych w kościołach.

*Muzycy*. Mało o nich wiadomo. Obejmuje ich również działalność kulturalna Kościoła; biorą udział w spotkaniach z twórcami.

### KOMITETY OBRONY PRAW CZŁOWIEKA

W Małopolsce działają dwa: 1) Komitet będący kontynuacją działalności KOWiP sprzed 13 grudnia, ostatnio przyjął nazwę: Komitet Obrony Więzionych i Prześladowanych za Przekonania Polityczne „Solidarność” Regionu

Małopolska. Zrzesza on niewielu (kilkunastu) członków. Przed wpisywaniem odstrasza jąco działając pewne nazwiska członków komitetu znanych jako ludzie niepoważni. Komitet wydaje pismo *Homo Homini*. Za zadanie stawia sobie, oprócz demaskowania nieprawości, udzielanie pomocy materialnej i prawnej prześladowanym. W tym zakresie mają małe możliwości i potrzebujących odsyłają raczej do innych odpowiednich instytucji. Działła w konspiracji. 2) Małopolski Komitet Walki o Praworządność — zajmuje się podawaniem do wiadomości publicznej bezceństw aparatu bezpieczeństwa. Interesuje się fachowo-prawną stroną poczyną władzy. Działła w konspiracji. Opracował i wydał: „Pięć miesięcy stanu wojennego w Małopolsce” i „Dziesięć miesięcy stanu wojennego w Małopolsce”. Działła także Inicjatywa Obywatelska „Przeciw Przemocy”. Oświadczenia dotyczące łamania prawa przez MO i SB członkowie podpisują nazwiskami (kilkanaście nazwisk, bardziej znane to St. Handzlik, M. Gil). Powstała po zamordowaniu ks. J. Popiełuszki. Wspólnie z ks. T. Zaleskim ujawnili sprawę zamordowania, w niewyjaśnionych okolicznościach, działacza „Solidarności” T. Frysia.

Działalność wszystkich tych komitetów była odnotowana przez kolejne numery „SI”, np. 4/99 z 1985 r.

Działacze „Solidarności” Małopolska, którzy wyemigrowali w 1984 roku: Józef Baran — Norwegia, Krzysztof Bzdyl — USA, Tadeusz Białokórski, Roman Lonc — Szwecja, Władysław Maczuga — Kanada, Tadeusz Sławiński — USA, Piotr Mazurek — USA, Tadeusz Świdziński — USA, Jarosław Zadencki.

## ZACHODNIE PRZEDSTAWICIELSTWA NIEZALEŻNYCH ORGANIZACJI, INSTYTUCJI I PISM KRAJOWYCH

TKK NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”: — Biuro Koordynacyjne NSZZ „Solidarności” za granicą (9, avenue Joyeuse Entrée, 1040 Bruxelles, Belgia).

KOMITET KULTURY NIEZALEŻNEJ, ZESPÓŁ OŚWIATY NIEZALEŻNEJ, SPOŁECZNY KOMITET NAUKI (OKNO): — Leszek Kołakowski (All Souls' College Oxford, Wielka Brytania) oraz Piotr Lasota (Observatoire de Paris, Section de Meudon, 92195 Meudon, Principale Cedex, Francja).

ARCHIWUM SOLIDARNOŚCI: — Leszek Kołakowski i Irena Lasota (C.S.O.S., 275, Seventh Avenue, 25th Floor, New York, U.S.A.).

KOMITET HELSIŃSKI: — C.S.O.S. (275, Seventh Avenue, 25th Floor, New York, U.S.A.) oraz *Kontakt* (152, rue Saint Maur, 75011 Paris, Francja).

SOLIDARNOŚĆ WALCZĄCA: — Andrzej Mietkowski (5, rue Jacquemont, 75017 Paris, Francja); Andrzej Wirga (6500 Mainz 1, Berlinerstr. 61, RFN) oraz Jerzy Janowski (Blunkeslettveg 5 B, 1800 Askim, Norwegia).

ORGANIZACJA (i pismo) „NIEPODLEGŁOŚĆ”. Stali współpracownicy: Leszek Truchlewski (2, rue Davy, 75017 Paris, Francja) oraz Janusz Cupryjak (Furutavägen 29a, 35254 Växjö, Szwecja).

WYDAWNICTWO „KRAĞ”: — „ANEKS” (61 Dorset Road, Londyn W5 4HX, Wielka Brytania).

AGENCJA FOTO-NOWA: — Independent Polish Agency (Box 2113, 22002 Lund 2, Szwecja).

ARKA, KWARTALNIK PUBLICYSTYCZNY, Kraków: — Wojciech Sikora (50, Bd. Victor Hugo, Bat. B4, apt. 32, 92110 Clichy).

TYGODNIK WOJENNY: — Paweł Gajowniczek (Lindebergsgaten 32 B, 1068 Oslo 10, Norwegia).

WEZWANIE — WARSZAWSKIE PISMO LITERACKIE: — Marek Michalski (Box 50112, 10405 Stockholm, Szwecja).

WYDAWNICTWO „WYDAWNICTWO”: — Irena Lasota (C.S.O.S., 275 Seventh Avenue, 25th Floor, New York, U.S.A.).

VETO (Kwartalnik poznański), WYDAWNICTWO „WYTRWAŁOŚĆ”, Warszawa: — Tomasz Łabędź (495, Cité de l'Etoile, 93000 Bobigny, Francja).

### KOMPLET „KULTURY” (1947-1983) NA MIKROFISZACH

Niewiele księgozbiorów na świecie posiada pełne komplety *Kultury*, która ukazuje się w Paryżu regularnie od 1947 roku. Pragnąc wypełnić istniejące zapotrzebowanie w kraju i na Zachodzie zlecieliśmy INDEPENDENT POLISH AGENCY przygotowanie kompletu dotychczasowych roczników *Kultury* na mikrofiszach.

Mikrofiszowa edycja roczników *Kultury* (1947-1983) zawarta jest na 804 fiszach formatu 10,5×14,8 cm. Każdy rocznik jest w oddzielnej kopercie. Całość przesyłana jest w dwóch plastikowych pudełkach, stanowiących podręczną kartotekę.

Cena kompletu roczników *Kultury* wynosi 750 dolarów amerykańskich lub równowartość w innych walutach. Cena pojedynczego rocznika wynosi 25 dolarów amerykańskich (wraz z kosztami przesyłki).

Zamówienia należy zgłaszać do:

**IPA, Box 2113, 220 02 LUND, SWEDEN.**

Tel. international: 46/46 14-34-16.

Należności należy przekazywać na IPA: Międzynarodowym przekazem pocztowym — POSTGIRO SWEDEN 469050-9 albo przelewem bankowym na SE BANKEN SWEDEN, LUND 5624-0044911 względnie International MO na IPA, Box 2113, 22002 Lund 2, Sweden.

Edycja roczników *Kultury* na mikrofiszach będzie systematycznie kompletowana. Rocznik 1984 już się ukazał.



W najbliższym czasie będzie do nabycia komplet mikrofisz ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH od początku do roku 1984 włącznie (Nry 1-70) w cenie \$ USA 250,00 lub równowartość. Zgłoszenia można nadsyłać już obecnie do redakcji *KULTURY*.



## VIDEO-KONTAKT

152, rue Saint Maur  
75 011 Paris  
France  
tel. (1) 581.20.31

### FILMY NA VIDEO-KASETACH

## KALENDARZ WOJNY

Film jest drobiazgowym opisem rzeczywistości polsko-jaruzelskiej wojny, przedstawia najważniejsze wydarzenia w Polsce od 13 grudnia 1981 roku, aż do pogrzebu ks. Jerzego Popiełuszki w październiku 1984 roku. Dokument zrealizowany jest w oparciu o archiwalne materiały filmowe. Unikalne obrazy widziane okiem kamer, które uszły uwadze strażnikiem pogodniowego porządku. (czas 50 min., cena 50 dol. USA)

## KULTURA

Jerzy Giedroyc, Zofia Hertz, Józef Czapski, Gustaw Herling-Grudziński oraz Konstanty Jeleński i Czesław Miłosz – twórcy i współpracownicy Instytutu Literackiego w Paryżu opowiadają o powstaniu, historii i dniu codziennym Instytutu, który jest w polskim życiu politycznym i kulturalnym fenomenem nie mającym sobie równych. (czas 50 min., cena 50 dol. USA)

## WZLOT

Teatr Ósmego Dnia jest jednym z najwybitniejszych i najciekawszych teatrów w Polsce, od lat prześladowanym przez milicję i cenzorów peerelowskiego państwa. Film jest zapisem zrealizowanego w okresie stanu wojennego spektaklu „Wzlot” opartego na poezji Osipa Mandelsztama. (czas 50 min., cena 50 dol. USA)

Sprzedaż wysyłkowa kaset w standardzie VHS (PAL-SECAM-NTSC).  
Na specjalne zamówienie wykonujemy kasety w systemie U-MATIC (PAL-SECAM-NTSC).

## Sąsiedzi

## Czas ucieka

Każdemu, kto tylko pilnie śledzi rozwój stosunków polsko-ukraińskich, stają przed oczyma dwa fakty. Pierwszy to rozszerzanie się i umacnianie trendu do zbliżenia obydwóch narodów. Jesteśmy świadkami coraz częstszych kontaktów ludzi nauki, odbywają się konferencje naukowe, których tematem są różne aspekty stosunków polsko-ukraińskich. Bardzo pocieszający jest fakt, iż solidarność międzynarodowa, w tym i polsko-ukraińska, uznana została za jeden z celów polskiej robotniczej „Solidarności”. Po tej linii odzywają się liczne głosy prasy, zarówno polskiej, jak i ukraińskiej. Warto dodać, że w pamiętnym dniu 13 grudnia 1981 roku emigracyjne społeczeństwo ukraińskie reagowało przejawami pełnego współczucia dla narodu polskiego.

Z drugiej zaś strony trzeba stwierdzić, iż ruch w kierunku zbliżenia polsko-ukraińskiego (jeśli go w ogóle można nazwać ruchem) jest nadmiernie powolny. W swej masie obydwie nasze społeczeństwa myślowo, a zwłaszcza uczuciowo żyją wciąż jeszcze w czasach dawno minionych. Można powiedzieć, iż w latach pojazdów stratosferycznych jeździmy nadal wozami i karocami. Czy nie jest rażącym anachronizmem to, iż mniejszość ukraińska siłą przewieziona w zachodnie rejony Polski poddawana jest do dnia dzisiejszego dyskryminacji i prześladowaniu za to tylko, że jest mniejszością?

Jeżeli chodzi o emigrację, zarówno polską jak i ukraińską to — moim zdaniem — jej obowiązkiem, a nawet historyczną misją jest doprowadzenie do zbliżenia obydwóch społeczeństw, przy czym tempo tej akcji winno być szybkie i zdecydowane. Jak mówi stare przysłowie: „czas na czasie nie stoi”.

Spośród głosów odzywających się w sprawie stosunków polsko-ukraińskich na osobliwą uwagę zasługuje memorandum, które do władz PRL wysłał zamieszkały w Krakowie lekarz dr Lucjan Karaczko. Swoją pracę pod tytułem „Krótki zarys tragicz-

nych dziejów polsko-ukraińskich" rozesłał on w październiku 1978 roku do Rady Państwa, do Sejmu oraz do Rady Ministrów PRL. Kopia tego elaboratu wysłana została do papieża Jana Pawła II, od którego nadeszło podziękowanie za ten „cenny dar”. Jedna z kopii przedostała się do Ameryki, gdzie odbiła się głośnym echem w prasie ukraińskiej. Wychodzący w Nowym Jorku kwartalnik *Ukrainian Quarterly* naddrukował ją prawie w całości w przekładzie na język angielski. Jeden z tutejszych lekarzy powielił ten tekst i rozesłał do wszystkich kongresmenów i senatorów Stanów Zjednoczonych.

Pełny tytuł tego memorandum brzmi: „Krótki zarys tragicznych dziejów polsko-ukraińskich w poglądach polskich historyków, kronikarzy, pamiętnikarzy i literatów”. Całość obejmuje 18 stron maszynopisu bez interlinii, zaś podana przy końcu bibliografia podaje 56 nazwisk autorów oraz 59 wykorzystanych prac. Oparcie całego elaboratu wyłącznie na źródłach polskich jest w wysokim stopniu gwarancją obiektywności autora w podejściu do pytań najbardziej kontrowersyjnych.

Na wstępie autor stwierdza, iż historia narodów polskiego i ukraińskiego pełna jest tragizmu: nieporozumienia, krzywdy i tragedie ciągną się przez całe wieki. Omawiając lata po II-ej wojnie światowej, autor zapytuje: czy „polska racja stanu” wymagała koniecznie przesiedlenia z Łemkowszczyzny w północne i zachodnie rejony Polski przeszło 150.000 Ukraińców, czy wymagała zniszczenia całego szeregu cerkwi ukraińskich, cerkwi starodawnych, kilkusettletnich? Co więcej, zdaniem autora, w Polsce współczesnej niezależnie od regionu i niezależnie od stanowiska zakorzeniła się zaciekle nienawiść w stosunku do Ukraińców. Szerzą się oszczerstwa i zmyślenia, których celem jest podsyćanie wrogości między obydwoma narodami.

Na podstawie prac historyków oraz świadczeń kronikarzy polskich autor zaprzecza szeregowi krążących w Polsce zarzutów, jak np. udział Ukraińców w tłumieniu powstania warszawskiego w 1944 roku czy odpowiedzialność UPA (Ukraińskiej Armii Powstańczej) za walki polsko-ukraińskie na Wołyniu w latach 1942-1945.

„A były przecież dawne dobre czasy...” wspomina dr Karaczko, pisząc o tych okresach historii, kiedy to narody polski i ukraiński żyły w zgodzie i bratały się z sobą. Daje przykłady powiązań rodzinnych, m.in. króla Bolesława Chrobrego z księciem Włodzimierzem Wielkim. Wspomina wojewodę kijowskiego Adama Kisiela, który dążył do pojednania narodów polskiego i ukraińskiego. W opinii autora nieporozumienia i tragedie spowodowała „egoistyczna i zachłanna magnateria i szlachta polska, żadna zdobywcy i łatwych zysków kosztem narodu ukraińskiego, najeżdżając jego ziemie i ujarzmiając przy pomocy wojska ludność ukraińską, co pociągnęło za sobą tragiczne skutki tak dla Ukrainy, jak i dla Polski”. Tak powstało zaczerpnięte koło: pańszczyzniane niewolnictwo wywoływało bunty i powstania. Karne ekspedycje tłumili je nieludzkimi sposobami, przyczyniając się

do jeszcze większej nienawiści i doprowadzając do nowych powstań.

Autor znowu i znowu podkreśla z całą stanowczością fakt, iż zbrojne konflikty polsko-ukraińskie odbywały się w przeszłości zawsze i wyłącznie na ziemi ukraińskiej. Na dowód tego przytacza szereg oświadczeń, pisząc: „W świetle powyższych faktów i dokumentów, każdy sprawiedliwy i obiektywnie myślący człowiek musi przyznać — i powinno wiedzieć o tym społeczeństwo polskie — iż Ukraińcy nie ponoszą winy za rozpoczęcie tych tragicznych i pożałowania godnych dziejów polsko-ukraińskich, gdyż Ukraińcy bronili się jedynie przed ujarzmieniem ich przez Polaków, bronili się przed okupacją ich ziem i walczyli jedynie o swoją wolność i o swoje państwo — tak jak i Polacy walczyli o swoją wolność i o swoje państwo, czy to w czasach rozbiorów Polski, czy w czasie ostatniej wojny światowej — i jest to naturalne prawo każdego narodu, a tym samym i polskiego i ukraińskiego”.

W swym memorandum dr Karaczko zebrał liczne krytyczne wypowiedzi autorów polskich o książce Henryka Sienkiewicza „Ogniem i mieczem”. M.in. Jerzy Kirchmayer pisze w swych pamiętnikach (1975):

„Bezspornym faktem jest, że od dawien dawna nie potrafiliśmy ułożyć naszych stosunków z Ukraińcami na rzetelnej i korzystnej dla obu stron podstawie. Oni dążyli do równouprawnienia, do pełnej wolności narodowej, kulturalnej i ekonomicznej. My odmawialiśmy im tego wszystkiego. Dowodem sprawa uniwersytetu ukraińskiego, na który nigdy nie chcieliśmy się zgodzić, który dlatego nigdy nie powstał. Nie chcieliśmy nigdy spojrzeć w oczy ukraińskiej rzeczywistości, że Ukraińcy tworzą naród znacznie liczniejszy od nas, rozłożony znacznie korzystniej i bogaciej i mający wskutek tego znacznie szersze perspektywy niż my. Zamiast pozyskać ich i tym sposobem otworzyć sobie drogę do przyjaznego współżycia z całym narodem ukraińskim, zrobiliśmy wszystko, co możliwe, ażeby ich przekonać, że mogą liczyć u nas na obywatelstwo II, a nawet III klasy”.

Autor memorandum jest w pełni świadomy faktu, iż zbliżenie polsko-ukraińskie ma swych zawziętych wrogów. Pisze o tym jak podczas drugiej wojny światowej Niemcy celowo podsycali nieporozumienia między obydwoma narodami. Jest on świadomy, iż także w PRL działają przeróżni wrogowie pokojowego, dobrosąsiedzkiego współżycia pomiędzy Polakami i Ukraińcami, wykorzystujący dla swych celów nie tylko literaturę, lecz także prasę, radio i filmy.

Autor potrafi również wykazać wady i pomyłki po stronie ukraińskiej. Na przykład uważa, iż „w konfrontacji z politycznymi realiami przebywanie tam (na Łemkowszczyźnie) Ukraińskiej Armii Powstańczej było absurdem tak z wojskowego, jak z politycznego punktu widzenia...”.

W zakończeniu swego memorandum autor podkreśla znacznie i wagę obecnego momentu dziejowego. Jego zdaniem obecnie

nastały inne czasy, czasy pojednań pomiędzy różnymi — nawet wrogimi dawniej — narodami, czasy powstawania federacji państw i parlamentów międzypaństwowych.

„Przeto czasy obecne nakazują narodom puszczenie w niepamięć dawnych waśni i nienawiści. Wiemy wprawdzie, iż na naszym globie ziemskim jest jeszcze dużo międzynarodowych sporów terytorialnych, kiedy to 'siła bywa nieraz przed prawem i ponad zasadami sprawiedliwości w ogólnoludzkim rozumieniu' — lecz obecnie nic nie powinno stać na przeszkodzie pokojowym, przyjaznym i dobrosąsiedzkim stosunkom pomiędzy narodem polskim i narodem ukraińskim, gdyż wymaga tego ich wzajemne dobro”.

Wasył WYTWYCKY

## W sowieckiej prasie

W „Gołym roku” Borys Pilniak używa zwrotu „funkcjonuje” energicznie. W pierwszych latach po rewolucji obce słowa były jeszcze czymś niezwykłym, ale używano ich często dla podkreślenia dynamiki nowego świata. Zwrot Pilniaka doskonale pasuje do działalności Gorbaczowa w pierwszych tygodniach władzy: „funkcjonuje” on niezwykle energicznie. Wygłasza jedno programowe przemówienie za drugim, spotyka się z cudzoziemcami, jedzie do Warszawy podpisać przedłużenie Paktu, przyjmuje defiladę zwycięstwa oraz — jak piszą zagraniczni dziennikarze — „wlewa świeżą krew do Biura Politycznego”.

Działalność nowego generalnego sekretarza wydaje się wręcz gorączkowa po latach umierania jego trzech poprzedników. Wyczuwa się w niej też ufność we własne siły człowieka, który od razu poczuł się gospodarzem na swoich włościach. 23 kwietnia, sześć tygodni po mianowaniu go generalnym sekretarzem, Gorbaczow zwołał plenum KC, na którym „dolał świeżej krwi”, uzupełnił szeregi Politbiura „młodzieżą”. Członkami zostali: sekretarze KC Jegor Ligaczow (ur. 1920) i Nikołaj Ryżkow (1929) oraz przewodniczący KGB Wiktor Czebrikow (1923). Przewodniczący KGB był dotychczas kandydatem na członka — jego awans oznacza naturalnie uznanie dla jego działalności, ale przede wszystkim podkreśla rolę i znaczenie „organów”. Jest faktem charakterystycznym, że minister obrony, marszałek Sokołow, został wybrany zaledwie na zastępcę członka.

Ligaczow i Ryżkow weszli w skład „kierowniczego jądra” Biura: w „pokoju nr 1”, zarezerwowanym dla członków Biura, będących zarazem sekretarzami KC, zasiadają obecnie cztery osoby: Gorbaczow, Romanow i dwaj „młodziankowie”. Ligaczow, który

zaczął karierę partyjną w 1949 roku, od 1983 kieruje wydziałem kadr w sekretariacie KC i obejmie najpewniej stanowisko Głównego Ideologa. Ryżkowa przeniesiono do sekretariatu KC ze stanowiska wicedyrektora Komisji Planowania ZSSR, obejmie on więc prawdopodobnie zarządzanie gospodarką.

Plenum KC uchwaliło zwołanie XXVII Zjazdu partii na dzień 25 lutego 1986. Data nie jest przypadkowa: 25 lutego 1956, w dniu zamknięcia XX Zjazdu, Chruszczow wygłosił „tajny referat”, w którym zdemaskował „kult jednostki Stalina”. Należy przypuszczać, że trzydzieści lat później Stalin oficjalnie powróci do Panteonu sowieckich wodzów,

Gorbaczow wygłosił na plenum programowe przemówienie, którego główne tezy wyłożył już 11 kwietnia na zebraniu w KC. Sowieckie gazety zamieściły wówczas tekst przemówienia pod tytułem, streszczającym je w trzech słowach: „Dyscyplina, organizacja, wydajność”. Na plenum Gorbaczow niczego do tej triady nie dodał, zatrzymał się tylko nieco dłużej przy „trudnościach” i stwierdził, że „od 1983 roku (tzn. od śmierci Breżniewa) sytuacja się poprawia”.

„Gdzie szukać przyczyn trudności?” — zapytuje retorycznie generalny sekretarz. I odpowiada: po pierwsze, „w zbiegu przyczyn naturalnych i szeregu czynników zewnętrznych”, po drugie w lenistwie ludzi sowieckich. Długie przemówienie, pełne mglistych obietnic, apeli i pogroźek, sprowadza się do żądania „zaktywizowania czynnika ludzkiego, wywalczenia, aby każdy pracował na swym stanowisku sumiennie i z oddaniem”.

Co zrobić z „czynnikiem ludzkim”, nową wersją „materiału ludzkiego” z lat trzydziestych, jak go „zaktywizować”? Stary to problem. Rosyjski historyk Wasilij Kluczewskij pisał o nim w związku z reformami Piotra I: „Piotr miał nadzieję, że groźnym autorytetem władzy uda mu się wzbudzić samodzielność w znievolnionym społeczeństwie... Chciał, aby niewolnik, nie przestając być niewolnikiem, pracował jak człowiek świadomy i wolny”. Gorbaczow chce, aby człowiek sowiecki walczył o „przyspieszenie postępu społeczno-ekonomicznego”, ale tylko pod przewodnictwem partii. Gorbaczow nalega na „dalszy rozwój scentralizowanego impulsu i zwrócenie szczególnej uwagi na „planowanie, będące nerwem zarządzania”, żądając jednocześnie „samodzielności” od dyrektorów przedsiębiorstw. „Działacz partyjny nie powinien przesłaniać ekonomisty”. Żądanie to wyraża jednak generalny sekretarz KC partii. Że nie sposób rozwiązać kwadratury koła, dowodzi notatka w *Prawdzie* z 29 kwietnia 1985: przewodniczący egzekutywy rady pracowniczej w rejonie Oszka (Kirgizja) zdecydował zając się administracją, nie pytając o zgodę rejonowego komitetu partyjnego, ale na polecenie sekretarza rejonowego komitetu partii, i wykonuje ją pod jego nadzorem.

Wystąpienia Gorbaczowa świadczą o jego „własnym stylu”, przypominającym styl „wczesnego Stalina”. Gorbaczow w swych pierwszych wystąpieniach umiejętnie to grozi, to uspakaja. Na plenum wypowiedział straszne dla aparatu słowa o konieczności

„aktywniejszej rotacji naszych kadr kierowniczych”, zarazem jednak uspokoił słuchaczy, oznajmiając, że „Biuro Polityczne uważa za sprawę zasadniczą utrzymanie linii zapewniającej stabilność kierownictwa partyjnego”.

O ile w polityce wewnętrznej recepta w odniesieniu do „przywódców” przewiduje 10 % strachu i 90 % poczucia stabilności, o tyle program dla polityki zagranicznej przewiduje 90 % straszenia i 10 % dobroduszości. W toku swych krótkich jeszcze chwil u władzy nowy generalny sekretarz poświęcił polityce zagranicznej znacznie więcej uwagi aniżeli polityce wewnętrznej. Łatwo to zrozumieć: jakiegokolwiek zmiany w gospodarce nieprędko przyniosą owoce — jeśli w ogóle je przyniosą. W polityce zagranicznej można bardzo szybko uzyskać namacalne rezultaty (np. likwidację Pershingów, nowe kredyty, sprzedaż najnowszej technologii itp.).

Gorbaczow ani na jotę nie zmienił dotychczasowego sowieckiego stanowiska: szczęśliwe lata w stosunkach międzynarodowych to lata 1970-te, okres „odprężenia”. W minionym dziesięcioleciu dokonało się to, co Gorbaczow nazwał na plenum „niezmiernie ważną, historyczną zdobyczą bratnich krajów socjalistycznych” — osiągnięto mianowicie „równowagę wojskowo-strategiczną z państwami agresywnego bloku NATO”. Znaczy to, że ideologiczna osłona Związku Sowieckiego — przekonanie, że „wszechświatowe zwycięstwo socjalizmu” jest nieuchronne — uzyskała materialne podstawy: sowieckie siły zbrojne są równe (a w dziedzinie broni konwencjonalnej nawet znacznie wyższe) siłom NATO.

Obecnym zadaniem strategicznym jest, zdaniem Gorbaczowa, zachowanie parytetu, czyli powrót do polityki „odprężenia”. Na przeszkodzie temu stoją Stany Zjednoczone. „Odpowiedzialność za zaistniałą sytuację — oznajmia generalny sekretarz — ponoszą przede wszystkim koła rządzące Stanów Zjednoczonych, i należy to stwierdzić z całym naciskiem”. Stwierdza więc, że światu zagrażają imperialiści. Na plenum KC dodaje, że w imię 10 % dobroduszości gotów jest poprawić stosunki ze Stanami Zjednoczonymi „ku obopólnej korzyści”. W czasie obchodów 40-lecia zwycięstwa nad Hitlerem przemówił znacznie ostrzej.

Przypadek był dla Gorbaczowa łaskawy i pozwolił mu zaraz po wyborze na generalnego sekretarza urządzić obchody jedyne go święta, w którym autentycznie uczestniczą wszyscy obywatele sowieccy — święta zwycięstwa na hitleryzmem. Przygotowania do obchodów trwały ponad rok. Ludzi sowieckich aż do mdłości karmiono wspomnieniami o bohaterskim, trudnym lecz szczęśliwym życiu w latach wojny. Gazety, radio, telewizja, propagandyści i agitatorzy niezmordowanie rozgrzebywali ranę i domagali się zapłaty za dwadzieścia milionów ofiar. Michaił Gorbaczow wystąpił w roli spadkobiercy i wykonawcy testamentu duchowego „dwudziestu milionów zbawców cywilizacji”. Gigantyczna defilada wojskowa w dniu 9 maja na Placu Czerwonym miała poka-

zać, że spadkobierca potrafi uzyskać to, co mu się jego zdaniem należy.

Po defiladzie Gorbaczow zabrał głos na przyjęciu na Kremlu i przy tej okazji zrobił mały wypad w lingwistykę, co miało przekonać zagranicznych gości, że poza raketami Związek Sowiecki ma także „naukowe podstawy” do panowania na świecie. W języku rosyjskim — wyjaśnił zebrany generalny sekretarz — słowo „mir” oznacza i pokój, i planetę. Jest więc oczywiste, że bronić planety mają ci, którzy „bronią pokoju”. Gorbaczow, który posiada dyplom prawnika i inżyniera-agronoma, nie wie być może, że słowo „mir” pisze się tak samo dla oznaczenia pokoju i świata dopiero od 1917 roku. Przedtem słowa te miały inną pisownię w zależności od znaczenia.

Wycieczka w lingwistykę ma jednak znaczenie nie tylko polityczne, ale i psychologiczne. Nie wszyscy jeszcze zapomnieli o cennych pracach językoznawczych koryfeusza wszech nauk (bez dyplomów) Stalina. Pamięta o nich być może i sam Gorbaczow, który w przemówieniu w przeddzień święta zwycięstwa przypominał przewodniczącego Państwowego Komitetu Obrony ZSSR J. W. Stalina i jego wielkopomne zasługi związane z pogromem hitlerowskich Niemiec. Zagraniczni świadkowie uroczystości twierdzą, że od dziesięcioleci nie słyszano na Kremlu takich owacji.

Nie jest przypadkiem, że nazwisko Stalina wypląnęło w te świąteczne dni. Stalinowski model jest nadal nie tylko jedynym możliwym, ale też jedynym odpowiadającym kierownictwu partyjnemu.

Lew Tołstoj zapowiadał, że na początku naszego wieku pojawi się nowy Dżingis-chan z telegrafem. Bucharin nazwał w 1928 Stalina „Dżingis-chanem z telefonem”. Być może pod koniec stulecia przyjdzie nam oglądać Dżingis-chana z komputerem? W każdym razie tęsknota do niego rośnie i karmi się wspomnieniami. Garstka byłych esesmanów, którzy spotkali się w niemieckiej wiosce, wspominała, że Führer „był takim skromnym człowiekiem”. *International Herald Tribune* z 45 maja — w której pojawił się reportaż z tego spotkania — zamieściła na sąsiedniej kolumnie informacje moskiewskiego korespondenta o wywiadzie, jakiego udzielił były tłumacz Stalina, który z czułością wspomina, że Wódz „miał duże poczucie humoru”, był „spokojny i zrównoważony”, choć niekiedy „surowy”. Najważniejsze, że „można z nim było dyskutować”.

Stalin i Hitler, skromni i weseli Dżingis-chanowie XX wieku, pozostali w pamięci ludzi. O ile jednak pogrobowcy Hitlera mogą co najwyższej robić szum, o tyle spadkobierca Stalina jest powszechnie popierany i z jego nazwiskiem wiąże się nadzieje na przyszłość. Mam na myśli poparcie i nadzieje Zachodu. Amerykańscy sowietolodzy zajmują w tej konkurencji bezspornie pierwsze miejsce. Naturalnie, że można znaleźć w prasie amerykańskiej także i ostrzegawcze głosy. Najszerzej uznane „autorytety” są jednak jednomyślne. Dwa miesiące rządów Gorbaczowa poz-



walają zebrać pokaźny wianuszek cytatów. W optymizmie ekspertów, którzy nie wątpią w dobroć i postępowość Gorbaczowa, najdziwniejsze jest to, że nie pamiętają o jego poprzednikach: tymczasem opublikowano już grube tomy, pełne również optymistycznych prognoz z ostatnich 68 lat. Do moich ulubionych cytatów należy oświadczenie Trumana z lipca 1948 roku: „Joe (tzn. Stalin) jest jeńcem Biura Politycznego” oraz portret Berii pióra amerykańskiego socjologa, profesora Jerome Davisa. Od chwili, kiedy współtowarzysze zamordowali Berię upłynęły 32 lata i warto może przypomnieć, że był to jeden z najbardziej krwawych katów, jakich ludzkość zrodziła. Amerykański socjolog napisał w 1946 roku: „Ławrentij P. Beria... łysiejący człowiek w binoklach, wygląda jak architekt, którym kiedyś był (nigdy nie był architektem, ale to błąd wybaczalny — A.K.). ...Kierował tajną policją, podobną do naszej CIA... Sądząc po tym, że w czasie wojny w Związku Sowieckim niemal nie było sabotażystów i szpiegów, był niewątpliwie bardzo dobrym ministrem”.

Od Stalina i Berii gładko przechodzimy do Gorbaczowa. Nowy generalny sekretarz też wezwał do walki z elementami wywrotowymi na pasku imperialistów. Kiedy amerykańscy kongresmeni, widzący w nim „przywódcę w nowym, zachodnim stylu”, ośmielili się wspomnieć o prawach człowieka, Gorbaczow odparł: „Wy macie swoje prawa, my swoje”. Po czym dorzucił: „Jestem prawnikiem, studiowałem prawodawstwo amerykańskie”. To ostatnie miało znaczyć: „A wy naszego nie znacie, więc milczcie!”.

Ci, którzy je znają, apelują o dobroć i wyrozumiałość. Sowiolog Jerry F. Hough prosi: „Dajcie mu sześć miesięcy”, a pójdzie w ślady Kennedy'ego i Reagana, tzn. zdynamizuje ZSSR. Wtedy pójdzie na kompromis z USA (*New York Times* z 21 marca 1985). Sowiolog Stephen F. Cohen nadaje swemu artykułowi tytuł „Waszyngton myli się, bojąc się reform w Moskwie” dowodzi, że należy pójść na ustępstwa, bo to pozwoli Gorbaczowowi przeprowadzić reformy; w przeciwnym wypadku wzmocni się antyreformistyczną frakcję w Biurze Politycznym. Zrozumienie dla Gorbaczowa powinno leżeć u podstaw amerykańskiej polityki zagranicznej (*International Herald Tribune* z 3 maja 1985). Specjalista Dimitri K. Simes pisze w *New York Times* z 20-24 kwietnia br., że „amerykańska polityka wobec Związku Sowieckiego powinna być jawna i nieprovokacyjna”. Artykuł Simesa (jeden z wielu, jakie ogłasza) wart jest uwagi, bo autor, emigrant, który opuścił Związek Sowiecki jakieś dziesięć lat temu, bardzo szybko stał się autorytetem w dziedzinie sowietologii. Kariera jego zapewne dopiero się zaczyna. Simes formułuje swe zalecenia w trybie rozkazującym: amerykańska polityka powinna być... Sukces jego wynika zapewne stąd, że autorytetem człowieka z wewnątrz wspiera wszystko to, co od dziesięcioleci wypisują postępowi sowietolodzy. *Newsweek* z marca 1985 opublikował artykuł Roja Miedwiediewa, „Patrząc z Moskwy”, który uważa, że „zwycięstwo Gorbaczowa jest najlepszym z możliwych wyników długiej walki o następstwo po Breżniewie”. Miedwiediew powo-

tuje się na tych, którzy znają Gorbaczowa. Wszyscy oni twierdzą jednogłośnie: spokojny, inteligentny, bardzo wykształcony człowiek. Krótko mówiąc: „Gorbaczow obejmuje swą funkcję w atmosferze dużych nadziei...”.

Jednym z najciekawszych dokumentów, świadczących o potrzebie „nadziei” są dwa artykuły Zdenka Mlynařa w wiedeńskim *Kurierze* (cytuje za *International Herald Tribune* z 22 kwietnia br.). Były członek Biura Politycznego KPCz, obecnie na emigracji, wspomina, że przyjaźnił się blisko z Gorbaczowem w latach, kiedy obaj studiowali prawo na Uniwersytecie Moskiewskim. Lojalność wobec przyjaciół jest jedną z najcenniejszych zalet. Boris Suwarin bardzo chętnie powtarzał: „Przyjaźń to rzecz święta”. Jednak kiedy Mlynař opowiada, że Gorbaczow w roku 1952 wygłaszał antystalinowskie opinie, trudno się opędzić wątpliwościami. Autor niniejszych słów żył w 1952 roku w Moskwie i pamięta doskonale, że żaden normalny obywatel ZSSR nie wypowiedziałby wówczas żadnej antystalinowskiej myśli, a już na pewno nie w rozmowie z cudzoziemcem (Czechem). Wątpliwy (a prawdę mówiąc niemożliwy) wydaje się też powód, który miał skłonić Gorbaczowa do zmanifestowania swych antystalinowskich uczuć. Mlynař twierdzi, że w 1952 roku Gorbaczow powiedział mu: „Lenin nie aresztował przywódcy mienszewików Martowa, a pozwolił mu emigrować”. Nie mówiąc już o tym, że właśnie w 1952 roku Gorbaczow wstąpił do partii, czyli był żarliwym stalinowcem (innej partii niż stalinowska nikt sobie wówczas nie wyobrażał, nawet Mlynař), błąd Mlynařa polega na tym, że w roku 1952 przyszły generalny sekretarz nie mógł niczego wiedzieć o losie Martowa. „Humanitaryzm” Lenina został ujawniony dopiero w 1961 roku, kiedy pisarzowi E. Kazakiewiczowi pozwolono zajrzeć do archiwów i napisać książkę pt. „Błękitny zeszyt”. Opisał w niej szczegółowo, jak Lenin zmiłował się nad swym starym przyjacielem, który był przeciwnikiem politycznym. Pozwolę sobie na przypuszczenie, że Gorbaczow dowiedział się o tym też nie z książki, a z filmu, jaki według niej nakręcono w 1964 roku.

Przytoczony przez Mlynařa fakt jest być może prawdziwy — Gorbaczow mógł porównywać Stalina z Leninem na korzyść Lenina, ale nie w roku 1952, a w roku 1961 lub 1964, kiedy takie porównania były dozwolone. Jest to różnica zasadnicza, charakteryzująca zarówno Gorbaczowa, jak i Mlynařa.

Wychodząca w Paryżu rosyjska gazeta ogłosiła na początku maja wstrząsającą nowinę z Moskwy: Gorbaczow zamierza dokonać rewolucji, zakazać mianowicie sprzedaży wódki, a przynajmniej wprowadzić na nią kartki. *Russkaja mysl* podała nawet datę: 10 maja. Dzień minął szczęśliwie bez katastrofy. Niewykluczone jednak, że jakieś kroki zostaną podjęte, pozorne jak zawsze. Alkohol stał się bowiem nieodłącznym elementem stylu życia krajów socjalistycznych. Stiepan Trofimowicz Wierchowieński, jeden z „biesów” Dostojewskiego, wypowiedział prorocze słowa (jak bardzo prorocze, widać dopiero sto lat później):

*Tous les hommes de génie et de progrès en Russie étaient, sont et seront toujours des kartiożniki, des pijaniczy qui boivent en zapoj.* Zbawienny wpływ władzy sowieckiej polega na tym, że dziś wszyscy obywatele ZSR są ludźmi genialnymi i postępowymi, toteż wszyscy piją na umór.

W najbliższym czasie wiadomo będzie, czy Gorbaczow zdecydował się na to rewolucyjne posunięcie. Z góry jednak można przewidzieć, że żadne posunięcia nie położą kresu pijaństwu. Przeciwnie — zabronione, pijaństwo stanie się formą wyrażania niezadowolonia z systemu i rozprzestrzeni się jeszcze szerzej niż dziś.

Adam KRUCZEK

13 maja 1985

## Kronika niemiecka

Z okazji 40-tej rocznicy zakończenia drugiej wojny światowej w b. hitlerowskim obozie koncentracyjnym Auschwitz-Birkenau *Capella Sebalдина Ruerberg* z Norymbergi wykonała utwór Krzysztofa Pandereckiego *Agnus Dei*. ■ W RFN na jedno gospodarstwo przypadają dwa ciągniki, w Polsce ciągnik ma co piąty rolnik. Milion gospodarstw nie ma żadnej siły pociągowej, nawet konia. ■ W Bonn poinformowano, że minister stosunków ogólnoniemieckich H. Windelen zrezygnował z wydania oficjalnej mapy Niemiec. Jednocześnie zapowiedziano wznowienie dwóch map międzyaliancek z okresu drugiej wojny światowej. ■ Na 140 placach budowy w NRD pracowało w 1984 roku ponad 13 tys. polskich robotników budowlanych. W 1985 roku polscy fachowcy podjęli również prace montażowe w energetyce, w tym głównie nuklearnej. ■ Po wznowieniu rejsów lotniczych na trasie Warszawa - Gdańsk - Hamburg (przerwanych z chwilą ogłoszenia stanu wojennego w PRL) *Polskie Linie Lotnicze LOT* zwiększyły ilość połączeń lotniczych z Frankfurtem n/Menem do 6 tygodniowo. W sumie Warszawa posiada 12 połączeń LOT-owskich z RFN (Hamburg, Kolonia, Frankfurt) i 19 w ogóle (7 rejsów obsługuje *Lufthansa*). ■ Zachodniemiecki *CARITAS* wysłał w tym roku do Polski 1.100 ton artykułów pierwszej potrzeby o wartości 6,5 mln marek. Są to artykuły żywnościowe dla ludzi chorych i starych oraz wielodzietnych rodzin. *CARITAS* zbiera datki dla ludzi w potrzebie w Polsce pod hasłem *POLEN-HILFE*. ■ Konsulat PRL w Kolonii odmówił ponownie udzielenia wizy wjazdowej ks. Johannesowi Gehrmanowi z parafii Luruup w Hamburgu. Od 13 grudnia 1981 roku ks. Gehrman kieruje zakrojoną na szeroką skalę akcją pomocy ludziom w Polsce; dotąd wysłano paczki żywnościowe, lekarstwa, odzież i aparaturę medyczną wartości ok. 50 mln marek. Ks. Gehrman trafił nie tylko do ofiarodawców z niemalże całej Europy, ale nawet z innych kontynentów (np. znalazł szczodrych ludzi w dalekiej Indonezji). ■ Spośród 5.439 obywateli polskich niemieckiej narodowości, którzy przybyli do RFN na stałe w okresie czterech pierwszych miesięcy br., 90 % wyjechało z Polski z paszportami turystycznymi. Coraz trudniej otrzymać w PRL oficjalne zezwolenie na przesiedlenie do Republiki Federalnej. ■ Na przejściu granicznym w Kudowie-Słonem (woj. wałbrzyskie) polscy celnicy aresztowali 29-letniego

Janusza T., prowadzącego w Mannheim (RFN) firmę eksportowo-importową, pod zarzutem próby wwiezienia do Polski ukrytych w ciężarówce 23 tys. sztuk kaset magnetofonowych. ■ Rząd RFN wykupił w 1984 roku 500 obywateli NRD, którzy zostali uwięzieni za utrzymywanie kontaktu ze stałym przedstawicielem dyplomatycznym Bonn w Berlinie Wschodnim w kwestii ewentualnych możliwości przeniesienia się na stałe do RFN. ■ W dziale matrymonialnym wschodniobierlińskiej gazety *Berliner Zeitung* można znaleźć ogłoszenia, w których umieszczono dodatkowo literki: *mit m.-l.W.A.* Wtajemniczeni obywatele NRD wiedzą od razu, że za pośrednictwem takiego ogłoszenia matrymonialnego poszukiwany jest partner *mit marxistisch-leninistischer Weltanschauung*, czyli o światopoglądzie marksistowsko-leninowskim. ■ W *Nomos-Verlag* (Baden-Baden) ukazała się zbiorowa praca pod redakcją Dietera Bingena pt. *Polen 1980-1984 — Dauerkrise oder Stabilisierung? (Polska 1980-1984. Długotrwały kryzys czy stabilizacja)*. ■ Alicja Zatrębówna odwiedziła kierowany przez Karla Dedeciusa *Deutsches Polen-Institut* w Darmsztacie, i omówiła program wydawniczy *Institutu* na łamach *Gazety Lubuskiej*: „W jednym z tomów zobaczyłam opowiadania Lipskiego *Pragnienie* i Herlinga-Grudzińskiego *Łódź*. Autorzy paryskiej *Kultury* i *Wolnej Europy*. Aż mnie odrzuciło, nie lubię ich za zdradę Polski i mierność. Dedecius sprzeniewierzył się kryteriom estetycznym? (...) Zresztą Instytut programowo bierze pod uwagę literaturę polską ukazującą się w kraju i na emigracji. Dedecius tłumaczył Miłosza, to jasne. Ostatnio wydał *Miesiące* Kazimierza Brandysa. Właściwie nie moja sprawa. (...) Kiedy Dedecius wydał *Kordiana* i *chama*, rozpętała się burza w Paryżu, w kołach *Kultury*: jakim prawem narzuca lekturę tego czerwonego Kruczkowskiego”. ■ Za zasługi w podtrzymywaniu anty-RFN-owskiego kursu na łamach warszawskich *Perspektyw — Stowarzyszenie Dziennikarzy PRL* przyznało jedną z tegorocznych nagród Marianowi Podkowińskiemu. ■ Prasa zachodniemiecka podaje, że polski eksport do krajów zachodnich (tzw. II obszar płatniczy) w 1 kw. br. był niższy o 13 % w stosunku do 1 kw. ub.r., a w marcu o 9 % niższy w porównaniu z marcem 1984 roku. Eksperti niemieccy szacują, że w tym roku do wykonania planu eksportu wolnodewizowego może zabraknąć od 200 do 250 mln dolarów. ■ Kolonka rozgłoszenia *Westdeutscher Rundfunk* poświęca wiele miejsca sprawom polskim. Ostatnio trzech młodych naukowców niemieckich zajmowało się w 90-minutowej audycji naszą problematyką: Michael Müller (Berlin Zachodni) zapoznał niemieckich radiosłuchaczy z twórczością Tadeusza Konwickiego; Helga Hirsch (Kolonia) omówiła niemieckie wydanie książki Jerzego Holzera — *Solidarność 1980-1981 (Solidarität. Die Geschichte einer freien Gewerkschaft in Polen. Verlag C. H. Beck, Monachium 1985)*, a historyk kolonij Hans-Henning Hahn poświęcił wiele miejsca w audycji pracy Jana Józefa Lipskiego pt. *KOR (Wyd. Aneks, Londyn 1983)*. ■ Opracowana przez Manfreda Hellmanna — *Daten der polnischen Geschichte (Chronologia historii Polski)* ukazała się nakładem monachijskiego wydawnictwa *dtv*. ■ 110-stro nicowy podręcznik historii (od końca średniowiecza do Kongresu Wiedeńskiego) dla uczniów VII klasy szkół zachodniemieckich poświęca 10 stron polskiej historii; angielskie dzieje tego okresu są omówione na 2 stronach, a amerykańskie na 6-ciu; historii Rosji autorzy nie poświęcili ani jednego wiersza. ■ W *Ośrodku Informacji i Kultury Polskiej* w Berlinie Wschodnim otwarto wystawę pn. *Działalność Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej Prasa-Książka-Ruch*. Przy tej okazji dowiadujemy się z *Neues Deutschland*, że „polska kadra poligraficzna została wyszkolona po wojnie w NRD, stąd pochodzi też wiele maszyn poligraficznych pracujących w PRL”. ■ Klaus Allerbeck i Wendy Hoag, socjolog z Frankfurtu n/Menem, ogłosili pracę, z której wynika, że zachodniemiecka młodzież (od 16 do 18 lat) ocenia narodowy socjalizm jako „zły” ustrój (84,2 % respondentów); w 1962 roku — 62,7 % młodzieży niemieckiej miało negatywny stosunek do nazizmu. ■

Alfred Dregger, przewodniczący chadeckiej frakcji CDU/CSU w Bundestagu, dokonał kolejnej wolty, powracając do tezy, że RFN nie powinna uznać obecnej granicy na Odrze i Nysie, póki granice Niemiec nie zostaną wytyczone w traktacie pokojowym („Rzesza niemiecka w granicach z 1937 roku nie została rozwiązana i zlikwidowana w sensie prawa międzynarodowego”). Według Dreggera zarówno sprawa granic jak też kwestia zjednoczenia Niemiec powinny pozostać otwarte: rząd boński nie powinien dać się wciągnąć do żadnych zobowiązań w sprawie granicy polsko-niemieckiej; kwestia wolności jest bowiem ważniejsza od kwestii granic. Tymczasem kanclerz Kohl i minister spraw zagranicznych Genscher zapewnili, że RFN nie wysuwa i nie będzie wysuwać w przyszłości żadnych roszczeń terytorialnych w stosunku do Polski. ■ W b. obozie koncentracyjnym *Bergen-Belsen* (Dolna Saksonia) kanclerz Kohl, przemawiając na uroczystości z okazji 40-tej rocznicy zakończenia wojny, przypomniał m.in. „zbrodnie popełnione na narodzie polskim” i wyraził przy tym życzenie, aby podobnie jak z Francją, również z Polską „dopełnione zostało dzieło pojednania”. ■ W 45-tą rocznicę zbrodni katyńskiej polska księgarnia *Wawel* w Kolonii urządziła wystawę, prezentując zwiędzającym liczne różnorodnie wydawnictwa, dokumenty i fotografie, oddające tragedię owych kwietniowych dni — „nieodpokutowanej zbrodni” w lesie katyńskim niedaleko Smoleńska. Reportaże z wystawy zostały nadane w polskojęzycznych programach rozgłośni *Deutschlandfunk* i *Wolnej Europy*. ■ W RFN zmieniono przepisy chroniące dotychczas (od 1966 roku) przed wydaleniem osoby przybyłe do Republiki Federalnej z krajów wschodnioeuropejskich. Nowe postanowienia, które wejdą w życie 1 czerwca br., zaostrzają znacznie kryteria tolerowania przez władze pobytu tych ludzi w RFN. Ministrowie spraw wewnętrznych poszczególnych *Landów* uchwalili tę nowelizację dotychczasowej ustawy głównie w celu zahamowania przybywu tysięcy Polaków, którzy przybywają w większości wyłącznie ze względów materialnych i nie mogą udowodnić, że w swojej ojczyźnie byli prześladowani politycznie. Ci, którzy chcą pozostać w RFN, muszą natychmiast wystąpić z wnioskiem o azyl. W czasie rozpatrywania podania nie otrzymają zezwolenia na podjęcie pracy. Przystąpić im będzie tylko zasiłek socjalny. Posiadacze tzw. *tolerowanego pobytu* w RFN stracą takowy, jeśli np. udadzą się w odwiedziny do Polski. A więc Polacy, którzy przybywają do RFN wyłącznie ze względów materialnych, muszą się liczyć z możliwością wydalenia. ■ W NRD wzrasta liczba więźniów politycznych: przed dwoma laty było ich 4.500, a w obecnym roku 8.500 (w tym 1.000 kobiet). ■ *Europaverlag* (Wiedeń-Monachium) wydał nową książkę Adama Schaffa pt. *Wohin führt der Weg?* (*Dokąd prowadzi droga?*) z przedmową Alexandra Kinga. ■ Polscy uchodźcy z najnowszej fali zamieszkujący Dortmund i okolice doczekali się własnej placówki. W wynajętym lokalu, opłacanym ze składek członków miejscowego *Ogniska ZPU* (jedyne go aktywnego w Republice Federalnej?) oraz *Koła ChSWN* urządzono *Klub Polski* (również dzięki pomocy finansowej uzyskanej od *Zarządu II Okręgu ZPU* w Hamm). W najbliższym czasie uruchomiona zostanie w *Klubie Biblioteka Polskiego Emigranta* i szkoła języka polskiego dla dzieci i młodzieży. Koło spotkań historyczno-politycznych zajmować się będzie akcją odczytową (adres: *Fliederstr. 4, 4600 Dortmund 1*). ■ Prasa krajowa odnotowuje zmniejszenie przewozów (trakeją kolejową) w transycie do NRD. Jednocześnie zmniejszyły się poważnie przewozy z krajów zachodnich do Związku Sowieckiego (głównie z powodu przemieszczenia przewozów na żeglugę morską). W komunikacji z NRD do Sowietów przewieziono mniej towarów niż w 1983 roku. W komunikacji Wschód - Zachód przez Polskę wpływ zmalał prawie o 26%; głównym powodem było wyraźne zmniejszenie przewozu koleją makulatury ze Związku Sowieckiego do krajów Europy Zachodniej. Nastąpił też kolejny spadek wpływów z tytułu przewozu przesyłek z RFN do krajów Bliskiego i Dalekiego Wschodu, akwirowanych przez firmę *C. Hartwig*. Czerpane przez

PRL dochody z przewozów tranzytowych zmniejszą się drastycznie po uruchomieniu połączeń promowych Kłajpeda-Mukran (NRD) i Kłajpeda-Travemünde lub Lubeka (RFN). *Frankfurter Allgemeine*: „NRD i Sowiety chcą za wszelką cenę uniezależnić się od ciągłej niepewnej sytuacji politycznej w Polsce, jak również od bardzo złego stanu polskiego taboru kolejowego”. ■ Boński Bundestag uchwalił ustawę zezwalającą na ściganie z urzędu wszelkich prób kwestionowania przestępstw hitlerowskich. ■ Inż. Wiesław Lambui z *Polskiego Klubu Informacyjnego* w Hanowerze i Helmut Kirsch, rzecznik prasowy *Związku Wypędzonych (BdV)* ogłosili na łamach *Die Welt* wspólne oświadczenie, w którym stwierdzają, że „wierni konstytucji Ślązacy są przekonani, że przyszedł porządek europejski będzie się opierał na samostanowieniu wolnych narodów, w którym Niemcy i Polacy będą współżyć bez granicy na Odrze i Nysie”. Ta *trojańska* teza jest lansowana od lat przez dr. Hupkę. Sformułowania dalszych fragmentów oświadczenia wskazują, że to funkcjonariusze *Związku Wypędzonych* byli inspiratorami tego niemiecko-polskiego „przedsięwzięcia”. Inny list inż. Lambui, utrzymany w podobnym tonie — i ogłoszony we *Frankfurter Allgemeine* — został natychmiast przedrukowany przez zdominowaną obecnie przez dr. Hupkę bońską *Kultur-politische Korrespondenz*. ■ Wielki dom wydawniczy *Econ-Verlag* w Düsseldorfie wydał książkę Mieczysława F. Rakowskiego pt. *Ein schwieriger Dialog. Aufzeichnungen zu Ereignissen in Polen 1981-1984 (Trudny dialog. Notatki o wydarzeniach w Polsce 1981-1984)*. ■ Dzięki staraniom dziennikarki, dr. Helgi Hirsch, w pomieszczeniach wystawowych kolońskiej *Zentralbibliothek* otwarto okazałą wystawę różnego rodzaju publikacji wydawanych w krajach wschodnioeuropejskich przez ugrupowania i oficyny związane z demokratyczną opozycją, skazaną na pełną rzyzyka działalność podziemną. Większość miejsc na tej ciekawej ekspozycji zajmują drukowane przez polskie oficyny podziemne książki, biuletyny, plakaty, ulotki i inne materiały ikonograficzne. Na wystawie demonstrowano także funkcjonującą sprawnie maszynę drukarską, skonstruowaną w Sowietach przez rosyjskich baptystów i przemycaną później w częściach na Zachód. Tumnie odwiedzana wystawa została otwarta przez Tomasza Kostę, Czecha, przewodniczącego *Wschodnioeuropejskiego Ośrodka Kulturalnego IGNIS* (Kolonia). ■ Przedstawiciele *Komitetu Pomocy Solidarności* w Moguncji zostali zaproszeni przez premiera Nadrenii-Palatynatu na spotkanie prezydenta Ronalda Reagana z młodzieżą w historycznym zamku w Hambach. Andrzej Wirga, przewodniczący *Komitetu*, przekazał Reaganowi list, w którym zaznaczono m.in., że „zaledwie 250 mil na wschód leży kraj, potrzebujący moralnego i materialnego wsparcia demokratycznego Zachodu, aby przetrwać obecne trudne czasy”. ■ Kierowany przez Hellę Jürgens hamburski *Związek Popierania Międzynarodowej Solidarności (Verein zur Förderung Internationaler Solidarität e. V.)* nadal prowadzi aktywną działalność na odcinku polskim. Ostatnio zebrano liczne podpisy pod listem protestującym przeciwko skazywaniu i więzieniu działaczy demokratycznej opozycji. ■ Z inicjatywy *Zielonych* odbyło się w Wildflecken (Bawaria) spotkanie na polskim cmentarzu, dla uczczenia ofiar drugiej wojny światowej. Na spotkanie przybyli przedstawiciele *Komitetu Pomocy Solidarności* z Moguncji. Podczas okolicznościowych przemówień jeden z przedstawicieli organizatorów (urodzony w Kłodzku i przesiedlony w 1946 roku) przedstawił krótki rys historyczny, ogrom i okrucieństwo zbrodni hitlerowskich oraz znaczenie tych faktów dla obecnego pokolenia. Oświadczył ponadto, że rozsądnie myślący Niemcy wysiedleńcy nie życzą sobie, ażeby funkcjonariusze *Związku Wyszędzonych* występowali z rewizjonistycznymi żądaniem w ich imieniu. Podkreślił również wielką sympatię i poparcie dla *Solidarności* oraz „chęć wspólnie z nią walki o wolność i sprawiedliwość społeczną”. W imieniu podziemnej organizacji *Solidarność Walcząca* przemawiał Andrzej Wirga.

Andrzej J. CHILECKI

## Kronika litewska

Dr St. Bačkis jest szefem dyplomacji litewskiej i pełni obowiązki *chargé d'affaires* przy rządzie amerykańskim. Syn jego, prałat Bačkis, zajmuje wysokie stanowisko w dyplomacji watykańskiej jako dyrektor departamentu d/s organizacji międzynarodowych. Zastępcą i przyszłym następcą sędziwego dr. Bačkisa jest St. Łozorajtis jr, syn zmarłego byłego szefa dyplomacji, wyznaczonego jeszcze przez prezydenta Smetonę. Łącznikiem między prezydentem Reaganem a grupami etnicznymi jest amerykański Litwin B. Kojelis, syn sekretarza związku dziennikarzy litewskich w Ameryce. Sztafeta czołówki litewskiej emigracji przechodzi więc z ojców na synów. ■ Litewsko-amerykańskie pismo *Draugas* zamieściło w dniach 19 i 20 czerwca 1984 obszerny wywiad z prezesem polskiej organizacji w Wenezueli, F. Żubrem. Wywiad przeprowadził J. Kojelis, wspomniany sekretarz związku dziennikarzy litewskich w Ameryce, podczas zjazdu litewskiej emigracji z krajów Ameryki Łacińskiej. Inżynier Feliks Żubr jest byłym obywatelem litewskim, byłym wileńskim akowcem, a obecnie zamożnym fabrykantem, kolekcjonerem zabytków i człowiekiem o dużych wpływach: gdy przed laty litewscy porywacze Brazyńscy (którzy zbiegli z Kaukazu do Turcji) znaleźli się w tragicznej sytuacji, zdołał obu wyratować, uzyskując zezwolenie na ich czasowy pobyt w Wenezueli. Inż. Żubr wstąpił do AK jako maturzysta, a wyostał się z Litwy dopiero w roku 1946. Zdążył natrzeć się na placie miasteczek usiane ciałami partyzantów, które zgodnie z przepisami musiały tam leżeć przez tydzień. — Wywiad dotyczył przede wszystkim stosunków polsko-litewskich. Na uwagę Kojelisa, że polskie głosy, jakoby stosunki między obu narodami miały być oparte na braterskiej miłości, są jałowym liczmanem, inż. Żubr odpowiada, że Litwini popelniają stale ten sam błąd, widząc teraźniejszość w kontekście przeszłości. Po pierwszej wojnie Polska była rzeczywiście zagrożeniem dla Litwy. Społeczeństwo polskie miało na Litwie ogromne wpływy. Litewskich działaczy nazywano „separatystami” i nikt poważnie nie wierzył w możliwość powstania niepodległej Litwy. Wyższe warstwy, choć były przywiązane do swego kraju i uważały się za Litwinów, używały jednak języka polskiego, ulegały polskiej kulturze i dążyły do jakiejś „federacji” z Polską. W jak trudnej sytuacji byli twórcy państwowości litewskiej, wykazuje statystyka ludności, i to przeprowadzona przez niemieckich okupantów w 1916 roku. W Kownie 40 % mieszkańców zadeklarowało narodowość polską. — W owym czasie w ogóle nie było jasne, gdzie się zaczyna Litwa i kto jest Litwinem. Dziś — siedemdziesiąt lat później — sytuacja się całkowicie zmieniła: Litwini mają wyrobioną świadomość narodową, język literacki, mają swych bohaterów i swe tradycje. Kwestionować ich prawo do niepodległości może tylko tak bandycki sąsiad jak Związek Sowiecki, któremu udało się czasowo Litwę zniewolić. Poważne rozmowy polsko-litewskie mogą być prowadzone dopiero po odzyskaniu niepodległości. Do tego czasu można rozmawiać tylko na emigracji, ale nie są to rozmowy między państwami, ogłaszanie zatem obecnie „pryncypialnych” deklaracji nie ma sensu. Zdaniem Kojelisa Polska nie stanowi dziś zagrożenia dla Litwy. Obydwa kraje sąsiadowały ze sobą przez wieki, a tylko przez krótki czas, w wyniku specyficznych okoliczności, utrzymywały złe stosunki. Podkreśla natomiast, że Wilno jest stolicą Litwy i nikt nie ma prawa rościć sobie do niego pretensji. Bez rozstrzygnięcia sporu o Wilno ułożenie stosunków litewsko-polskich nie jest możliwe. Co o tym myślą

Polacy? — Zdaniem Żubra sprawa Wilna będzie zapewne rozpatrywana na forum międzynarodowym, choć gdzie i kiedy, trudno przewidzieć. Roszczenia do Wilna zgłaszają Litwini, Polacy, ale i Białorusini. Sytuacja Litwinów znacznie się poprawiła, bo posiadają Wilno, podczas gdy Polacy je utracili i liczebność ich tam się zmniejszyła. Za to Białorusini niebezpiecznie się przybliżyli, gdyż Wilno znalazło się blisko granicy białoruskiej. Inż. Żubr uważa, że liczba Polaków i Litwinów na Wileńszczyźnie będzie maleć na rzecz Rosjan i Białorusinów. Sowiety będą dążyć do rusyfikacji tego obszaru. Czas nie pracuje na korzyść Litwinów. Polska, poza niewielkim odcinkiem na Suwalszczyźnie, nie ma wspólnej granicy z Litwą. Za to granica litewsko-białoruska jest bardzo długa. Gdyby sobie wyobrazić że Związek Sowiecki się rozpadł a Litwini i Ukraińcy usiłują oderwać się od Rosji, nie bardzo wiadomo, co zrobiliby Białorusini. Słabo narodowościowo uświadomieni, może zechcieliby jakiejś unii z Rosją? W takim przypadku mogliby pragnąć przyłączenia Wileńszczyzny. Pod względem handlowym i komunikacyjnym Wilno jest dla nich bardzo ważne. Litwini z wielkim odsetkiem innych narodowości znaleźliby się na Wileńszczyźnie w trudnej sytuacji. Nie wiadomo, jak by się wówczas zachowała nie-komunistyczna Polska, dla której Wilno nie miałyby już takiego znaczenia jak dla pokolenia międzywojennego. Mogłoby się zdarzyć, że Polacy wespół z Litwinami broniliby wspólnej wschodniej granicy przed rosyjskim imperializmem. — W dalszym ciągu wywiadu J. Kojelis pyta o sytuację na Litwie w czasie wojny, o działalność AK, która rozbroiła sporo Litwinów z oddziałów kolaborujących z Niemcami. Oto kilka fragmentów odpowiedzi n/t wybuchu powstania litewskiego w lipcu 1944: „Rozkaz natarcia przyszedł od rządu polskiego w Londynie. Gwarantował on poparcie Ameryki i Anglii i zapewnił, że żadnych problemów z Sowiecami nie będziemy mieli”. Dalej dowiadujemy się, że AK próbowała kontaktować się z gen. Plechavičiusem za pośrednictwem jego znajomego, Onufrego Korewy. Generał odniósł się do sprawy przychylnie, ale potem się wycofał, zaśnając się trudnościami ze strony swego sztabu (raczej Tajnego Komitetu Wyzwolenia Litwy, któremu się wówczas ponoć podporządkował). Plechawicz — tak nazywał się ojciec gen. Plechavičiusa — wiosną 1940 roku powiedział swemu polskiemu sąsiadowi, że tą częścią Europy będą rządzić albo hitlerowcy, albo bolszewicy, a Litwinom i Polakom ani pod jednymi, ani pod drugimi nie będzie dobrze — lepiej więc nie angażować się po żadnej stronie, a zachować żywe siły narodu. W końcowym okresie wojny Niemcy chcieli litewskiego Wehrmachtu, zaś Plechavičius dążył do stworzenia „legionów” z wielką podchorążówką, kadrami szkolonymi na Kowieńszczyźnie i niewyszkolonym i bezideowym materiałem ludzkim, przysłanym na Wileńszczyznę, by robił tam brudną robotę wymaganą przez Niemców. Plechawicza aresztowano gdy jego szef sztab został rozstrzelany za kontakty z Londynem. Bataliony „plechawiczuków” miały u Wilnian zasłużenie fatalną opinię, podobnie jak ich dowódca. Z relacji Polaków na Litwie, a nawet uchodźców polskich, którym pomagał, wynika, że nie był specjalnie wrogo nastawiony do Polaków. — J. Kojelis zapytuje, w jaki sposób AK mogła tak łatwo rozbrajać załogi litewskiej policji na Wileńszczyźnie. — F. Żubr odpowiada, że AK zaczęła działać w sposób zorganizowany na początku 1943 roku. Załogi litewskie, lepiej wówczas uzbrojone niż AK, poddawały się, bo brakło im ducha bojowego. Co więcej, widząc, że mają do czynienia z polskimi partyzantami, którzy im niczego złego nie robią, kapitulowały już po kilku strzałach. Nie znają liczebności oddziałów partyzanckich, gdyż ich naloty odbywały się nocą, po całkowitym okrajeniu i odcięciu linii komunikacyjnych. Załogi litewskie nie miały żadnego oparcia w miejscowej ludności i dlatego nie wiedziały, co się dzieje w okolicy. To dawało AK większą swobodę ruchów i ułatwiało jej wykonanie planów. Zdarzały się jednak wypadki skutecznego oporu. Niestusne jest twierdzenie,

że Niemcy pomagali Polakom. Prawdą jest natomiast, że Polacy byli lepiej poinformowani dzięki sprawnemu wywiadowi. Np. wydział apropozycji wyznaczał z niemiecką dokładnością dostawy do poszczególnych garnizonów, z wymienieniem miejsca, liczebności i daty przybycia. A w biurach składów pracowały Polki znające język niemiecki, które informowały AK. Stąd ruchy wojsk niemieckich były znane polskiemu dowództwu. — Na zakończenie wywiadu inż. Żubr stwierdza, że polsko-litewska współpraca w Wenezueli mogłaby być przykładem dla innych skupisk. — Wywiad inż. Żubra wywołał w prasie litewskiej rozmaite echa. Jedni rozważali, czy większe jest zagrożenie polskie, czy białorusko-rosyjskie. Inni, w odpowiedzi na hasło samodzielnosci Litwy „jak za czasów kazimierzowskich”, odpierali, że takiej samodzielnosci nikt nie chce, ani na emigracji, ani na Litwie: „Z zainteresowaniem śledzimy ruch 'Solidarności', ale gdy ci solidaryści zaczynają kreślić mapę przyszłej Polski z Wilnem i Lwowem, to warto nam się zastanowić. Cieszymy się, że kardynał Wojtyła został wybrany papieżem i jest Janem Pawłem II. Jestem pewien, że za czasów naszej niepodległości żaden Litwin by się z tego nie cieszył. Zdarzają się jeszcze dziwniejsze rzeczy. Gdyby Litwa po ostatniej wojnie odbudowała swe niepodległe państwo, z pewnością nie jeden z przywódców tak zwanej Armii Krajowej byłby pociągnięty do odpowiedzialności za zdradę i przestępstwa wobec narodu litewskiego. A teraz nawet takie pismo jak *Pasaulio Lietuvis* zamieszcza wywiad z dowódcą oddziału tej armii na Litwie. Nikt nie sprzeciwia się rozmowom z prawdziwymi Polakami, ale nie z samozwańcami Polakami, którzy posiadali majątki i uczęszczali do gimnazjów na Litwie”. ■ Przed tegoroczną wizytą papieża w Wenezueli w największym dzienniku tutejszym, *El Universal*, ukazało się na powitanie papieża wielkie ogłoszenie z opisem ucisku na Litwie i apelem, by Ojciec Święty mianował kardynałem Litwina. Za pośrednictwem inż. Żubra uzyskano, że podczas spotkania z grupami etnicznymi Litwini zostali przyjęci zaraz po Polakach. Treść ogłoszenia podobą się w otoczeniu papieża, nie zostanie jednak zamieszczona w *Osservatore Romano*, gdyż zamieszczenie go w polskim wydaniu spowodowałoby niechybnie konfiskatę całego ponad stu tysięcy nakładu. ■ W swym przemówieniu do korpusu dyplomatycznego dnia 13 stycznia 1985 papież potępił prześladowania religijne i łamanie praw ludzkich na Litwie, nie wymieniając jej nazwy. ■ Jak podawaliśmy, przewodniczący Naczelnego Komitetu Wyzwolenia Litwy (VLIK) dr K. Bobelis otrzymał papieski order św. Grzegorza. Udekorowania dokonał biskup Florydy w obecności litewskich działaczy, kolegów lekarzy, przedstawicieli Estończyków, Łotyszów i Ukraińców (Polaków nie zaproszono). ■ W parlamencie europejskim znów była poruszona sprawa niepodległości państw bałtyckich, i znów najaktywniejszym jej rzecznikiem był Otto von Habsburg, który też propaguje założenie Instytutu Studiów Europy Wschodniej i Związku Sowieckiego. ■ Senat australijski zalecił rządowi podjęcie w ONZ inicjatyw celem uzyskania dla Estonii, Litwy i Łotwy prawa do samodzielnosci i poszanowania praw człowieka i obywatela w tych krajach. ■ Sekretarz stanu G. Shultz wystosował pismo do dr. Bačkisa jako *chargé d'affaires* Republiki Litewskiej z zapewnieniem, że rząd Stanów Zjednoczonych nie uznaje inkorporacji państw bałtyckich do Związku Sowieckiego. ■ Z orędzia prezydenta USA: „Ja, Ronald Reagan, prezydent Stanów Zjednoczonych, ogłaszam dzień 16 lutego 1985 roku Dniem Niepodległości Litwy”. Z tej okazji ponad 30 kongresmanów i senatorów wpisało do kongresowej księgi pamiątkowej swe wypowiedzi pełne sympatii dla narodu litewskiego. Wśród wypowiedzi jest tylko jedna kongresmana polskiego pochodzenia, demokraty z Michigan John D. Dingella. ■ Kongresman D. Ritter wysunął do pokojowej nagrody Nobla kilku dysydentów sowieckich, a wśród nich Vitora Petkusa, litewskiego działacza katolickiego z komitetu Helsinki. Interweniował też w sowieckiej ambasadzie w sprawie

skazanego na Litwie na 3 lata łagru księdza Matulionisa. Był on przed laty na żądanie władz wydalony z kowieńskiego seminarium. Jednak ukończył studia drogą korespondencyjną i został wyswięcony na kapłana tzw. „Kościoła w katakumbach”. Następnie został przydzielony jako wikary do proboszcza ks. Tamkevičiausa. Po uwięzieniu proboszcza wyswięcony nielegalnie wikary został proboszczem w Kibartach i tam „prowadził antysowiecką propagandę”. Za to i za nielegalne uprawianie zawodu duchownego dostał trzy lata. ■ Litewskie poselstwo w Rzymie mieści się w wynajętym gmachu, który ma być sprzedany, zaistniała więc konieczność znalezienia nowej siedziby, a na to brak środków. W dawnym gmachu poselstwa litewskiego mieści się sowiecki konsulat. We Francji gmach poselstwa został na żądanie Sowietów odebrany Litwinom, lecz na żądanie Litwinów nie oddany Sowietom, i stoi pusty. W Berlinie gmach poselstwa został zburzony w czasie wojny, a pusty plac jest pod zarządem wojskowym amerykańskiej strefy. W Anglii poselstwo może korzystać z lokalu zakontraktowanego na jeszcze 10 lat. ■ Litwin Romas Burba, sowiecki żołnierz, wzięty do niewoli przez afgańskich partyzantów i internowany przez ponad rok w Szwajcarii, powrócił do ZSSR. Według informacji prasy szwajcarskiej był szantażowany przez sowieckich wysłanników, którzy grozili represjami w stosunku do jego rodziców. Ojciec telefonował z Litwy, zachęcając do powrotu. Skądinąd R. Burbę ostrzegano (podobno przez Watykan) by nie dał się złapać w pułapkę. ■ Wobec tego, że liczne spadki po uchodźcach są przekazywane krewnym w Związku Sowieckim, a spadki po zmarłych na Litwie nie mogą być przekazywane za granicę, grupa Bałtów zwróciła się do rządu stanowego Tasmanii o wprowadzenie do ustawy o przekazywaniu spadków zasady wzajemności. ■ W Polsce ma się ukazać wydawnictwo poświęcone przyjęciu chrztu przez Litwę. Będzie ono zawierać wyrytek z „Historii Litwy” prof. Ivinskasa, jak też polskich autorów. Polacy mają obchodzić jubileusz 600-lecia w roku 1986, upamiętniając datę przyjęcia chrztu przez Jagiełłę. Litwini uważają, że właściwsza jest data upamiętniająca rozpoczęcie w Wilnie, z udziałem Jagiełły i Witolda, przyjmowania chrztu przez licznych bojarów litewskich. Kwestionują też zastępcę błogosławionej królowej Jadwigi w nawróceniu Litwinów. ■ Fundusz Litewski (USA) wpłacił już ponad \$ 300.000, fundując katedrę lituanistyki na uniwersytecie w Chicago. Fundusz wydał drugi nakład broszury „Soviet Genocide in Lithuania” oraz „Russian Imperialism and Messianism” pióra dr. Eretasa, a właściwie Ehreta. Bowiem autorem jest rodowity Szwajcar, który osiedlił się na Litwie, tam założył rodzinę, został profesorem i dopiero po ostatniej wojnie wrócił do Szwajcarii, gdzie nadal pracował dla Litwy. ■ W prasie litewskiej zostały omówione polskie wydawnictwa: „Droga do Ostrej Bramy” Erdmana (z przekąsem) oraz „Droga Pani” Toporskiej i J. Mackiewiczza, z podkreśleniem, że Mackiewicz odnosił się do Litwinów przychylnie, że napisał wiele powieści, że są one tłumaczone na wiele języków, lecz wśród Litwinów są prawie nieznanne. Głosy o stosunkach polsko-litewskich, zwłaszcza z *Kultury* i prasy podziemnej „Solidarności”, są skrzętnie odnotowywane, np. głos o spotkaniu polsko-litewskim w Podkowie Leśnej z *Bazy* nr 9, październik 1984, zacytowany był w całości. Prasa litewska komentuje to tak, że grupa dalekowzrocznych intelektualistów chciały mieć dobre stosunki z Litwinami, Białorusinami i Ukraińcami, aby ci tworzyli „kordon sanitarny”, oddzielający Polskę od Rosji, i za tę cenę wyrzekliby się nawet Wilna i Lwowa, ale wydaje się, że szerokie masy w Polsce nie przyswoiły sobie tych poglądów. Inna uwaga, że intelektualiści starszej daty przyjaźni Litwie nawiązują do Jagiełły, a Litwini uważają Jagiełłę prawie za zdrajcę, a unię za klęskę, i wolą być sąsiadami a nie „braćmi”. ■ O ile w okresie międzywojnia tłumaczeń z literatury litewskiej na polski było bardzo mało, o tyle po wojnie w PRL dużo jest pisarzy znających język litewski i dużo się tłumaczy. Najpłodniejsza (literacko)

jest para Anastazja i Zygmunt Stoberscy. Z utworów beletrystycznych, poezji i prac historycznych widać, że jest to twórczość powstała w republice sowieckiej, a opracowana w ludowej. Wyjątek może stanowi wydane w 1982 roku przez olsztyńskie „Pojezierze” tłumaczenie perły poezji litewskiej, poematu Kristionasa Donelaitisa „Pory roku” w doskonałym przekładzie Zygmunta Ławrynowicza z obszernym wstępem pióra Andrzeja Wakara i Zygmunta Ławrynowicza. Tłumacz dał dokładną wersję oryginału, aczkolwiek litewski heksametr zastąpił polskim trzynastozgłoskowcem. Dodajmy, że chociaż książka została wydana w kraju, to Z. Ławrynowicz był uważany za poetę emigracyjnego (USA), rodem z Litwy, zwanej niegdyś „kowieńską”. Ta jątrząca terminologia, bodajże po raz ostatni była oficjalnie użyta w czasie wojny. Wileńskie AK miało pod-okręg „Litwa Kowieńska”. Galimatias w tej dziedzinie trwa nadal, bo w litewsko-kanadyjskiej gazecie znajdujemy nekrolog kogoś, kto zmarł nie w Polsce, a w „Trójkącie Suwalskim”. ■ W tymże piśmie omawiane są przyszłe granice Litwy. Na wschodzie: Połock, Dźwina, Berezyna, Słusz, na południu Prypeć, następnie Bug, tak że Włodawa i Ostrołęka zostają po polskiej stronie. Pole bitwy pod Grunwaldem zostaje wspólną posiadłością polsko-litewską. Dalej granica idzie ku dolnej Wiśle, wzdłuż jej biegu do ujścia. Drobiazgowy opis granicy kończy się słowami: „Są to tylko minimalne korektury granicy Litwy z Polską. Litwa nie żąda ani piędzi ziemi polskiej. Tak powinni postępować również Polacy, jeżeli chcą, abyśmy byli z nimi w przyjaźni”.

E. ŻAGIELL

### APEL NA RZECZ CDN

Trzy litery — „ciąg dalszy nastąpi” — pojawiły się na murach miast polskich jako odpowiedź na ogłoszenie stanu wojennego. Wymowa ich była jednoznaczna: walka o wolne słowo, prawa obywatelskie i związkowe, będzie trwała do zwycięstwa. Nic też dziwnego, że niezależne wydawnictwo, które powstało w styczniu 1982, te trzy litery przyjęło jako symbol i nazwę. Uznało je jako szczególne zobowiązanie, jako zapowiedź, że czytelnik będzie otrzymywał jedną książkę po drugiej mimo policyjnych rewizji i konfiskat. Wydawnictwo dotrzymało słowa — CDN do dziś opublikowało około 50 dzieł głównie z dziedziny historii najnowszej i publicystyki politycznej, a także utwory literackie, teki zdjęć i kasyety z nagraniami.

To wielkie osiągnięcie w warunkach konspiracji wymaga nie tylko poświęcenia, odwagi i wytrwałości, ale także pomocy materialnej i technicznej. Niech społeczeństwo emigracyjne na Zachodzie, zawsze tak ofiarne i pełne zrozumienia dla potrzeb kraju, nie odmawia pomocy także i podziemnym wydawcom z CDN.

Sprawy wydawnicze i pomocy CDN na Zachodzie wzięło w opiekę Wydawnictwo PULS, a prac z tym związanych podjęła się Teresa Afeltowicz, były żołnierz Armii Krajowej. Korespondencję w sprawach CDN, czeki lub międzynarodowe przekazy pieniężne (wystawione na CDN Press) prosimy kierować na:

**PULS PUBLICATIONS,  
BCM Box 697, London WC1N 3XX, United Kingdom**

## Kronika kulturalna

### Neorealizm socjalistyczny

Beniaminek literatury sowieckiej tudzież prosowieckiej krytyki zachodniej, poeta Jewgenij Jewtuszenko (ur. 1933) w 1981 roku opublikował swoją pierwszą powieść pt. „*Miejsca pełne jagód*”<sup>1</sup> i odniósł potrójny sukces: 1° — utwór został z lekka skrytykowany przez władze, co przydało mu charakteru niemal dysydenckiego, 2° — sowiecka publiczność zareagowała nań tak, jak w swoim czasie polska na „*Złego*” Tyrmanda, 3° — na Zachodzie powieść została przetłumaczona na wszystkie ważniejsze języki i ukazała się w dużych nakładach w kilkunastu krajach. Warto przyrzeć się temu sukcesowi bliżej.

Powieść Jewtuszenki składa się z 22 rozdziałów umieszczonych pomiędzy „Epilogiem” a „Prologiem” (tak jest!) i dzieje się na początku lat 1970-tych na Syberii; dwa rozdziały ukazują też (na zasadzie chwytu „równoczesności zdarzeń”) scenę w gabinecie Allende tuż przed przewrotem oraz koncert rockowy w Honolu. Zasadnicza fabuła składa się z dwóch wątków: obrazu życia w kolchozowej wiosce syberyjskiej oraz losów wyprawy geologicznej działającej w jej pobliżu. Centralną sprawą pierwszego wątku są narodziny nieślubnego dziecka w rodzinie Biełomiestnychów: stary ale jary Iwan Kuźmicz — Sybirak z dziada pradziada — na wieść o tym, że jego córka Ksjuta (wystylizowana przez autora na rosyjską Krysię Leśniczkę) ni stąd ni zowąd ma mieć dziecko, grzmi i piorunuje, ale na widok gotowego wnuka mięknie i wszystko się dobrze kończy. Sprawcą tego zamieszania jest niesympatyczny ale „skomplikowany” bohater wątku drugiego, geolog Kołomiejcew, który w czasie rekonesansu w roku poprzedzającym zasadniczą akcję nawiązał krótki, ale bardzo poetyczny romans (zasolana wśród tajgi, nagła ulewa, ogromne kopy schnącego siana, burza zmysłów, każdy to zna) ze wspomnianą

1. *Jagodnyje miasta*, pierwodruk w miesięczniku *Moskwa* 1981, Nr 10, str. 4-123 & Nr 11, str. 52-111.

już Ksjutą. W „czasie realnym” powieści Kołomiejcew kieruje wyprawą, która ma znaleźć cenny minerał zwany kasyterytem [?] i w tym celu urządza niebezpieczny spływ łodziami po dzikiej rzece pełnej wodospadów. Czyni to wbrew zaleceniom zdrowego rozsądku i co gorsza zakazowi władz, lecz i tu wszystko dobrze się kończy: łodzie się wprawdzie przewracają i mało brakuje, by wszyscy potonęli, ale w końcu cała ekspedycja się odnajduje i skupia wokół siedzącego z ponuro zwieszoną głową kierownika, którego czeka niespodzianka — jeden z członków wyprawy rzucony o skały w szczególnie groźnym zwężeniu rzeki odłupał od nich spory kamień, który okazuje się kasyterytem. *Tout finit bien par avoir une fin.*

Ta naiwna i wręcz wyzywająco sztampowa powiastka nie zwróciłaby niczyjej uwagi, gdyby nie to, że Jewtuszenko użył jej li-tylko jako szkieletu dla innej materii, którą określić można jako ogólny przegląd wszystkiego i zajęcie wobec każdej sprawy poprawnego stanowiska. Luźna konstrukcja „*Miejsc*” pozwoliła autorowi na wprowadzenie dziesiątków mniej lub bardziej epizodycznych postaci, z których każda ma swoich znajomych i swoją historię, co w sumie dało książkę typu miązgowatego, aspirującą do rangi eseju o współczesności. Jest oczywiście, że w warunkach sowieckich esej taki jest niemożliwy, a ściślej niepublikowalny, ponieważ podstawowa dla prawdziwej refleksji rzecz — swoboda rozumowania na własną rękę — jest *a priori* wykluczona w reżymie opartym na kłamstwie, dogmacie i tabu. Zasiadając do pisania swego utworu Jewtuszenko naturalnie wiedział o tym, toteż wyteżył swoją ambicję twórczą w jednym kierunku, jaki dawał pewne szanse nowatorstwa, czyli w kierunku ubrania „poprawności” w modniejsze i mniej zgrzebne szaty. Jego powieść jest w dalszym ciągu produktem literatury pozorowej, ale kamuflaż pokrywający propagandę „zdrowych” myśli jest tu bardziej złożony niż w topornych socrealistycznych cegłach typu klasycznego i z tego też względu książka jest interesująca.

W przeciwieństwie do prawomyślnych utworów okresu „milionowego”, które były właściwie tylko pokazami wiernopoddaności wobec władz i niczym więcej, „*Miejsca pełne jagód*” zwrócone są także ku czytelnikowi, głównie miejscowemu, ale starają się nie odstraszać i tego spoza kordonu. W tym celu Jewtuszenko musiał stworzyć pozór spontaniczności i szczerości, czyli otoczyć „zdrowy zrąb” książki koronką pseudokrytyki, pseudoodwagi i pseudoniewprawomyślności. Tym zrębem jest naturalnie „globalnie pozytywny” bilans sowieckiego państwa, podkreślony naiwnym pomysłem zmiany normalnego sensu słów „epilog” i „prolog”: w obrazku wstępnym, zatytułowanym „epilogiem”, czytelnik widzi sowieckiego kosmonautę szybującego nad naszą planetą w pojeździe, o jakim śnić tylko mógł XIX-wieczny fantasta Ciołkowski, zaprezentowany w obrazku końcowym, nazwanym przez Jewtuszenkę „prologiem”. Nawet niezbyt bystry czytelnik domyśli się bez trudu, że wszystko co leży pomiędzy tymi dwoma punktami czasowymi, czyli cała historia „władzy

radzieckiej” i jej sprawek, to tylko wycinek krzywej, wznoszącej się chyżo jak rakieta ku coraz świetniejszej przyszłości. Wszystko inne jest tylko cieniem na pięknym obrazie.

Tych cieni zgromadził Jewtuszenko dość sporo, ale w szczególny sposób — aluzje do syberyjskich łągrów, stalinowskiej kolektywizacji czy nędzy i nudy sowieckiego życia są właśnie tylko aluzjami, czyli mrugnięciem do czytelnika, że autor też swoje wie, natomiast prawomyślne „krytyki”, a właściwie denuncjacje i karykatury dysydentów i ludzi źle widzianych przez władze są soczyste, pełne półprawdziwych szczegółów i rzekomego obiektywizmu człowieka, który i w Honolulu był i po angielsku umie, a jakże. Przytoczę dla ilustracji wyjątkowo obrzydliwy fragment tego rodzaju:

Pewnego razu Kriwczew [epizodyczny bohater pozytywny] znalazł się w tak zwanym mieszkaniu literackim. Czekano na szeroko znanego w wąskich kręgach salonowego poetę. Podniecone damy rozstawiły miniaturowe filiżaneczki do kawy wokół dużego napoleonika domowego wypieku, przy którym leżała lśniąca srebrna łyżka tortowa. „Salonowy” poeta zjawił się z mniej więcej półtoragodzinnym opóźnieniem w eskorcie dwóch korespondentów zagranicznych, szwedzkiego i amerykańskiego. Wbrew wszelkim oczekiwaniom wyglądał na niezłe odżywionego i w dobrej formie. Na wstępie pociągnął koniak prosto z butelki, stojącej we wruszającym osamotnieniu na stole i popił wodą z wazonika z kwiatami. Następnie wymachując łopatką do tortu i strącając z niej okrucy na swą żeglarską brodę, zamiast oczekiwanych wierszy pokrótce „zdemaskował” literaturę sowiecką, nazwał Majakowskiego „pieczeniarniem”, Gorkiego „starym sklerotykiem”, a wszystkich współczesnych pisarzy „szumowinami”. [...] Gospodarz mieszkania — stary adwokat, chlubiący się swym zbiorem rzadkich książek i sztychów — delikatnie wtrącił:

— Wie pan, Majakowski nie należy do moich ulubionych poetów, ale jednak Pasternak go cenił...

— A cóż Pasternak? On też podkulił ogon... — odparł pociągnawszy z zasekwestrowanej na dobre butelki „salonowy” poeta.

Scena kończy się tym, że rozszalały dysydent zaczyna uwłaczać samemu Puszkiniowi (niewątpliwie aluzja do „*Przechadzek z Puszkinem*” Andrieja Siniawskiego), czego już nawet korespondenci zagraniczni ścierpieć nie są w stanie i pomagają gospodarzowi wyrzucić pseudopoetę-chuligana za drzwi. Prymitywizm literacki tego fragmentu idzie tu w zawody z prymitywizmem propagandowym: „ludzie dobrej woli”, nawet z lekka nieprawomyślni czy z innego obozu, łączą się w jeden front walki o Dobro, Prawdę i Piękno, czyli istotne cele sowieckiego reżymu, mimo jego drobnych niedoskonałości...

Szkoda miejsca w *Kulturze* na dłuższe zajmowanie się tym powieściłem, ale chciałem na nie zwrócić uwagę osób zainteresowanych „nadbudową” totalitaryzmu (taką jak nowomowa, *trick*'i propagandowe i manipulacja nastrojami), ponieważ z tego punktu widzenia książka Jewtuszenki jest okazem wręcz wystawowym. Jej filozofią (czy też, jak mawiał Witkacy, filozosią) jest coś, co można by nazwać sowieckim pozorem konwergencji: re-

zym nie zawsze jest cacy, ale stanowi bądź co bądź nowe wciele-  
nie dobrych tradycji rosyjskich (stąd sztafaż syberyjsko-ludowo-  
sielsko-literacko-eksploratorski), ma dobre intencje i osiągnięcia,  
Zachód zaś pomimo swego blichtru jest raczej be (stąd wzmianki  
o Hiroszimie, Wietnamie, Pinochet, bezrobociu itd.) — jeśli więc  
tu się nieco poprawi, a tam porządnie usocjalistyczni, to wszystko  
będzie cudownie i „ludzie dobrej woli” podadzą sobie ręce jak  
na plakacie z Festiwalu Młodzieży...

Prawdziwy ewenement literacki ćwierćmiliardowego pań-  
stwa! Przygnębiające.

M. BROŃSKI

## Śmierć Cézanne'a

Kilka tygodni temu zastanowiły mnie dwa artykuły Kisiela  
w *Tygodniku Powszechnym*, polemizujące z jego równolatkami  
politykami. Kisiel tłumaczy, że nie ma żadnego sensu pouczać  
ludzi o dobrą generację młodszych, jak mają postępować w poli-  
tyce. „I tak — cytuję z pamięci — nie będą was słuchać i dopie-  
ro jak sobie zęby połamią, będą wiedzieli, co mają robić”.

Zastanowił mnie ten tekst, bo myśli Kisiela przeniosłem na  
mój własny, wąski odcinek malarski. Od ilu to lat próbuję pisać,  
jakie powinno i jakie nie powinno być malarstwo! Przez długi  
czas wydawało mi się, że to, co piszę, może być potrzebne. Dziś  
mam wrażenie trochę jak Kisiel, że to, co kiedyś wydawało mi  
się tak ważne, powtarzam po raz nie wiem który jakby w pustce.  
Dlaczego nagle mam to uczucie? Bo o wiele za późno (jak to  
zwykle bywa) rozumiałem, że epoka, w której pisałem moje  
liczne artykuły, dawno minęła.

Zapalczywie broniłem cézannowskiego stosunku do malarstwa,  
a przede wszystkim jego znanego powiedzenia *faire du Poussin sur  
nature*. Pamiętam, jak w latach mojej młodości mój profesor  
Pankiewicz wprost ze zgorzeniem mówił o malarstwie swego  
przyjaciela Bonnarda, który lekceważył walor dla koloru i którego  
kompozycje, jak najbardziej antyklasyczne, wydawały się Pan-  
kiewiczowi malarsko błędne. Pisząc w 1934 roku książkę o Pan-  
kiewicz, wiernie powtórzyłem jego zdania, ale sam uważałem,  
że klasycyzujący Pankiewicz wprost nie rozumie Bonnarda, który  
był dla mnie odkrywczy właśnie w tym, co gorszyło Pankiewicza.  
Dzisiaj, kiedy zaglądam do mojej książki, nie zmieniam zdania:  
to Bonnard przez swoje kompozycje i przez akcent postawiony  
wyłącznie na kolorze najbardziej wpłynął na moją własną pracę.  
Ale stanowisko Pankiewicza nie zdaje mi się już wcale niedo-  
rzeczne. Odkrywczy stosunek Bonnarda do koloru miał swoją  
rację i naprawdę odkrył mojej generacji jakby nowe spojrzenie

na znaczenie koloru jako takiego. Kiedy odczytuję na nowo te  
rozdziały w książce o Pankiewicz, w których spisałem nasze  
przechadzki po Luwrze, uderza mnie znowu jego inteligencja i  
wnikliwość, a także świetna znajomość malarstwa w ogóle. Te  
rozdziały o malarstwie, w których powtarzam tylko jego zdania,  
mogą i dziś być kształcące dla każdego malarza. Zdanie Kisiela,  
że nie warto młodych uczyć, jak mają myśleć, nie wydaje mi  
się słuszne. Piszę o tym dlatego, że dzisiaj w moich polemikach  
z malarzami o parę pokoleń młodszymi ode mnie zawsze wra-  
cam do Cézanne'a, to znaczy do jego głównej tezy: do pracy  
„na naturze” jako do elementu, przez który malarz przejdzie musi.

Pamiętam jeszcze pierwsze lata Akademii w Krakowie. Kole-  
dzy moi już czcili Cézanne'a, choć niektórzy przejmowali się  
abstrakcją i podziwiali nie tylko Picassa, ale nawet Légera. Ja  
oglądałem w bibliotece Akademii Cézanne'a w dużej księdze z  
czarno-białymi reprodukcjami i nie rozumiałem z jego malarstwa  
niczego.

Dopiero w Paryżu w 1924 roku stał mi się tak centralnie  
ważny. Dlaczego? Dlaczego nie Monet, o tyle błyskotliwszy, dla-  
czego nie Manet, którego sławny obraz z odaliską zgorzone panie  
zwiedzające wystawę chciały podziurawić parasolami? Dlaczego  
nie Renoir, o tyle łatwiejszy? Przecież wszystkimi tymi mala-  
rzami również się zachwyciałem. Chodzi tu o sprawę pozornie  
drobną, a niezmiernie ważną. Cézanne w swoich płótnach nie  
wahał się zostawiać białych plam, w jego szkicach między każdą  
plamą widzimy nieraz biel płótna, bo chodziło mu najbardziej  
o rzetelne położenie farby, każdej plamy, bardziej niż o przekaz  
tego czy innego pejzażu, tego czy innego portretu. Dla mnie tu  
się zaczęła lekcja Cézanne'a i przez kilka lat kładłem plamy ko-  
lorowe obok siebie nie mieszając ich, zostawiając zawsze smugę  
białego płótna. Doszło do tego, że miałem szereg płócien dosłown-  
nie pointylistycznych, gdzie już nie tylko kładłem jedne od dru-  
gich niezależne plamy, ale dosłownie punkty. Zachowało mi się  
parę takich nieskończonych płócien. Jestem przekonany, że właś-  
nie ta technika, której się od nikogo nie nauczyłem, ale którą  
zawdzięczam kultowi Cézanne'a, doprowadziła mnie do malar-  
stwa. Ten przykład, który tylko mnie dotyczy, nie świadczyłby  
o niczym, gdyby nie to, że wszyscy na swój sposób przeszli przez  
Cézanne'a. Właściwie cała Ecole de Paris, od Deraina po Suti-  
na, szła jakby od niego.

Jego trud nieustanny, jego męka nad prowadzeniem każdego  
płótna, te obrazy, które porzucał w polu, gdy był z nich niezado-  
wolony, jego samotność, kiedy jego koledzy impresjoniści byli  
już sławni, jego starość i ostatnie listy do syna (cytuję z pamięci:  
*J'ai fait, je crois, un peu de progrès*) otaczały go aurą prawie  
świętości. Ten styl nie zbrukany żadną łatwizną stworzył płótna,  
które na całe pokolenia stały się wzorem niepowtarzalnej *qualité*.  
Ale kult Cézanne'a, który dzieliłem z najbliższymi kolegami i całą  
resztą nieznanym mi malarzy, prawie nieopatrzenie dla mnie  
zaczął błędąć i niknąć. Rozumiałem to dopiero teraz, a mogłem



był zrozumieć już dobre dwa dziesiątki lat temu. Dzisiaj młodzi malarze mówią o Cézannie z szacunkiem, jego obrazy wiszą we wszystkich wielkich galeriach, napisano o nim dziesiątki tomów, ale stosunek do niego nie nosi w sobie śladu odkrywczości. Taki stosunek mam sam na przykład do Delacroix: pewne jego szkice, studia do wielkich obrazów, do dzisiaj podziwiam, ale jego wielkie płótna, które odegrały wielką rolę w rozwoju malarstwa, mało mnie obchodzą.

Ostatnia paryska Biennale dała mi jeszcze silniej wrażenie, że nie dość zauważyłem, że żyjemy w innej epoce, i że sprawy dla mnie pałace wydają się dzisiaj mniej ważne. Malarz dzisiejszy równie dobrze korzysta z mistrzów, którzy zawsze pracowali na naturze, jak z Malewicza czy Mondriana. I nagle, dopiero teraz, uświadomiłem sobie, że sam należę do epoki pocézannowskiej, która dawno, dawno minęła. Na dzisiejszej Biennale nie znajduję ani jednego obrazu, który by choć z daleka przypominał Cézanne'a. To, co dzisiejszych malarzy najbardziej odróżnia od cézannizmu to może niedbały stosunek do koloru. Nie abstrakcyjność mnie razi, ale coraz to jakaś niebywała powierzchowność, wręcz niechlujstwo, gdy chodzi o wykorzystanie studium natury. Poza tym obrazy nawet ciekawe zdają mi się zamorusane czernią, kiedy w mojej tradycji czerń była niemal zakazana. Najciekawszym przykładem malarza, operującego niemal wyłącznie czernią i bielą jest Anselm Kiefer, o którym w *Kulturze* już pisał Pomian. Ten sam Kiefer wystawia na Biennale trzy duże płótna, również prawie tylko czernią i bielą malowane. (Robią tam mniejsze wrażenie aniżeli na jego indywidualnej wystawie w Musée d'Art Moderne). Nadużywanie czerni zdaje mi się na Biennale ogromnie częste. Nie tylko to: częsty jest również powrót tematu, który w mojej generacji zdawał się — nie licząc martwej natury — prawie nieistniejący. I tu może stajemy przed zasadniczą zmianą: odwrócona jest znowu kolejność ważności. O jedno by chodziło: by przy tej odwróconej kolejności zachowana została pamięć koloru z epoki cézannowskiej, by nie został zlekceważony ten zasadniczy dorobek malarski, o który moja generacja walczyła.

Józef CZAPSKI

## Przygodne notatki o mowie

### IMIONA „PRAWDZIWE” I ZASTĘPCZE

Zagadnienie imion władców tworzącego się państwa polskiego na przełomie czasów przedhistorycznych i historycznych budziło od dawna żywe zainteresowanie, które bynajmniej nie słabnie. W ciągu ostatnich dwóch stuleci tej sprawie poświęcono liczne

artykuły całej plejady wybitnych językoznawców. Przyczyną trudności jest lakoniczne ubóstwo udokumentowanych informacji, jakie dotrwały do naszych czasów i konieczność opierania się na dowodach ubocznych i poszlakowych. Toteż mniej lub bardziej spekulacyjne dochodzenia i wywody są wielce rozbieżne i kontrowersyjne. Nie zadowalają one ogółu zarówno lingwistów jak filologów i historyków.

Do prób powrotu do tego zagadnienia skłaniają pojawiające się ostatnio niektóre nowe dane (np. z zakresu archeologii, antropologii, mitologii porównawczej itd.), które będąc wprawdzie najzupełniej uboczne i nie mając pozornie żadnego związku ze sprawą imion Popielidów i Piastowiczów, zdają się rzucać nieoczekiwane światło na różne dawne informacje, podania i legendy, nadając im inny wymiar znaczeniowy i inną wymowę w stosunku do pozostałych dokumentów i poszlak.

Zasadnicze informacje o tych imionach znajdujemy w łacińskich zapisach, które dochowały się tylko w późnych odpisach dwóch dokumentów. Pierwszym z nich jest tzw. Kronika Anonima, którego Marcin Kromer (koniec XVI wieku) nazwał Gallusem, pisana na początku XII stulecia. Jej oryginał zaginął prawdopodobnie najpóźniej w XIV wieku. Do nas doszły tylko trzy późne odpisy tego dokumentu, sporządzone na przełomie XIV i XV wieku, a więc zapewne nie z oryginału i zawierające szereg niewątpliwych błędów kopistów. Autor tego utworu nie traktował go jako kroniki historyka, ale jako poemat epiczny, choć pisany nie wierszem, ale rytmiczną prozą i stylem modnych w owych czasach (na zachodzie Europy) dworskich utworów beletrystyczno-panegirycznych. Dlatego nie zawiera on dat i nie wspomina o wielu wydarzeniach, jakie autor niewątpliwie sam obserwował lub znał z bezpośrednich relacji.

Autorem był mnich pochodzący z Frankonii, jakich wtedy sporo znajdowało się zarówno w Polsce jak w królestwie Węgier, które organizował na wzór instytucji królestwa Franków król Stefan, ochrzczony jako dziecko przez św. Adalberta-Wojciecha, koronowany przez papieża Sylwestra II (i kanonizowany w 1083 roku przez Grzegorza VII). Jego następcy, mimo długich i ostrych walk o sukcesję, naśladowali te metody i systemy rządzenia. Po zgonie króla Gezy jego młodszy syn z regularnego małżeństwa, Laszlo, zarządził aby starszy przyrodni brat Kalman, syn greckiej nałożnicy króla Gezy, został odsunięty od dziedzictwa przez zamknięcie w klasztorze (co ówczesnym zwyczajem węgierskim zapewne miało się łączyć z oślepieniem). Ostrzeżony w porę Kalman zbiegł do Polski, gdzie uzyskał azyl i gościnę u króla Bolesława III. Po zgonie Laszlo Kalman wrócił do Węgier, z pomocą Bolesława pokonał przeciwników, objął tron i panował 20 lat. Wśród otoczenia Kalmana w czasie pobytu w Polsce znajdował się między innymi mnich frankoński, o którym pewne poszlaki zdają się wskazywać, że mógł to być benedyktyn z opactwa St. Gilles, Petrus Pictaviensis. Uczestniczył on w radzie Bolesława z Kalmanem przed jego powrotem do Węgier

i był świadkiem zawieranej wtedy tajnej umowy. Z nieznanym nam przyczyn pozostał w Polsce, przeszedł do otoczenia Bolesława i spełniał przy nim różne kancelaryjno-dyplomatyczne funkcje. On właśnie jest domniemanym autorem Kroniki Anonima.

Drugim z tych dokumentów jest „Kronika Polska” Wincentego, biskupa krakowskiego, zwanego Kadłubkiem, napisana na początku XIII wieku. Oryginał zaginął zapewne już w XIV wieku, a z pozostałych nietrwałych odpisów wykonanych na papierze, Jan Dombrowka zredagował wydanie, drukowane w 1612 roku w Dobromilu przez Jana Szelię. W tej wersji kronika Kadłubka ma postać listów wymienianych między Janem arcybiskupem gnieźnieńskim i Mateuszem biskupem krakowskim.

W XIX wieku ujawniła się kopia Kroniki pisana na pergaminie (nieznanej daty), którą hrabia Kuropatnicki podarował Warszawskiemu Towarzystwu Przyjaciół Nauk. (Po powstaniu została ona zabrana przez Rosjan i włączona do Carskiej Biblioteki w Petersburgu). Ta kopia zawiera tekst przeredagowany w formę rozmowy między dwoma starcami, która stanowi pierwszą część rękopisu. Druga część jest opowiadaniem kopisty. Wreszcie trzecia kopia Kroniki była odkryta przypadkowo w 1815 roku w cesarskiej bibliotece w Wiedniu, gdzie spoczywała oprawiona z kilkoma innymi rękopisami w jeden tom liczący 231 stron. Kronika Kadłubka znajduje się tam na 40 stronach, od 187-ej do 227-ej. Tekst zredagowany jest w czterech księgach rozmów między Mateuszem i Janem.

Wreszcie w „Dziejach Polski” Jana Długosza, kanonika krakowskiego (XV wiek), mimo obszernie przez niego mitologizowanych i beletryzowanych opisów, znajdujemy sporo informacji czerpanych z różnych, dziś już zaginionych źródeł. Analiza tego dzieła (na ogół przez historyków lekceważonego) przeprowadzona przez A. Semkowicza wykazała, że wśród licznych danych Długosz cytuje 218 faktycznych informacji z dokumentów, które już w XVII-XVIII wieku były zaginione. Między innymi czerpie jakoby pewne wiadomości z kroniki wcześniejszej niż Anonima, pisanej również przez frankońskiego mnicha imieniem Martinus (nazywanego Marcin Gallik). W tej kronice miały być jakoby opisywane dzieje Popiela i wcześniejszych władców (poza późniejszą epoką Piastowiczów).

Poza tym w obcych kronikach, czeskich, niemieckich, w pismach autorów bizantyjskich, arabskich, helleńskich itd. spotykamy oderwane wzmianki, imiona i nazwy z terenów Polski. Jest to razem zbiór danych bardziej niż ubogi.

Na terenie lingwistyki zagadnienie przesuwa się do sprawy imion osobowych. Cechy semantyczne tych „rzeczowników własnych” różnią się tak bardzo od pozostałej grupy rzeczowników pospolitych, że mogłoby wydawać się słuszne uważać imiona własne za odrębną część mowy. Rzeczownik pospolity jest nazwą nie przedmiotu, istoty żyjącej czy pojęcia, ale całej klasy takich desygnatów. Natomiast imię własne jest nazwą tylko danego, indywidualnego człowieka wraz z całą jego osobowością.

Ma więc ono inny, intymny i bliższy związek ze swym desygnatem niż rzeczownik pospolity.

Ta cecha sprawia, że już w zaraniu dziejów imię własne było uważane za jeden z najważniejszych atrybutów człowieka, za czynnik mający właściwości magiczne. Jeżeli imię człowieka zostanie wypowiedziane głośno, to może otwierać do niego dostęp złym mocom. Oddaje go też we władzę obcemu, znającemu jego prawdziwe imię. Tym sposobem może on go zmusić do wykonywania swej woli. Odnosi się to zresztą nie tylko do każdego człowieka, ale nawet i do bogów. Dlatego rzeczywiste imiona bogów były „niewymawialne”. Nazwy jakimi oznaczano bóstwa były imionami zastępczymi. Również imię osobiste człowieka należało chronić przed powszechną znajomością i trzymać w tajemnicy. Dotyczyło to, co rozumiałe, zwłaszcza osoby na wyższych pozycjach społecznych. Dla celów porozumiewania się w rodzinie czy społeczności używane były imiona zastępcze, albo obrane przez samego człowieka (pseudonimy), albo utworzone przez rodzeństwo, klan, towarzyszy czy ogół społeczności (przezwisek).

Obyczaj ten przechodził, tak jak i język, różne przemiany, a zanikał u różnych narodów w różnych okresach historycznych. Wśród szczepów zachodnich Słowian tabu imienia osobistego zanika, a i to nie od razu, dopiero po przyjęciu chrześcijaństwa i otrzymaniu „chrzestnego” imienia wraz z wysokim patronatem świętego. Może jakąś pozostałość tego tabu można by dostrzec w dość powszechnym zwyczaju używania „zdrobniałych” form zamiast imion „metrykalnych”. Lub, w innym zakresie, zwyczaj tu i ówdzie zachowany, że osoba obejmująca tron (nawet papieski) obiera sobie „oficjalne” imię inne od swego metrykalnego (dotyczy to nie tylko chrześcijan).

Niesłusznie zatem wypowiedziane były opinie, że albo kronikarze lekceważyli owe postacie na wpół historyczne, podając w mitologizowanych opowiadaniach tylko ich przezwiseka, albo też że są to postacie całkowicie zmyślone i należą tylko do bajki. W rzeczywistości są to przezwiseka i pseudonimy osób o „niewymawialnych” imionach.

Imię ostatniego króla z dynastii przedhistorycznej tradycyjnie przyjmowane jest jako *Popiel*. Etymologicznie może się ono wywodzić (tak według Brücknera) od popielatego koloru włosów (według dzisiejszej terminologii — szpakowatego). Ale to imię można z łacińskich zapisów Anonima czy Kadłubka czytać także jako *Papel*. Palatalizacja drugiego *p* jest czysto domyślna, natomiast znak litery *o* ma tu i ówdzie znacznki diakrytyczne, jakie zazwyczaj oznaczały nosówkę. Także jakby potwierdzeniem tej wersji może być zlatynizowana forma tego imienia, *Pompilius*. *Papel* to staropolski wyraz, który oznaczał (m.in.) człowieka niskiego wzrostu a grubego, albo nadętego (pycha), napuszonego (późniejsza pochodna, *fąfel* znaczy niezdar). Nie było to przezwiseko pochlebne, ale nie bardzo różne w charakterze od takich przezwisek królewskich jak Stary, Łysy, Laskonogi, Krzywousty, Łoktek, itp.

Popiel-Papel, strącony z tronu przez rewolucję pałacową (czy społeczną), albo starał się schronić przed „gniewem ludu” w obronnej wieży na jeziorze Gopło, jak mówi podanie, albo został tam wtrącony przez rokoszan. Mógł być przy tej okazji ranny i z ran, albo choroby, a może z głodu, zmarł w tej wieży zanim ustaliła się nowa władza. Kiedy zgłoszono się po Papela, znaleziono jego zwłoki pogryzione już przez szczury. Legenda o myszach, która mitologizowała to zdarzenie i fascynowała historyków, mogła powstać stąd, że w opisach po łacinie wyraz „mus” znaczy zarówno myszy jak szczury. Polski wyraz szczur nie był w znaczeniu „mus rattus” rozpowszechniony przed XIV stuleciem, a wywodzi się z prapolskiego „sztur”, który oznaczał świerszcze (polne), szarańcze, a niekiedy nawet skorpiony.

Imię człowieka który obejmuje władzę po Papelu kronika Anonima nazywa Past, pisząc: „...*Past filius Chossistconis et uxor eius Repca...*” (Past syn Chościstka i jego żona Repka). U Kadłubka czytamy: „...*pauperculus Chosciscionis filius, cui nomen Past cuius coniugi nomen Repicza...*” (ubożuchnego Chościstka syn, którego imię jest Past, a którego żony imię jest Repika).

W obszernej rozprawie Brückner wykazał, że Piast nie jest imieniem osobowym, ale przezwiskiem i nie może się wywodzić od pierwiastków wyrazu „piastować”, ale może znaczyć „tłuczek”. Wywodzi również to imię od wyrazu „piasta” (tj. łożysko koła). Wyraz „piast” albo „piastak” mógłby istnieć jako nazwa narzędzia (a może i człowieka nim władającego) do wiercenia otworu piasty, choć taki wywód nie jest potwierdzony w żadnym przekazie.

Wśród wielu autorów zajmujących się etymologią imienia Piast nikt nie proponował odczytania tego wyrazu bez palatalizacji, tak jak jest zapisany: „Past”. Przy uznaniu takiego brzmienia możliwy stałby się wywód od pierwiastka Pasterz, ale bardziej prawdopodobny jest inny wywód, o którym dalej.

Obie kroniki podkreślają niski stan społeczny i ubóstwo Piasta, ale nie wspominają o innym podaniu, które mówi że Piast był kołodziejem. Pierwsze oznacza zapewne, że Piast nie należy do warstwy społecznej z której rekrutuje się sfera rządząca i dworska Popiela. To i wiele innych wątków podaniowych może być wskazówką innego szczepowego pochodzenia warstwy rządzącej. Może ówczesni władcy pochodzili z wikingów duńskich (stąd nazwa Gdańska?). Wtedy obalenie Popiela mogło być istotnie buntem szczepowym.

Ubóstwo Piasta jest szczególnego rodzaju. Przede wszystkim ma on dwie siedziby: w Gnieźnie i w Kruszwicy. Poza tym do rzekomo ubożego i bez znaczenia wieśniaka, na postrzyżyny jego syna — jeszcze w czasie panowania Popiela — przybywa w gościnę ponad setka ludzi. Wprawdzie kronikarz tłumaczy, że na tym przyjęciu jadło i napoje mnożą się cudem, wywołany obecnością dwóch tajemniczych przybyszów, którym Popiel odmówił przyjęcia, ale to jest typowe mitologizowanie — wątek powtarza-

jący się wielokrotnie w stosunku do różnych władców w przeddzień ich wyniesienia na tron. Jasne jest, że obraz ubóstwa jest malowany jako kontrast wobec dworu Popiela i przyszłego stanu Piasta.

Wreszcie o kołodziejstwie Piasta. Nie mógł on być zwykłym rzemieślnikiem wiejskim, bo nie byłoby sensu, aby o tym jego zawodzie miały milczeć kroniki, pisane przez duchownych chrześcijańskich. Ale byłoby to zrozumiałe, gdyby to był obrzędowy tytuł Piasta należący do sfery kapłańskiej (pogańskiej), coś jakby kolegium druidów. Szczep Polan miał zadawnione kulturalne i obrzędowe związki z celtyckimi druidami. Ośrodki religijne Polan były odrębne od duńsko-wikingowskich i istniał między nimi stan nieprzyjaznej rywalizacji. Są podania wspominające o tym, że Popiel był „odrębnej religii”.

W trójkącie Biskupin-Kruszwica-Gniezno i w najbliższej okolicy, tj. na terenie o średnicy  $\pm 50$  km, przez który przebiega jeden z ważniejszych „bursztynowych” (handlowych) szlaków od zatoki Gdańskiej poprzez Hallstatt do Rzymu, znajduje się częściowo już odkopanych 15 przedhistorycznych grodzisk wraz z prawdopodobnymi stanowiskami wielu innych osad i osiedli. Wśród nich są potwierdzone miejsca obrzędów kulturowych. Z pozycji dołów po słupach budowli można stwierdzić istnienie budynków mieszkalnych, gospodarskich (tj. spichlerzy, składów) oraz budowli powtarzających kształty stwierdzonej świątyni pogańskiej w dolinie południowego Bugu (co najmniej jednej w sąsiedztwie Kruszwicy). W związku z tym można przypuścić, że w grodziskach na tym terenie mieszkali również rodziły z klanu kapłańskiego.

W zespole kapłańskim duże znaczenie miał „Kołodziej”, nadzorca jeżeli nie wytwórca obrzędowego koła z piastą jesionową, obręczą z giętego dębu, które służyło do niecenia świętego ognia przez obracanie na osi brzożowej. Przewisko Piasta mogło być polisemiczne: dla powszechności jako „Piast(ak)”, wytwórca obrzędowego koła, a dla grona kapłanów, którzy przechowywali tradycje mowy odległych przodków, to imię wywodziło się od pierwiastka *piszta*. Brückner analizował taki wywód i odrzucił go, pochodne znaczące pożywienie (słowiański wyraz „*piszcza*”) nie mają tu sensu — Piast nie był „karmicielem”. Ale w sanskrycie wyraz *piszta* jest homonimem, będąc także oboczną postacią wyrazu *viszta*. Złożenie *piszta-pa* znaczy „pan ludności, władca”. W ten sposób wyraz *Piast* mógłby być pojmowany jako tytuł nadany przez klan kapłański jednemu z ich grona, „kołodziejowi”, który objął władzę królewską w wyniku buntu społecznego.

Imię jego żony Rzepka przerabiano później na Rzepicha. Zbieżność tego przezwiska z nazwą jarzyny nie powinna być mylić i skłaniać do zastanawiania się, dlaczego pramatkę dynastii królewskiej nazywano rzepą? Rozważano nawet, czy nie jest to w związku z kształtem jej nosa (!). Porównanie człowieka do rzepy „bo taki zdrowy i jędrny” nie spotyka się przed XVIII wiekiem, a „dziewczyna jak rzepa” to literacki wynalazek XIX wieku

(Sienkiewicza lub Prusa). *Repa* i *repka* to żeńskie formy przyimiotnika (prapolskiego) *repy* i *repki*, który wywodzi się od IE *rep-*, sanskr. *rapas*, *repas* — plama, skaza, wada, rana. Starostwiański wyraz *repy* znaczył piegowaty lub dziobaty (tj. mający blizny po ospie). W owych czasach blizny po ospie na twarzy były rzeczą wielce pospolitą. Natomiast kobiet piegowatych było bardzo mało. Toteż wydaje się, że przezwisko *Repa* lub *Repka* znaczy raczej „piegowata” niż „dziobata”, ale oczywiście nie ma żadnych danych mogących wskazać, które z tych znaczeń odnosi się do żony Piasta.

Imię „Chościsko” nie przedstawia większych trudności. Jako nazwa przedmiotu oznacza wytartą do cna miotełkę z gałęzi brzozowych używaną do trzepania skóry w łaźni. W odniesieniu do człowieka znaczy „wyłysiały”. Istnieją jednak pewne nieporozumienia co do osoby tym przezwiskiem oznaczonej. W kopiach kroniki Anonima Chościsko jest dwukrotnie wymieniony jako ojciec Piasta (czy raczej Piast jako syn Chościska). Ale jedna z kopii ma nad pierwszym rozdziałem napisany tytuł: „*De duce Popelone dicto Chosisco*” (O księciu Pąpela zwanym Chościsko). Wprawdzie jest to pisane inną ręką niż główny tekst, ale tą samą ręką pisane są dodatkowe uwagi marginesowe objaśniające niektóre punkty wyrażone niejasno lub pominięte wobec wymagań rytmiczności ozdobnego stylu Anonima. Są to więc uwagi pisane przez kogoś, kto widocznie znał i rozumiał opisywane dzieje. Mogłoby to znaczyć, że Chościsko było drugim przezwiskiem Pąpela. Rozwiązaniem zagadki byłoby, gdyby można wykazać że Anonim (albo Petrus Pictaviensis) używa wyrazu „*filius*” także w znaczeniu „następcy” a nie tylko „syna”. (Świadectwo Kadłubka zdaje się być niewątpliwie powtórzeniem „własnymi słowami” tekstu Anonima).

Imiona następców Piasta: Semowit, Lestek i Semomysł były rozmaicie objaśniane. Pierwsza część imienia Semowit wywodzi się od wyrazu *semie* = ród, rodzina. Końcówkę *-wit* próbowano wywodzić od *witjar*, staropolskie *wiciąg* — rycerz lub książę (stąd polski wyraz „wicięstwo”, później „zwycięstwo”). Wobec jednak częstych końcówek *-wit* przy imionach bóstw (Śwętowit, Rugewit, Purewit, Jarowit, Rujwit) bardziej prawdopodobny wydaje się wywód od IE *w(e)di* poprzez skrt. *vedhas* = stwórca, bóg. Byłby to więc składnik imion typu „bogonośnego” (greckie teofora) jak np. Bogdan, Bogumił itp.

Imię Lestek, później przerabiane na Leszek, wywodzi się od staropolskiego wyrazu „łściwy” albo „leśny” = podstępny, obłudny. Byłoby to jednak przezwisko bardzo niezwykle, jako opisujące ujemne cechy moralne. W znanych przykładach przezwisk z cech ujemnych wszystkie są tylko cechami fizycznymi. Bardziej prawdopodobny wydaje się wywód od słowa „lestny” = bystry, piękny (stąd starocerk. „prelestny”). Ale możliwy jest także wywód od starosłow. wyrazu „les” = duch leśny albo domowy (grecki „alsos”, łac. „lar”, skąd „lary i penaty”). A więc Lestek, jakby podopieczny ducha domowego.

Semomysł. Pierwsza część imienia jak u Semowita. Końcówka pochodzi od starosłow. „misł” — z sanskr. *mi-tra* = prawdziwa wiedza, a także towarzysza boga Varuna.

Dużo pisano na temat imienia pierwszego historycznego króla, Mieszka, praprawnuka Piasta (albo prawnuka, jeżeli Semomysł był młodszym bratem, a nie synem Lestka). Budowano nawet skomplikowane hipotezy, starając się połączyć sprawę tego imienia z legendą o ślepcie Mieszka aż do postrzyżyn, czy chrztu. Jednak ta legenda to typowy mitologizujący ozdobnik kronikarski, wątek powtarzany w różnych czasach przy symbolizowanych opisach nagłych zmian, nawróceń itp.

Imię to, czy raczej przezwisko, brzmiało po prostu Mieszka, czyli Miś = niedźwiedź. Popularność nazwy tego zwierzęcia jako imienia była szeroko rozpowszechniona wśród ludów indoeuropejskich (skand. Byörn, germ. Ber, późniejszy Bernard, łac. Ursus, skąd Ursyn itd.). Niedźwiedź fascynował naszych przodków. Jego prawdziwa nazwa jest nieznaną: nie wolno było jej wymawiać, aby „nie wywołać złego”. We wszystkich językach jego nazwy są imionami zastępczymi. Niedźwiedź, dawniej miedźwiedź, ze st. słowsk. *medbied'*, znaczy jedzący miód. Lit. *beras*, germ. *ber*, skand. *byörn*, znaczy brunatny, gracki *arktos* = niebezpieczny, łac. *ursus* = zadający ból, sanskr. *rokszas* = okrutny. Prawdziwego imienia Mieszka także nie znamy. Nigdy go nie używał, a kiedy przyjął chrzest, to i wtedy swe chrzestne imię uważał także za „prawdziwe” i prywatne, którego się nie ujawnia. Pojawia się ono tylko raz (po jego zgonie) w dokumencie w Watykanie. Imieniem tym jest Dagobert, w skróconej formie Dago. Jest to imię kanonizowanego w 872 roku ostatniego króla z dynastii Merowingów. Frankonia była wtedy w modzie. W sąsiednich Węgrzech król Geza (ochrzczony w 9 lat po Mieszku) sprowadzał jako doradców mnichów z Frankonii i budował im klasztor. Pojawili się oni również na terenie państwa Mieszka. Frankoński mnich, autor kroniki Anonima, pisał swe dzieło w niewiele więcej niż sto lat po śmierci Mieszka.

Dzień 23 grudnia, w którym zamordowano Dagoberta, został dniem jego imienia. Czy ta data wskazywałaby również dzień, w którym Mieszko został ochrzczony?

Traktowanie chrzestnego imienia jako „prawdziwego”, którego nie należy wymawiać, nie było wcale dziwactwem Mieszka I. Mieszek II także nie używał swego chrzestnego imienia Lambert. Tylko raz jeden w Kronice Anonima i tylko tam wymienione jest chrzestne imię Kazimierza Odnowiciela, Karol. Później chrzestne imię było dodawane do imienia zastępczego, jak to stosował np. Władysław Herman. Ale jeszcze w XIV wieku Wielki Książę Litewski Witold (ochrzczony jako Aleksander) swego chrzestnego imienia nigdzie nie podpisywał.

J. P. HORZELSKI

## Książki

### O „Wyroku na Franciszka Kłosa”

*Pamięci Stanisława Rembeka*

Od pierwszego już czytania książki zastanowił mnie pejzaż opisywanej okolicy. Bliskość Warszawy, kolejka dojazdowa oraz miasteczko, w którym toczyła się akcja powieści. Typowa architektura podwarszawskiego Mazowsza.

Małe, parterowe domki, gdzieś tam wybudowane kamienice, najwyżej trzypiętrowe, i centrum koło dworca, kasa, poczekalnia, restauracja czy bufet, w pobliżu może jeszcze być kiosk z papierosami, skład opału. Sztafaż był znajomy, identyczny z obrazem miasteczka mojego dzieciństwa i młodości. Ta sama bieda — domki kolejarzy i robotników, gołębniki i łopot szmat na długich tykach, zmuszający srebrzyste stado do posłusznego lotu, sklepiki i sodowiarnie, popijało się tam kolorową oranżadę i kwas z grzybkami, a starsi z tych samych butelek ciągnęli samogon pod kwaszone ogórki. W moim miasteczku też przy dworcu szerokotorowej kolei kończyła swój bieg słynna z punktualności kolejka EKD, te trzy wagoniki koloru niebiesko-żółtego, konduktorzy w brązowych uniformach i czapkach w kształcie francuskiego kepi; także znajdowała się tam knajpa, do której wchodziło się po trzech stopniach schodów, w gablotach na szynkwasie półmiski z gotowanymi jajami bez skorupki, salcesonem, boczkiem i jarzynową sałatką.

No i oczywiście glinianki, głębokie stawy — nasze baseny do pływania, te rozsiane wzdłuż całej trasy kolejki dojazdowej pozostałości po dawnych cegielniach.

Czytając więc pierwszy raz powieść Stanisława Rembeka, odnalazłem krajobraz rodzinnych okolic, brzydką i szarą zabudowę miast i miasteczek tzw. „lewej podmiejskiej”. Przypuszczałem, że miasteczkiem opisywanym w książce mogłyby być Grodzisk Mazowiecki.

To było pierwsze wrażenie. Pierwsza warstwa. Również mglis-

ta pamięć lat okupacji hitlerowskiej. Fragmenty rozgrywających się wtedy wydarzeń. Żydzi wyciągani z kryjówek na starych, carskich fortach. Ciężarówka pełna mężczyzn, eskortowanych przez żandarmów. A raz nawet trup, nie wiadomo, mężczyzny czy kobiety, okryty zakrwawionym workiem po cemencie.

I tak rozpoczęła się trwała więź z tą wybitną powieścią, niesprawiedliwie zapomnianą przez krytykę i koneserów literatury. Jej losy nie były łatwe, opornie dostawała się do czytelniczego obiegu; w 1947 roku ukazała się drukiem w małym, prywatnym wydawnictwie, których jeszcze kilka egzystowało przez czas jakiś (Przeworski, Arct, Kuthan, Cukrowski) aż dopiero w większym nakładzie wydana została w 1956 roku przez instytut wydawniczy „PAX” i przeszła prawie bez echa. Przeczytałem ją przypadkiem w 1960 roku. Potem dwa razy wracałem.

Nade wszystko zafascynowała mnie jej odmiennosc w stosunku do literatury zajmującej się tematem wojny i okupacji. Literatury pełnej heroizmu, ostatecznych wyborów w imię służby ojczyźnie, męczeństwa i walki narodu z najeźdźcą. Literatury przepełnionej szlachetnym patosem, najpełniej służącej temu szczytnemu powołaniu, wyrażonemu niegdyś przez Sienkiewicza słowami — Ku pokrzepieniu serc. I do tej kolekcji tak jednorodnej, jakby przypadkiem dekomponując spoiwość literackiej wizji, brutalnie wtargnął „Wyrok na Franciszka Kłosa”.

Książka wciągała jak głęboka i porośnięta trzcina, zdradliwa glinianka (nieraz wielu z nas, młodych adeptów nauki pływania, zanęta na tych wodach śmiertelnego strachu człowieka, który tonie i woła słabnącym głosem — Ratunku!); opisywała ludzi pospolitych, niczym szczególnym się nie wyróżniających, akcja pobawiona była wzniosłego wymiaru tragedii, w który obfitowały strony tamtej literatury lat wojny i okupacji.

Bohaterem powieści uczynił Stanisław Rembek młodego człowieka, swoim nazwiskiem Kłosa symbolizującego ludowy związek z naszą ziemią i jej płodami. Był on policjantem i obowiązki służby spełniał z sumienną gorliwością. Cenił sobie tę państwową posadę, rokującą nadzieję spokojnej, zabezpieczonej przyszłości. Cichy i skromny, może cierpiał trochę z powodu niskiego wzrostu. Zwykły. Takich młodych ludzi setki, tysiące. Wychował się od dziecka w tym miasteczku, tu miał wielu kolegów jeszcze z czasów szkoły. Matka, kobieta surowa i religijna, wpoila w niego bogobojność. Ojciec, robotnik, uczestnik strajku 1905 roku i żołnierz wojny polsko-bolszewickiej, nie zaważył szczególnie w jego życiu, tyle że w odróżnieniu od niego unikał alkoholu.

Hierarchia wartości w życiu Franciszka Kłosa była prosta i niezachwiana. Przełożeni w policyjnej służbie byli dla niego pierwszymi po Bogu i matce. Jaki był jego stosunek do Boga? Nie wiadomo. Żył tak jak większość ludzi w tym miasteczku. Założył rodzinę, doczekał się potomstwa, uczęszczał regularnie na niedzielną mszę do kościoła. I przyszła wojna. Franciszek Kłosa pozostał na służbie w policji. Okupacja stanowi najważniejszy

czas, w którym pisarz dokonuje wnikliwego studium życia swego bohatera. Franciszek Kłos, spokojny, pospolity człowiek, nie przeżywający nigdy zbyt silnych wstrząsów i uniesień, staje się jednym z najgorliwszych policjantów. Z tą samą co przed wojną gorliwością wykonuje polecenia swych nowych zwierzchników, żandarmów i gestapowców. Zdobywa miano postrachu miasteczka. Ściga konspiratorów i zbiegłych zakładników. Jest strzelcem znakomitym, jego strzały śmiertelnie rażą ściganych. Z pokorną, psią radością przyjmuje pochwały Niemców, którzy chętnie się nim wysługują w krwawym procederze. Ceni sobie ich pochwały. Wzmagają one jego gorliwość, która nigdy nie powoduje kolizji z sumieniem. Jest przecież zgodna z regulaminem służby. Zmienili się jedynie zwierzchnicy i ten fakt nie budzi żadnych w nim wątpliwości. Znajomi, rówieśnicy, towarzysze z czasu kawalerskich zabaw, zażyłość, pokrewieństwo, nawet wywózka ojca do obozu — nie miały dla niego żadnego znaczenia, nie pobrażały nikomu. Otrzymuje polecenie i wykonuje je z całym oddaniem. Jest ideałem policjanta. W wykonywaniu egzekucji wyróżnia się szczególnie. Franciszek Kłos to przecież niegdyś chwala miejscowej policji podczas wojewódzkich zawodów studenckich. Rozbawieni tym osobliwym człowiekiem wywodzącym się z narodu niewolników, Niemcy wyręczają się nim dla samej przyjemności widowiska. Franciszka Kłosa poczyną otaczać złowroga aura mordercy. Właściciel knajpy, do której zaszedł przypadkiem po służbowym obchodzie, drżąc ze strachu ręką nalewa mu szklankę samogonu. Kłos pijąc staje się silny i zwarty. Życiwy i towarzyski. Pozdrowia znajomych, chętnie wdaje się w pogawki, lecz ludzie go unikają; dziwi go ich rezerwa. Pije więc sam. Zemsty w ogóle nie bierze pod uwagę. Nie ma do siebie najmniejszych zastrzeżeń. Jest dobrym policjantem, skutecznie spełnia swe powinności, przyjemność sprawiają mu pochwały zwierzchników, żandarma Kranca, gestapowca w cywilnym garniturze. Pewną niewygodę budzą tylko w jego duszy ponure przekleństwa matki, jedynej osoby, której boi się naprawdę. Chwilami czuje się samotny i opuszczony.

Niezauważalnie picie staje się koniecznością. Alkohol jedynym sposobem na przywrócenie pogody ducha. Im więcej pije, tym gorliwiej służy Niemcom. Rękę ma nadal pewną i prawie nigdy nie chybia celu. Służąc tak wiernie doczekał się nagrody, został wpisany na listę folksdojców, cieszy go niezmiernie i napawa dumą poczucie zrównania z nowymi panami. Toteż głuchy był na wszelkie argumenty i perswazje kolegów policjantów, komendanta posterunku, który był zaangażowany w działalność konspiracyjną, co bardziej ludzkich Niemców, usiłujących osłabić jego krwawą aktywność. Nawet po spowiedzi u miejscowego księdza w chwili słabości i obietnicy zmiany swego postępowania, nadal jest tak samo okrutny i bezwzględny jak dotychczas. Czyżby nienawistny strach miasteczka stanowił dla niego swoistą podniechęć? Jest wreszcie kimś znacznym, zwraca na siebie uwagę, boją się go ludzie. Może to być przecież niebagatelnym bodźcem dla sza-

rego, ginącego w tłumie człowieka, który nigdy nie zaznał odurzenia poczucia takiej roli.

Równocześnie przeżywa pewną niewygodę w życiu rodzinnym, opuszcza go żona, przebrała się miara oddania tej prostej kobiety, kiedy dowiedziała się, jak zastrzelił żydowskie dzieci, całą rodzinę ukrywających się Żydów; najgorszymi klątwami, będącymi zarazem cytatami z Biblii obrzuca go matka i jak Kassandra wróży mu wieczyste potępienie. Co ma więc czynić tak osaczony Kłos? Wzmagają swe mordercze żniwo.

Osobnym motywem powieści są deliryczne majaki Kłosa, te maskary które go oblażą, zbliżają się zewsząd, przesładują dniem i nocą, daremnie się składa do strzału, zawsze pułkuje, kule się ich nie mają, są coraz bliżej, otaczają ciasnym korowodem, szczerząc krwiożerczo okropne paszczęki. Tylko obfity haust wódki potrafi odegnać tych wystąnców piekieł.

Najmniej istotny w mojej impresji jest koniec Kłosa. Taki być musiał. Podziemie wydało na niego wyrok i ginie zastrzelony obok kolejowego toru. Bardzo zdziwiony, ale zarazem bierny, bezwolny w tej ostatniej chwili.

Nieoczekiwanego bohatera stworzył Stanisław Rembek w tej powieści. Był to pierwszy antybohater w polskiej literaturze wojennej. Ciągłe brzmie on jak memento dla przyszłości. Nic więc dziwnego, że orędownikom bogoojczyźnianych cnót, jak również rzecznikom nowego totalitarnego ładu i porządku książka ta wydała się herezją niemożliwą do strawienia.

Będąc po wielu latach w Grodzisku Mazowieckim i rozmawiając z zasiedziałyymi obywatelami miasta dowiedziałem się, iż właśnie Grodzisk był miejscem akcji powieści Rembeka i działał tam policjant granatowy nazwiskiem Franciszek Kłos, kolaborant i wielokrotny morderca, którego wyrokiem AK zgładzono w pobliżu torów kolejki EKD. Czyli wcale jego symbolicznego nazwiska Stanisław Rembek nie wymyślił.

Niniejszy szkic pisałem w więzieniu. Postanowiłem przeciwstawić się monotonii i wynaturzeniu tych dni, ściśniętych murami, kratami i ryglami. Wrócić do stałego zajęcia. Do pisania. Zapraǳnałem pisać o ulubionych swoich książkach, pisarzach. Od razu pomyślałem o „Wyroku na Franciszka Kłosa”. Wyobraźnię intensywnie wypełnił świat tej książki. Zapewne przyczyna brała początek z atmosfery ostatnich lat w kraju. Piętnaście miesięcy nadziei brutalnie zdławionych w jedną noc. Stan wojenny. Ludzie po jednej i drugiej stronie. Powrót okupacyjnego słowa — kolaborant. Wzmrożona obecność policji.

Pierwszymi słuchaczami mojego szkicu byli: towarzysz z celi nr 4 i oficer śledczy z III piętra pawilonu, gdzie wzywano nas na przesłuchania. Ten pierwszy po wysłuchaniu powiedział tak: przeczytałbym chętnie tę książkę. Jednak nie znaleźliśmy jej w katalogu więziennej biblioteki.

Oficer śledczy zaś wyraźnie się rozczarował, sądził bowiem, że elaborat mój będzie miał jakiś związek z toczącym się przeciwko mnie dochodzeniem.

Piszę te słowa już po śmierci Stanisława Rembeka, którego książki („Ballada o wzdardliwym wisielcu”, „Nagan”) tak bardzo ceniłem.

„Ballada” szczególnie odkrywcza i ciągle aktualna przez spojrzenie na Powstanie Styczniowe oczyma wykonawców woli cara, oficerów i urzędników, Polaków, którzy wybrali wierną służbę u zaborcy.

Był pisarzem mało znanym i skąpo rozpowszechnianym.

Jego głośna powieść o wojnie 20-go roku „W polu” po wojnie została wznowiona tylko przez Instytut Literacki w Paryżu, a druga jej edycja, przygotowana przez Niezależną Oficynę Wydawniczą „Nowa”, dotarła do rąk czytelników zimą 1982 roku.

Stanisław Rembek zmarł 21 marca 1985 roku w wieku 84 lat i pochowany został na Cmentarzu Powązkowskim w Warszawie. Jego twórczość pozostanie.

Marek NOWAKOWSKI

## Literatura źle widziana

Literatura emigracyjna, której istnienia naprzód nie dostrzegano a następnie potępiano ryczałtem, urosła do problemu takich rozmiarów, że walka z nią wysunęła się na pierwszy plan na Sesji „Literatura Polski Ludowej — oceny i prognozy” (14-15 marca 1985). Teksty referatów, publikowane obecnie w *Trybunie Ludu*, *Rzeczpospolitej*, *Faktach* itp. wskazują, iż oceny 40-lecia wypadły negatywnie, teoretycznie obowiązujące nadal wytyczne nie zdają egzaminu, „drugi obieg” spędza sen z oczu prowodyrom polityki kulturalnej KC — a wyraźnych koncepcji przeciwdziałania sukcesom opozycji brak. Starano się przeto sięgnąć do korzeni zła, by mniej więcej zgodnie dojść do wniosku, iż winne jest wskrzeszenie postaw cechujących mistyczny nurt romantyzmu skombinowany z „kontreformacyjnymi” ruchami religijnymi i, ogólnie mówiąc, „nawrotem tradycji irracjonalistycznej”<sup>1</sup>.

Stanisław Goszczurny stwierdził w *Rzeczpospolitej*<sup>2</sup>, iż na Sesji „Tematu nie wyczerpano...” i że skończyło się na próbie „zarysowania ideowo-programowych perspektyw rozwoju” literatury polskiej. Dyskutowano poza tym problem jedności literatury

1. Andrzej Wasilewski, „Naród i państwo w dobie kryzysu”, *Fakty*, Bydgoszcz, w nrach 8-12, 1985.

2. *Rzeczpospolita* z 21 lutego 1985.

polskiej — temat często już przed tym wentylowany. Pewnym *novum* jest tu podział proponowany przez Michała Misiornego w *Trybunie Ludu*<sup>3</sup>. We współczesnej literaturze polskiej wyczuwa on dwa nurty: krajowy i zagraniczny; niewątpliwie atrakcyjny dla Partii jest ów drugi, zagraniczny, eliminujący niemiałą członkom KC *emigracyjność*. Przynależność pisarzy do jednego z tych nurtów jest dla Misiornego kwestią wyboru politycznego — ten zaś „sytuuje autora w sieci zależności najrozmaitszej natury, głównie politycznych”. W praktyce podział ten ma jednak wady. Misiorny ilustruje je na przykładzie Mrożka, który należy jednocześnie do nurtu krajowego w teatrze — a jest ponadto „autorem prezentystycznych, opartych na fałszywych informacjach humoresek i felietonów politycznych, co łączy go z nurtem zagranicznym”. Na pytanie: „Ile jest polskich literatur?” — pisze Misiorny — „są co najmniej dwie odpowiedzi trafne: jedna jest literatura polska i jest kilka literatur polskich”. Sądzi nadto, „że również piśmiennictwo powstające w kręgu tzw. obiegu nieoficjalnego spełnia wszystkie warunki zaproponowanego wyżej podziału” „na dwa nurty” a konsekwencją tego jest współistnienie „dwu różnych piśmiennictw”. Przeczy to, jego zdaniem, określeniu Polski Ludowej jako „pustyni kulturalnej” (na Kongresie Kultury w grudniu 1981) i podziałowi literatury na „dobre” i „źle” obecną na Sesji IBL-u (w listopadzie 1981). Rezultaty obu tych imprez są w jego ocenie „katalogiem inwektyw adresowanych do polityki kulturalnej władz Polski Ludowej”. Innym wynalazkiem Misiornego jest „lustro złudzeń” czyli „tworzenie sztucznych koniunktur i sztucznych hierarchii wartości”. Pomysł ten ilustruje na przykładzie oceny powieści Włodzimierza Odojewskiego w referacie prof. Marii Janion na wspomnianej wyżej Sesji IBL-u. Nie bez zdziwienia dowiadujemy się, że wybitna znawczyni romantyzmu, niekwestionowany dotąd autorytet w tej dziedzinie „jest zupełnie nieczuła na język i słowo”, a wynoszenie Odojewskiego na piedestał „późnego wnuka” Słowackiego i Malczewskiego i „godności wieszczej” jest „fabrykowaniem złudzeń i pozornych acz sugestywnych 'przewartościowań’”<sup>4</sup>.

W drugiej części wypowiedzi Misiornego głównym tematem jest atak na oceny literatury emigracyjnej w referatach Krzysztofa Dybciaka i Romana Zimanda (wygłoszonych na Sesji IBL-u i opublikowanych w roku ub. w Londynie<sup>5</sup>). Uważa, że kryterium wartości artystycznej odsunięte jest w literaturze „źle obecnej” na drugi plan, ustępując miejsca politycznemu stanowisku nie-

3. W artykule pt. „'Dobrze' i 'źle' obecna”, 16/17 i 23/24 marca 1985.

4. Doskonałym przykładem stosowania „lustra złudzeń” była niedawna kampania propagandowa na rzecz powieści Wiesława Myślińskiego „Kamień na kamieniu”, poprzedzająca jej wydanie w *Twórczości* i w formie książkowej. Nie przyznano jej nawet nagrody *Literatury* a w recenzjach nie powracano do porównań z Reymontem.

5. *Literatura źle obecna. (Rekonesans)*, Londyn, Polonia, 1984, str. 246 opublikowała większość referatów, w tym Dybciaka „Literacka działalność Instytutu Literackiego” oraz „Zagajenie” Zimanda.

podległościowemu, „którego dysponentem jest paryski Instytut”. Uprawia się tam „radykałną polityzację literatury” analogiczną do uprawianej „pod przeciwnymi znakami” w latach pięćdziesiątych. Misiorny uważa cenzurę za mniejsze zło od uzależniania się pisarzy od zagranicznych chlebobawców. Opinię tę popiera przykładem Kazimierza Brandysa, który rzekomo „za luksus pisania kokieteryjnych i snobistycznych *Miesiący* zmuszony został (*sic*) do odsłużenia należności w roli komentatora dywersyjnych rozgłośni”. Na nerwy działa także Misiornemu twórczość Józefa Mackiewicza „hołdującego spiskowej teorii dziejów, a osobliwie teorii, że zło rodzi się na wschodzie, że zawsze zło spiskuje przeciw dobru”. Fakt, że pozytywne oceny działalności Instytutu Literackiego i wspomnianych wyżej pisarzy padły z ust uczestników Sesji IBL-u dyktuje Misiornemu surową ocenę „politykującej polonistyki” uznającej „wolność od wszystkiego a przede wszystkim wolność od obowiązku liczenia się z realiami współczesnego świata i wolność od obowiązku przytomności umysłowej”. Partia — konkluduje Misiorny — występuje „w roli gospodarza kultury narodowej” i nie może tolerować „drugiej” literatury polskiej „uwięzionej wśród manii i obsesji”, której przykładami są dla niego „proza Józefa Mackiewicza czy eseistyka Leszka Kołakowskiego”. Deklaruje intencję dopuszczania do obiegu krajowego niektórych książek emigracyjnych. Na przeszkodzie stoi jednak „okoliczność, iż [literatura emigracyjna] nie potrafi stworzyć pięciu ‘niezależnych’ zdań, nie popadając w sidła obsesji i fobii”. Zaleca przeto stosowanie „swoiście fenomenologicznego podejścia do poszczególnych dzieł i poszczególnych autorów”. Sprowadza się to w praktyce do zabiegów o charakterze amputacji. Obok nurtu krajowego i zagranicznego wyłania się z wywodów Misiornego nurt trzeci: literatury usuwanej z pola widzenia, karnie nieobecnej.

Takie swoiście fenomenologiczne oceny poszczególnych pisarzy już zaczęły się pojawiać. Warto przyrzeć się dwu szczególnie wymownym a dotyczącym Miłosza i Herlinga-Grudzińskiego.

„Causus Miłosz” Aleksandry Godlewskiej<sup>6</sup>, artykuł w lutowej *Rzeczywistości* nie zostawia na poecie suchej nitki. Nagrodę — pisze autorka — przyznano mu ze względów politycznych; — nie jest pisarzem polskim, bo uważa się za Litwina — a w najlepszym razie jest kosmopolitą; — jego twórczość poetycka jest „wierszowanym filozofowaniem” — wątki romantyczne łączą się w niej z mistycyzmem typu religijnego; — wpływy literatury francuskiej są „tak daleko posunięte, że trudno je nawet nazwać konwergencją”. Słowem: redukcja do zera.

Z lektury artykułu Godlewskiej wynika, iż 1) podziela wściekłość reżymu na wyróżnienie nagrodą Nobla pisarza szczególnie tępionego, *emigracyjnego*; 2) iż obce jej jest pojęcie Rzeczypospolitej Obojga Narodów, w ramach której mieściła się Litwa i Kolorna; 3) iż zna tylko ułamkowo twórczość Miłosza, gdyż jako

6. *Rzeczywistość* z 24 lutego 1985.

posłuszne dziewczę Partii nie bierze do rąk wydawnictw Instytutu Literackiego w Paryżu i podziemnych przedruków nie opublikowanej dotąd w Kraju większości pism Miłosza.

Na wątpliwości Godlewskiej co do polskości Miłosza najlepszą odpowiedzią są słowa Mickiewicza z wiersza do „koronnego” Lelewela:

*Nieraz myślisz, że zdanie urodziłeś z siebie,  
A ono jest wyssane w macierzystym chlebie;  
Albo nim nauczyciel poit ucho twoje,  
Zawždy część własnej duszy mieszając w napoje.  
A tak, gdzie się obrócisz, z każdej wydasz stopy,  
Żeś znad Niemna, żeś Polak, mieszkaniec Europy.*

(„Do Joachima Lelewela”).

W życiorysie Miłosza dopatrzeć się można kilku „emigracji”. Otwiera je opuszczenie Litwy Kowieńskiej i długi rozdział wileński. W roku 1937 „moją ojczyzną”, do której nie widział możliwości powrotu były odcięte granicą Szetejnie. Przeniesienie się z Wilna do Warszawy oznaczało taką zmianę otoczenia i stylu życia, że bez wielkiej przesady da się określić jako „emigracja”. Aklimatyzacja w stolicy nie tylko dla Miłosza była sprawą trudną, co nie znaczy, by tak właśnie odczytywać wiersz „W Warszawie”, będący wyrazem buntu przeciw potworności zniszczenia stolicy. Lechoń szedł dalej, gdy w słynnym wierszu przekładał wiosnę nad Polskę. Trzecia emigracja — Paryż. Czwarta — Kalifornia.

W losach polskich *emigracja* miesza się z *wygnaniem* a *wygnanie* też nie jest pojęciem jednoznacznym. Macierzysty dziad piszącej te słowa pochodził z zaścianka pod Nowogródkiem. W roku 1859 ukazały się w Wilnie „Piosnki” Bérangera tłumaczone przez niego wspólnie z Syrokomlą. Polski Słownik Biograficzny odnotowuje, że „podczas powstania styczniowego napisał cykl wierszy o tematyce antycarskiej w języku *białoruskim*, wydrukowany anonimowo w Krakowie pt. *Hutorka staraho dieda*”. Gdy po roku 1863 zmuszony był do przeniesienia się do Warszawy w redakcji *Tygodnika Ilustrowanego* nazywano go „starym *Litwinem*” a wdowa po nim, a moja babka, zmarła na *wygnaniu* na Kujawach i — sprawy polskie są bardziej zawiłe, niż się tow. Godlewskiej wydaje — spoczywa na cmentarzu parokrotnie wspomnianym w tragicznym dzienniku przedśmiertnym Stachury. Wniosek stąd taki, że gdyby autorka paszkwili pochodziła z *tych* Godlewskich, z Wilna czy Lwowa, nie miałaby wątpliwości co do przynależności dzieła poetyckiego Miłosza do literatury polskiej.

Innym przykładem „fenomenologicznej oceny” pisarza emigracyjnego jest polemika Sławomira Kryski<sup>7</sup> z Magdaleną Bajer,

7. W artykule pt. „Literatura i polityka” w *Barwach* (w nrze styczniowym z 1985). *Przewodnik po literaturze polskiej*, tom I ukazał się w roku 1984 i nie doczekał się dotąd pochwał w recenzjach.



autorką recenzji tomu I *Przewodnika po literaturze polskiej w Tygodniku Powszechnym*. Irytacja Kryski koncentruje się na biogramie Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, w którym *Inny świat* określono jako „dokumentalną relację z przeżyć więziennie-obo-zowych będącą zarazem wnikliwym, pokrewnym tradycji Dostojewskiego (*Wspomnienia z domu umarłych*) studium psychologicznych i socjologicznych mechanizmów degradacji człowieczeństwa i rozkładu więzi międzyludzkich”. Winą umieszczenia tej opinii w *Przewodniku* obarcza Kryska profesora Czesława Hernasa, przewodniczącego Komitetu Redakcyjnego *Przewodnika*. Przy okazji dostało się też prof. Marianowi Stępniewi, autorowi „popularnej historii literatury rozkolportowanej w 100.000-nym nakładzie”, który w korzystnym świetle wymienił nie tylko Herlinga ale i Jacka Biereżina, „trzeciorzędnego paszkwilanta nie umywającego się do takiej np. Aliny Grabowskiej” (z RWE).

Czym nagrzeszył Herling? Po pierwsze tym, że napisał „pamiętniko-reportaż, zresztą zgrabnie i sugestywnie napisany”, „pełniący w latach 'zimnej wojny' funkcję *par excellence* polityczną jako książka godząca w komunizm i Związek Radziecki. Stąd popularność *Innego świata* i liczne tłumaczenia”. I dalej gaffa nad gaffami: artykuł Kryski zbiega się z wydaniem francuskiego przekładu *Innego świata*, co świadczy, że trafił palcem w niebo, gdy pisał, iż „dzisiaj, w trzydziści kilka lat od jej wydania, [książka Herlinga] znalazła się w rupieciarni jako przestarzały już instrument wojenny z minionego czasu”. Łączy to ze swoistą naganą wydawnictw podziemnych, które „wyciągnęły i wydały tę przestarzałą broń w ramach walki ze Związkiem Radzieckim”.

Po drugie, zdaniem Kryski, *Inny świat* to obraz „indywidualnych doświadczeń autora w okresie błędów i wypaczeń w Związku Radzieckim, [które tu] zostały uogólnione, a Herling-Grudziński sugeruje czytelnikowi iż Związek Radziecki wygląda tak w całości, jak on go widzi przez pryzmat obozu”. Technika eliminacji *Innego świata* jest tu inna, niż u Godlewskiej — winą za ujawnienie ukrywanej od trzydziestu lat książki obciąża Kryska historyków literatury, którzy ośmielili się wymienić *Inny świat* bez właściwego ostrzeżenia i oceny. Wspaniałym *curiosum* i świadectwem mętności w głowie Kryski jest zakończenie artykułu, stawiające pytanie: „Czemu ci wybitni naukowcy [Hernas, Stępień a także Maciąg], zamiast wprowadzać Herlinga-Grudzińskiego do literatury polskiej jako nazwisko, nie zażądają z ogromnym hałasem opublikowania w którymś z krajowych wydawnictw *Innego świata*? Wreszcie w Polsce wychodzą książki gorzkie, książki kontrowersyjne itp. Dlaczego budzi się tylko zainteresowanie czytelnicze *Innym światem* jako zakazanym owocem tym samym przydając książkę niejako dodatkowego splendoru? Pozostawię to pytanie bez odpowiedzi. *Sapienti sat*”. — I deklaracja końcowa: „*Sapienti sat* — odnoszę zresztą to łacińskie porzekadło do całego artykułu”.

Po rozstaniu się z pseudo Konradem Wallenrodem sięgam po

artykuł Piotra Gadzinowskiego pt. „Plugawy żywot prominenta”<sup>8</sup>, bardzo krytycznie omawiający modne obecnie — jak je określa — „romanse łotrzykowskie”, obrazujące życie dygnitarzy PRL-u „za Gierka”. Ukazało się ich kilka, są zachłannie czytane. Prominenci, zwłaszcza „ci od handlu zagranicznego” — „mają” — „oni po prostu mają. Mają wille, eleganckie mieszkania, reprezentacyjne żony, dyskretnych kierowców, przybocznych kelnerów, superseksowne i superdyspozycyjne sekretarki, oklaski, pochwały nawet seks 'wiernopoddaniacy’. Dalej szkoda wyliczać — kontynuuje autor artykułu — nie wiadomo, czy papier takie luksusy wytrzyma”. Do cytowanych w artykule „romansów”<sup>9</sup> ilustrujących „gorące życie byłych prominentów” i pozwalających „poodychać atmosferą dworu, poznać kulisy władzy” dorzucić można coraz silniej wyczuwalny zwyczaj takiego dobierania tekstów przekładanych z francuskiego, angielskiego a najczęściej „amerykańskiego”, by ilustrowały one zgniliznę Zachodu, a przy okazji zaspakajały żywiołową potrzebę poznawania warunków życia w krajach kapitalistycznych. Przewodzi w tym redagowana przez Putramenta *Literatura*, której czytelnik masowy zawdzięcza wieloodcinkowe życiorysy Elvise Presleya, Jimiego Hendrixa („Supermurzyna”) oraz szmirę nad szmirami powieść Jean Mazarin’a *Kolabo-song*.

Nie ulega wątpliwości, że „czynniki partyjne” zdają sobie sprawę z rozmiarów kryzysu literatury współczesnej w Kraju i nikłego jej dorobku w latach ostatnich. Maciej Chrzanowski pisze otwarcie<sup>10</sup>, iż wahał się, czy ogłaszać w *Polityce* recenzję nowych powieści politycznych „odnoszących się do burzliwych wydarzeń minionych kilku lat”, wydanych w Kraju, gdyż — jak pisze — „tak się złożyło, że są to na razie powieści złe, że — jak je nazwał — jest to *literatura płytkiego oddechu*”. W toku lutowej konferencji partyjnej sprawa ta powracała wielokrotnie w formie westchnień do „mających się pojawić tekstów lepszych, dojrzałych”<sup>11</sup>. W międzyczasie faszeruje się tygodniki i mie-

8. *ITD* z 3 lutego 1985.

9. Artykuł Piotra Gadzinowskiego jest łącznym omówieniem: Jerzego Ambroziewicza *Gra* (KiW, 1982), Wacława Bilińskiego *Wyjaśnienie* (KiW, 1984), Janusza Andr. Łaniewskiego *Dygnitarz* (Czytelnik, 1982), Aleksandra Minkowskiego *Odmieniec* (KiW, 1982) i Włodzimierza Sokorskiego *Nie można powtórzyć* (KiW, 1984). Tę ostatnią recenzent charakteryzuje „jako wyraźny ogon powstałego nurtu” oraz „świadectwo wycucia autora, który zawsze potrafi gdzieś się załapać”. Andrzej Lam określił powieść Sokorskiego jako „beletryzowane dywagacje” (*Rzeczpospolita* z 20 lutego 1985).

10. Artykuł pt. „Nie lekceważyc literatury”, *Dziennik Polski* z 21 lutego 1985. Autor wyjaśnia, iż chodziło mu o powieści Romana Bratnego *Rok w trumnie* (wydana w olbrzymim nakładzie), Włodzimierza Sokorskiego, Jacka Krakowskiego *Autopsja, czyli dziennik kryzysu* (Wyd. Łódzkie, 1984) i Wacława Bilińskiego. Pomija natomiast raczej zasługującą na uwagę powieść Marii Nurowskiej *Kontredans* (Czytelnik, 1983), której bohaterem jest internowany w Białolece 20-letni Maciek.

11. *jak wyżej*.

sięćniki przedrukami utworów wyjętych ze świeżo ogłoszonych książek<sup>12</sup>, odwracając zwyczajową praktykę wyprzedzania wydań książkowych.

Uczestnicy Sesji lutowej i autorzy związanych z nią artykułów i wywiadów poruszali wielokrotnie problem stosunku do literatury emigracyjnej, wykazując niezłą jej znajomość i zgłaszając wiele zastrzeżeń. Najobszerniej wypowiedział się Marian Stępień w *Polityce* (16 marca 1985) w artykule pt. „Odczytać na nowo”. Uważa, że nurt emigracyjny, będący „funkcją” krajowego, jest mniej ważny, ale nie należy go nadal przemilczać, jak to się „przez pewien czas” działo. Nie ukrywa, że „odwróceniem takiego stanowiska byłby sąd — też spotykany dzisiaj — że przeciwnie ważna, wartościowa i autentyczna literatura polska to jedynie literatura emigracyjna, bo ta, która rozwija się w kraju podlega państwowej kontroli i cenzuralnym ograniczeniom”. Uważa, że pierwszy wypowiedział ten pogląd w 1962 roku w *Zwycięstwie prowokacji* Józef Mackiewicz „jeden z najbardziej reakcyjnych pisarzy tworzących poza krajem”.

Stępień dzieli literaturę emigracyjną na trzy okresy: „emigracji przymusowej”, wojennej, „emigracji z politycznego wyboru” i najnowszy od roku 1980. W każdym z nich rysują się dla niego inne trudności. W okresie pierwszym są nimi „przekazy dramatycznych przeżyć uchodźców udających się na wygnanie” (tu ingerencja cenzury). Zwraca uwagę na książki ilustrujące „krąg przeżyć ludzi zwanych 'dipisami' (D.P. = *displaced persons*)”. I tu pytanie dotyczące Tadeusza Nowakowskiego i przypominające, że „kiedyś było już bardzo blisko wydania *Obozu Wszystkich Świętych*. „Czy wobec jego obecnego zaangażowania się w polityczną działalność zwróconą przeciwko dzisiejszej Polsce możliwe jest wydanie jego wcześniejszych, bardziej wartościowych niż późniejsze, utworów?”. Ot, i pytanie! Twardy orzech do zgryzienia.

Jeszcze trudniejszym problemem „jest drugi krąg tematyczny”, który obejmuje „literackie, paraliterackie i wspomnieniowe przekazy, ukazujące doświadczenia Polaków, którzy w pierwszych miesiącach wojny, znalazłszy się na terenach zajętych we wrześniu 1939 przez Związek Radziecki, byli wywiezieni do dalekich rejonów tego kraju”. Stępień stwierdza, że książek „opowiadających o [ich] przeżyciach jest stosunkowo dużo” a niektóre mają wartość artystyczną i poznawczą. I tu niezręcznie stara się porównywać literaturę zsyłkową z panoramą losu polskiego w Auderskiej „znakomitej dylogii *Ptasi gościeńc* i *Babie lato*”. Jest to niewątpliwie najlepsza książka tej autorki — osnową jej są jednak losy

12. *Tu i Teraz*, „osierocone” przez Koźniewskiego, Jana Rema (Urban), Stanisława Zielińskiego i in., zapowiada np. przedruk opowiadania Jana Rybowicza pt. „Worth”, ogłoszonego w bież. roku w *Innych opowiadaniach* (Wyd. Liter., 1985). Autor, rodem ze wsi na Opolszczyźnie, debiutował w roku 1980 zbiorem opowiadań *Samokontrola* (PIW, 1980) i uważany jest za obiecującego prozaika sięgającego po tematykę pokrewną tekstom Marka Nowakowskiego (sprzed 1980) i Edwarda Redlińskiego, autora *Konopielki*.

Poleszuka przerzuconego na Ziemię Odzyskane a problemy zsyłkowe poruszane są ostrożnie i marginesowo.

Stępień uważa, że należy wydawać książki z tego „kręgu tematycznego”, ale „obecnie czas po temu najmniej odpowiedni”. Należy je jednak omawiać, sygnalizować ich istnienie, co stara się robić.

Pokrótce omawia następnie pojawienie się w Londynie grupy młodych pisarzy („Kontynenty”), podkreślając ich kontakty z Krajem. Uwaga jego koncentruje się jednak na ostatnim trzydziestolecu, w którym „centrum literatury emigracyjnej przesuwają się do Paryża i organizuje głównie wokół miesięcznika *Kultura*”. „Jej adresatem — sądzi Stępień — jest w istocie czytelnik w kraju, przede wszystkim dlatego, że tylko on, a nie jego odpowiednik emigracyjny dysponuje właściwym przygotowaniem i reprezentuje wyższy poziom intelektualnych aspiracji”. Trudno jednak zgodzić się z opinią, iż najważniejsze książki z tego okresu „zostały już wprowadzone do krajowego obiegu czytelniczego i przyjęte z dużym zainteresowaniem”. I tu cytuje nazwiska: Stanisława Vincenza, Józefa Czapskiego, Jerzego Stempowskiego, Czesława Miłosza i Kazimierza Wierzyńskiego, i ubolewa nad brakiem krajowego wydania *Dziennika Gombrowicza*, który mimo to „jest cytowany, znany, w znacznej mierze spopularyzowany. Prędzej czy później będziemy musieli go wydać” — konkluduje. Brak tu informacji, że pisma wymienionych wyżej autorów znane są krajowi w ułamkowych wydaniach (nawet Miłosz) a dalsze nazwiska i tytuły nie figurują w planach wydawniczych (choć na tym odcinku zdarzają się niespodzianki takie jak np. PIW-owskie wydanie szkiców teatralnych Tymona Terleckiego i zapowiedź wydania wyboru wybranych Iwaniuka).

Stępień polemizuje z poglądem, że emigracyjna eseistyka i publicystyka „ma jakby jakąś przewagę” nad krajową. Uważa, że jedną z przyczyn takich opinii jest fakt, że literatura emigracyjna „podejmuje szeroko również te problemy, o których my mówimy zaledwie półgębkiem i piszemy w sposób zawaolowany”, co spotyka się z „szyderstwem przeciwników”. Wzywa przeto do podejmowania dyskusji — a w podtekście tego dezyderatu kryje się wezwanie do przedruków w Kraju.

Sprawa pisarzy, którzy opuścili kraj po roku 1968, jest w artykule Stępnia sprowadzona do twórców „pochodzenia żydowskiego”: niektórzy z nich — przyznaje — „mieli uzasadnione powody do opuszczenia Polski”, ale „byli wśród nich i tacy, którzy postanowili skorzystać z nadarzającej się sposobności” a, wydostawszy się na Zachód, „oskarżają Polaków o antysemityzm”, aby „uzasadnić własne decyzje”. W oskarżaniu ich posuwa się tak daleko, iż posądza o manipulowanie „z całym cynizmem” „tragedią narodu żydowskiego w imię prezentystycznych interesów politycznych”. Wśród książek ich „są jednak i takie, które świadczą o tragicznym zagubieniu, do którego trzeba się odnieść ze współczującym zrozumieniem”. Tu powinno paść, ale nie pada, nazwisko Henryka Grynberga.

W literaturze posierpniowej rozróżnia Stępień twórczość 1) „autorów od wielu lat osiadłych poza krajem” (i wymierających), 2) takich „którzy w ostatnim czasie udali się za granicę, zatrzymali się tam, ale status ich nie jest jeszcze ustalony”. „Najbardziej jednak aktywni wśród nich, agresywni w stosunku do Polski swoją działalnością *pałą za sobą mosty ewentualnego powrotu*” (podkr. MDZ), 3) „autorów zamieszkujących w Polsce, którzy decydują się na publikowanie swych dzieł w zachodnich domach wydawniczych” — motywy ich są różne: polityczne lub „bardzo wymierne, materialne”, „stypendia i honoraria w wymiennej walucie”, „szantaże i presje środowiskowe, którym tylko najsilniejsi umięją się przeciwstawić”. Produkcja literacka pisarzy zaliczonych do tej kategorii, to dla Stępnia „literatura złęgo sumienia”, „dzieła fałszywe”, „kryjące kłamstwo za fasadą wzniosłej frazeologii”.

Z podziałem tym pokrywają się wnioski końcowe artykułu Stępnia: „niektóre” książki emigracyjne „powinny być wprowadzone w krajowy obieg czytelniczy”, inne należy komentować i przybliżać „poprzez szkice informacyjne” — można nawet z nimi polemizować. Są jednak „i takie dzieła, które można spokojnie przemilczeć, bo nie zasługują na uwagę”. Łączy z tym postulat studiów nad literaturą emigracyjną i nowego jej odczytania w celu wyłowienia pozycji wartościowych — czy strawnych dla cenzury (czego nie dopowiada).

Przypomnieć warto, że w zestawieniu z wypowiedziami Nawrockiego, Wiesława Rogowskiego<sup>13</sup>, Stanisława Goszczurnego<sup>14</sup> czy Józefa Szczawińskiego<sup>15</sup> opinie Stępnia wskazują na próby kompromisowego załatwiania kłopotliwej sprawy wprowadzania „do obiegu czytelniczego” (jawnego w tym wypadku, bo podziemie swoje robi) literatury emigracyjnej. Ale i on eliminuje z planów wydawniczych najżywotniejsze „odrabane gałęzie” (z określenia Barańczaka) a przemilcza czynnik czasu, dzielącego projekt opublikowania książki od ukazania się jej pod ładami księgarń, oraz rezultaty tzw. „zaniedbań w poligrafii — czyli braku papieru. Nie zabraknie go natomiast na pewno na „wymianę wartości kulturalnych z krajami socjalistycznymi”. Domaga się rozbudowania jej Szczawiński a Rogowski wysuwa postulat stworzenia serii wydawniczej „Wielka literatura małych narodów” w oparciu o „interesujące przejawy twórczości” narodów ZSSR.

Rogowski sygnalizuje wreszcie potrzebę przeciwstawienia się „wspólnemu rynkowi wydawniczo-politycznemu”, w ramach którego rozpowszechniane są na Zachodzie książki „polskich, rosyjskich, jugosłowiańskich czy czeskich kontestatorów i antykomunistów”. „My — konkluduje z dumą — to znaczy wielki czytelnicy czy rynek socjalistyczny takich metod nie stosujemy”. A co sto-

13. „Literatura w walce”, *Argumenty* z 17 lutego 1985.

14. „Tematu nie wyczerpano”. *Rzeczpospolita* z 21 lutego 1985.

15. „Kultura polska w roku 1985 — szanse i zagrożenia”, *Słowo Powszechne* z 22-24 lutego 1985.

sujemy? Odpowiedź jest równie wzniosle skonstruowana: „Nasz system wartości, zwolenników socjalistycznej drogi rozwoju Polski musi być odtworzony i znów upowszechniany. Idzie nie tylko o dzieła i pisarzy, ale również o tendencje, o postawy twórcze”. Trudno o wyraźniejsze potwierdzenie wniosków z wcześniejszych wypowiedzi krajowych które omówiłam w „Recydywie”<sup>16</sup>.

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

Feijó pod Lizboną, 28 kwietnia 1985

16. *Kultura* Nr 5/452, maj 1985.

## Materia ciągła przerywana

Początki *Miesiący* sięgają *Listów do pani Z.* (1958) z podtytułem *Wspomnienia z terażniejszości*, ich forma ukształtowała się w *Dzokerze* (1966) — pisanym również „miesiącami”, i z tym samym podtytułem — następnie w *Rynku* (1968) i w *Małej księdze* (1970). Pierwszy tom *Miesiący* obejmował okres od października 1978 do grudnia 1979, toczył się w Paryżu, Berlinie i Warszawie, a kończył obrazem wymagowanej nocy sylwestrowej: spotkaniem żywych i zmarłych. „Wspólny krąg — pisał Brandys — którego nie przerywa śmierć ani oddalenie”. Ten wspólny krąg to polska elita umysłowa ze swoją tradycją, z zadaniami do wykonania na dzisiaj i na przyszłość. W recenzji z pierwszego tomu *Miesiący* pisałam, że jest on wyzwajająco bezwstydną apologią inteligencji. Muszę tu dodać, że od lat mieszkam w kraju, w którym intelektualiści wstydzą się swojego wykształcenia (i pochodzenia), a autorzy literackich audycji telewizyjnych z ponurą satysfakcją zapewniają widzów, że książki o których mowa dla większości z nich są niedostępne. Brandys: „Gdyż na przykład realni od faktów. Siłę daje nam poczucie naszej koniecznej obecności oraz pewność, że nie wzięliśmy się znikąd — że mamy przodków i zostawimy następców”.

Drugi tom *Miesiący*, rozpoczęty w kwietniu 1980, kończy się 13 grudnia 1981. Był spisywany w Warszawie, w Berlinie, w Nowym Jorku — ogłoszenie stanu wojennego tu właśnie zastało Brandysów — i zdawał relację ze stanu społeczeństwa, które wywalczało sobie prawo do życia w wolności. Trzeci\*, czasowo najobszerniejszy, rozpoczyna się w czerwcu 1982, a kończy w kwiet-

\* Kazimierz Brandys, *Miesiące*: 1982-1984. Paryż, Instytut Literacki 1984, str. 252.

niu 1984. Jest gęsty od informacji, komentarzy, zmieniających się obrazów i sytuacji. Sytuacją narzędną jest oderwanie od Polski. Nie podróże i powroty jak w poprzednich *Miesiącach*, lecz paniczny lęk przed podjęciem decyzji. Trzeci tom opowiada historię dwojga ludzi — małżeństwa Brandysów — zatrzymywania w obcości i nagle puszczonych w ruch. Trzy etapy aklimatyzacji — i oporu wobec aklimatyzacji! — to Paryż, Nowy Jork, znowu Paryż. Ale myśl kończąca tom dotyczy jednej z głównych i permanentnych warstw wszystkich tomów *Miesiący*: „Mówiąc o sobie prozą trzeba stale mieć się na baczności, żeby nie dać się zjeść przez samego siebie. Apetyt na własne ja z początku budzi energię do pisania, ale ten głód ma wielkie oczy i po jakimś czasie odczuwa się niestrawność. (...) Człowiek chciałby się wykurować, odsapnąć od siebie i zamienić swoje ja, mną, mnie na trzecią osobę. Trzeba ją wymyślić i stworzyć”.

Brandys od *Dzokera* obiecuje sobie i czytelnikom powieść. (*Dzoker* jest dziennikiem i zarazem małą powieścią o księciu Józefie Poniatowskim). Jest to rodzaj autoszantażu, kuszenia i odpychania formy. Pisanie *Miesiący* stało się sposobem na życie, na codzienność, na ostateczność. Rodzajem narkotyku, zarazem akumulowaniem i użytkowaniem energii. A także narzuconym sobie *pensum*, które należy odrobić; wynikami przeświadczenia, że obowiązkiem pisarza jest pisać. Że inni mają inne zajęcia: „Bez *'Miesiący'* nie wyobrażam sobie, jak przeżyłbym ubiegłe dwa lata, z tym wszystkim co się stało po naszym wyjeździe z Polski. Jak będę żył i co robił z sobą po ukończeniu trzeciej części, nie wiem. Lepiej o tym nie myśleć. Prawdopodobnie gdzieś później trzeba będzie jeszcze raz o wszystkim opowiedzieć. Więc może kiedyś usiądę i opowiem jak było naprawdę”. W tych zdaniach, nieco swawolnych, mieści się poważniejsza zapowiedź prozy powieściowej niż w innych, bardziej ogólnych i dramatyczniejszych stwierdzeniach. Co nie znaczy że Brandys kłamie czy też zmyśla w *Miesiącach*. Może tylko tuszuje, osłania, bandażuje i odrastycznia fakty.

Materia trzeciego tomu wiotczeje pod koniec książki, a dzieje się to jakby za zgodą i aprobatą autora. To wyczerpywanie się energii — i pozornie także materiału — jakby jej wygaszanie, jest także składnikiem kompozycyjnym książki. Pod koniec trzeciego tomu nie zdarza się ani mniej ani więcej niż na początku książki. W gruncie rzeczy wszystko, co dzieje się w *Miesiącach*, łącznie z retrospekcją i owymi stanami, które można by nazwać zapadaniem się w pamięć, dzieje się *in statu nascendi*. Jest tylko kwestią energii pisarza, wewnętrznej inspiracji i zapotrzebowania aby to przetworzyć w literaturę.

*Miesiące* z prozą fabularną łączy fakt, że ich autor — podobnie jak autor fikcji literackiej — nie wie z góry, co nastąpi: co stanie się z jego bohaterem, jak świat zachowa się wobec niego następnego dnia, jak on sam zachowa się wobec świata. Rzecz Brandysa jest trudniejsza niż powieściopisarza: chodzi nie tylko o literacką obróbkę materiału, lecz o obróbkę własnego życia

i zdanie z niej relacji. Powstaje pytanie w jakim stopniu i w jakiej stylistyce pozwolić faktom kształtować własne pióro, własny los, własną osobowość.

*Miesiące* przesycone są w równym stopniu specyficznym polskim stoicyzmem, jak polską histerią i nadwrażliwością wobec świata. Ale duchowa suwerenność Brandysa — wyczuwalna od pierwszej do ostatniej strony — to coś więcej niż niezależność człowieka, któremu pióro, papier, pożyczona maszyna do pisania, czy też aktualna moda na Polskę zawsze zapewnić mogą egzystencję. Jest to — o czym Brandys świetnie wie — uprzywilejowanie fikcyjne. Autentyczne jest tylko rozdarcie między próbą bytowania poza Polską, a wiedzą o przyjacielach, których milicja wywleka nocą z mieszkai. Jakby sam fakt fizycznego niebycia odbierał przywilej współofiary i współodpowiedzialności. Zdaniem Brandysa — niekoniecznie dzielonym przez innych emigracyjnych pisarzy — człowiek sprawdza się wyłącznie „tam”, u siebie: „Prawdziwe niebezpieczeństwo, próba ognia i wody, prawdziwi wrogowie — z tym miałem do czynienia w kraju”.

To co specyficzne dla *Miesiący* — w odróżnieniu na przykład od ostatnich książek Konwickiego — to tonacja myślenia i sposób nasycania obrazów refleksją. Bardziej ascetyczna, chciałyby się powiedzieć w sprytniejszy sposób upychologizowana uroda słów. Umiarkowany ton argumentacji. Otwarty, niezaściankowy — tu zaczynają się podobieństwa — a zarazem pryncypialny stosunek do świata zachodniego. „Antypękowość” przy pełnym zachowaniu własnych, polskich kryteriów ważności. Własnej racji stanu. Brandys najbardziej mnie zdumiał w nowojorskiej części *Miesiący* — łatwiej polskiemu pisarzowi przeżywać Paryż czy nawet Berlin Zachodni! — swoją chłonnością, zaciekawieniem, brakiem uprzedzeń i brakiem mędrkowania. (Od czego nie wolny był *Rynek*, w którym relacjonował swoje pierwsze chyba zetknięcie ze Stanami). Refleksja z nowojorskiego metra: „A więc jednak — myślałem — to się może udać. To najtrudniejsze. Zrobili to. Zrasta im się tkanka, która u innych się zakażała. Gdzie indziej nie obeszło się bez noża. Tu przecież coś się skleilo, wielorakość języków, obrządków i ras scala się w żywą materię biało-czarno-kawowo-żółtą. (...) Czyli rzecz jest możliwa. Patrząc na murzyńską Amerykanę czytającą książkę, myślę: cofnij się przed zbrodnią”.

Szczerokość połączona z taktem i dyskrecją, o czym pisałam w recenzjach z poprzednich tomów *Miesiący*. Zarówno w tych warstwach książki, w których Brandys opisuje dzieje swojego małżeństwa, jak kiedy pisze o Żydach. Właściwy wybór tonu, jeden z najtrudniejszych problemów przed którym staje pisarz uprawiający formę literackiego dziennika. W *Miesiącach* nie wyczuwa się ani zahamowań, ani nagłych uskoków w ekshibicjonizm i owa swoboda pozwala domyślać się czegoś więcej niż tylko to, co dać może doświadczenie pisarskie: taktu w życiu, osobistej kultury, momentami wręcz sposobu na życie. Charakter i postę-

powanie autora prozy fabularnej nie mają prawa interesować czytelnika (choć oczywiście go interesują). Autorzy dzienników oddają się w jego ręce ze wszystkimi nerwowymi tikami, które ich zdradzają, które stanowią ich styl. Z własnego charakteru robią „sprawę”, fabułę. Ile znaczą forma i takt zrozumiałam porównując uwagi Brandysa na temat stosunków Żydów i Polaków, z polemiką wokół książki Grynberga pt. *Prawda nieartystyczna*, z materiałami z konferencji na temat stosunków polsko-żydowskich odbytej niedawno w Oxfordzie (*Puls* nr 24), wreszcie z dyskusją, która to wzbierając to gasnąc, jakiś czas temu toczyła się na łamach *Kultury*. Nie chodzi zresztą tylko o formę i o takt, chodzi także o nowy aspekt sprawy, w której zdawałoby się nikt już nie miał nic do dodania. Brandys opisuje spotkanie w Paryżu z udziałem Francuzów i Polaków (podobną dyskusję, podobną sytuację przeżyłam w Kopenhadze): „Dopiero pod koniec mego przemówienia ten łysy starzec podniósł się z krzesła i wybełkotał coś, czego na razie nie pojąłem. Krzyczał, że Polacy zdradzili swoich Żydów. — *Trahi... ab... abandonné...*”. Komentarz pisarza: „Nie opłakali ich. Po siedmiuset latach życia na wspólnej ziemi Polacy nie uronili łzy nad Żydami zamienionymi w popiół. Ich ocalałym synom i braciom największy ból sprawiło milczenie. Milczenie Polaków po zagładzie. Nie w dniach zagłady, lecz właśnie po zagładzie. Po wojnie. Nie odprawiono nabożeństw w miasteczkach, nie znoszono kwiatów. Wprowadzono się do mieszkań w pustych żydowskich domach, cmentarze zarastały trawą. Milczał Kościół i naród. Postanowiono zapomnieć — udawać, że Żydów nie było”. *That's it* — jakby powiedzieli Anglicy.

Trzeci tom *Miesiące* opowiada o owym styku między sobą (autorem) i światem, który się znało, a sobą wrzuconym w obcy byt, w sytuacji w których trzeba się stwarzać od nowa, legitymować umiejętnościami, w których nie ma się wprawy. Zarazem chronić to, co przywykło się uważać za sedno osobowości. Jest to sytuacja, w której codziennie ryzykuje się samego siebie, świetnie znana ludziom, którzy wyemigrowali w wieku dojrzalszym. Brandys: „Piszę tę powieść-dziennik, bo jedynie ona pozwala mi przetrwać wypadnięcie z czasu”. A gdzie indziej: „Byłem gotów podjąć najdziwniejsze decyzje. Gdyby mi zaproponowano wykłady na Alasce, zgodziłbym się bez zmruczenia oka. (...) W głowie tkwiła mi jedna myśl: dziewięćset dolarów na miesiąc. Tyle mi było trzeba, żeby utrzymać M. i siebie”.

Przy tym wyobraźnia i zmysły cały czas nastawione na chłonięcie obrazów i wpisywanie w nie własnego komentarza. Stan maksymalnej perceptywności, rodzaj dystansu, spokojnej ekscytacji, które pozwalają przeżywać własne życie, jakby była to powieść lub film. Dbałość o barwę detali, o geometrię krajobrazu. Nie wysiłek pisania, a wysiłek patrzenia. Uwaga skoncentrowana na opisywaniu w sobie, proces który Brandys ujawnia przed czytelnikiem, jak gdyby pozwalał patrzeć mu sobie na ręce. Zadanie: „Perspektywa ulicy od strony placu”. Wykonanie: „Trzy

rytmy miarowo dzielone pniami drzew. Markizy są granatowe, ciemnozielone i w kolorze splota amarantu, ze srebrnymi lub złotymi lampasami. Litery napisów białe albo cytrynowo-żółte. Okienne poliniowane czarnymi poprzecznymi szparami tworzą jednolity ciąg znaków wśród ażurowej czerni półbalkonów”.

*Miesiące* są powieścią-rzeką na temat własnego życia ich autora. Powieść-rzeka zakłada realizm historyczny, społeczny i psychologiczny, typowość a zarazem różnorodność losów bohaterów, wielką rodzinę lub wielkie środowisko, które mieszają się z innymi rodzinami i środowiskami i podlegają zmianom. W swojej dotychczasowej całości *Miesiące* są powieścią zarówno środowiskową, jak polityczną i historyczną. Zapisem z teraźniejszości i pamiętnikiem z przeszłości. Osobistą selekcją i interpretacją polskiej historii i myśli politycznej, od zaborów, poprzez Dwudziestolecie aż do dnia dzisiejszego. Myśleniem o polskiej współczesności poprzez analogie i przeciw analogiom. W sporych fragmentach dyskretnym ostrzeżeniem przed paranoją myślenia w kategoriach kolaboracji. Trzeci tom *Miesiące* jest opowieścią o Polaku-intelektualście i jego żonie, których przypadek w równym stopniu jak historia rzuciły na obcy łódź. Książką o rozbitkach połączonych nierozzerwalnymi nićmi z portem czyli Polską. Świadectwem umiejętności współżycia ze swoim losem i stawiania mu czoła. Na obcym kontynencie Brandys jest przede wszystkim pisarzem i zadziwionym obrotami własnego życia człowiekiem. Przekładającym nowe sytuacje na pojęcia mu dostępne, szukającym nowych adekwatności. Jak każdemu rasowemu pisarzowi świat jawi mu się w szeregu kolejnych obrazów, w spotkaniach z ludźmi, w ukłuciach pamięci. Spore części *Miesiące* mogłyby nosić tytuły: Spotkania, Rozmowy, Portrety, Spojrzenia. Dwa ostatnie tomy *Miesiące* mają swoją bliźniaczą książkę w polskiej literaturze — *Wschody i zachody księżycy* Konwickiego — która podobnie jak drugi tom *Miesiące* kończy się wprowadzeniem stanu wojennego. Inny jest jej język i styl, inna literackość. Ale podobne zamiłowanie do portretów, pejzaży, podobne tematy wokół których obydwa pisarze krążą, podobne problemy, które rozwiązują każdy na swój własny, choć często zbieżny sposób. Konwickiego podobnie jak Brandysa dręczy problem fikcji powieściowej, on także chciałby wyjść poza dziennik, poza „raptularz” z życia. Podobnie jak Konwicki, Brandys zastanawia się, dlaczego po wojnie wybrał komunizm, dlaczego, jak to określa, „żył w stanie błędu”. Obydwa dokonują na sobie podobnego zabiegu, jedyne który wzbudza we mnie zaufanie, ponieważ jest zabiegiem brutalnym: porównują swoje biografie z biografiami tych, którzy nie „optowali”. Konwicki siebie z Kazimierzem Moczarskim, Brandys siebie z Andrzejem Kijowskim. Pisze: „Może przed wejściem w stan błędu chroniło go dzieciństwo przeniknięte katolicką obawą grzechu, dzięki czemu umiał się oprzeć ideologii odrzucającej tajemnicę, podczas gdy mnie pociągała racjonalistyczna i odarta z *sacrum* perspektywa postępu?”. Może.

Nie mam zaufania do tej odpowiedzi, choć jak powiadam, mam zaufanie do metody. W końcu jest chyba tak, jak w owej historii o dwóch braciach ze wsi, fizycznie nawet do siebie podobnych, z których jeden podczas wojny ratował Żydów, a drugi wydawał ich Niemcom, a którą Brandys opowiada w innej swojej książce.

Obok refleksji i komentarzy, obok obrazów i portretów tworzących z *Miesiący* literaturę piękną *par excellence*, książka Brandysa wypełniona jest inną ważną substancją, rodzajem tkanki łącznej. Są to relacje z codzienności, trywia, bez których *Miesiącom* zabrakłoby równowagi i innego typu mądrości i urody. Grypa, operacja, łamanie w krzyżu, inwentarz mebli potrzebnych do urzędzenia mieszkania. Uwagi w rodzaju: „Profesor Feliks Gross jest człowiekiem, którego pogoda ducha i życzliwość mogłyby ucłowieczyć mrówkojada”. Wreszcie na innym planie analiza motywacji psychologicznej u tych, którzy stanęli po stronie Jaruzelskiego: „W dziedzinie literatury i sztuki prawdziwą władzę zachowali ludzie utalentowani. Właśnie ci z boku, odsunięci, których wycinano z kadrów. Czy można sobie wyobrazić gorszy ból niż męka człowieka wiernego i pracowitego, który widzi, że ta nieliczna garstka pozbawiła go owoców długoletniej służby? To ich książki sprzedaje się spod lady i tłumaczy na obce języki. Nigdy nie było stu kwiatów. Zawsze będzie ich kilka, najwyżej kilkanaście. Odwet warzyw jest nieunikniony”. Inny, gorzej od Brandysa wychowany pisarz, powiedziałyby: chwastów.

Janina KATZ HEWETSON

## NOTA O SŁOWNIKACH PORTUGALSKICH

W bardzo starannej szacie drukarskiej ukazał się nakładem Grafica Vicentina Ltda w Kurytybie (Brazylia) słownik portugalsko-polski Mariana Kawki<sup>1</sup>.

Słownik określony jest przez wydawców jako portugalsko-polski, co formalnie jest w porządku, ale faktycznie powinien nazywać się brazylijsko-polskim, gdyż mimo obustronnych zapewnień i wysiłków oba odłamy języka portugalskiego — europejski i brazylijski — odbiegają coraz bardziej od siebie nie tylko w wymowie ale i w pisowni i znaczeniu poszczególnych słów. Słownik Kawki, wydany w Brazylii, odpowiada niewątpliwie przede wszystkim potrzebom Polonii brazylijskiej i Polaków, udających się do Ameryki Południowej. W Europie — a zapewne i w krajach afrykańskich o portugalskim języku urzędowym, do których jeżdżą liczni fachowcy polscy jako specjaliści, będzie zapewne mniej używany. Tak zresztą określają zadania Słownika wydawcy.

Niewątpliwą zaletą Słownika jest uwzględnienie licznych idiomów i wyjaśnienie ich kolokwialnego znaczenia (np. *ficar para tia* — zostać starą panną, a nie dosłownie ciotką). Przy poszczególnych wyrazach nie podano fonetycznej wymowy; chyba słusznie, bo stosując naukową transkrypcję nie pomaga się korzystającym „szarym” użytkownikom. Brak jednak w przedmo-

1. Mariano Kawka, *Dicionário português-polonês*. Słownik portugalsko-polski. Curitiba, 1984, Grafica Vicentina Ltda, str. X, 369.

wie obszerniejszego omówienia wymowy liter, odbiegających od wymowy polskiej. Tak np. *c* wymawia się w portugalskim, tak jak we francuskim, jako *k* przed samogłoskami *a*, *o*, *u* i przed spółgłoskami, a poza tym jako *s* a nigdy jak polskie *c*. Dyftong *ch* wymawia się zawsze jak polskie *sz*, — i tak samo wymawia się jako *sz* portugalskie *x*, które nosi zaskakującą Polaków nazwę *sziz*.

Prace nad słownikiem, który nosi datę wydania 1984, musiały się rzeczy trwać dłuższy czas, bo w bibliografii nie figuruje „Słownik polsko-portugalski” Antoniego i Leokadii Sliwińskich<sup>2</sup> wydany w 1983 przez Wiedzę Powszechną w Warszawie. Jest on równie staranny i użyteczny jako odpowiednik i uzupełnienie „Słownika” Kawki. Oba słowniki uwzględniają brazylijskie i europejskie warianty portugalszczyzny; krajowy przynosi więcej słów.

Równocześnie ze słownikiem Kawki ukazał się w Warszawie bezprezjonalny „podręcznik” pt. „Mini-rozmówki portugalskie”, opracowany przez Bożenę Papis i Alinę Wójcik<sup>3</sup>. Poważne zastrzeżenia budzi sposób oddawania wymowy poszczególnych wyrazów, nie zawsze konsekwentny, by nie powiedzieć niechlujny. Na przykład *tenis* wymawia się według „Rozmówek” raz jako *tenisz* a drugi — jako *teniż*. Gorzej, gdy słowo zarówno w pisowni portugalskiej jak i w podanej wymowie jest zniekształcone, jak np. *statyw* przetłumaczony jako *trite*, gdy powinno być *tripé* czyli *trójnog*. Najgorzej wypadł dział, który autorkom powinien być najlepiej znany a dotyczący „artykułów spożywczych”. *Borrego* oznacza *jagnię* (ściśle mówiąc jagnię nie mające jeszcze roku, gdy zamienia się w *carneiro*) — ale nigdy cielęcine (*vitelo*). *Banha* — to smalec a nie słonina (*toucinho*). Niezmiernie popularna w Portugalii szynka — to *fiambre*, którą to nazwę „Rozmówki” tłumaczy jako *salceson*, jako taki nieznan w Portugalii — najbliższa mu wędlina to *salpicão*. Wreszcie *presunto* — to szynka, ale wędzona, westfalska. Dzięczyzna to w potocznym rozumieniu — wszelka zwierzyna łowna; przetłumaczona w „Rozmówkach” jako *jawali* oznacza tylko *dzika*, co prawidłowo podaje „Słownik” Sliwińskich, wydany na dwa lata przed „Rozmówkami”.

XY

2. Antoni Sliwiński, Leokadia Tyszkiewicz-Sliwińska, *Słownik polsko-portugalski*. (*Dicionário polonês-português*). Warszawa, 1983, Wiedza Powszechna, str. 659.

3. Bożena Papis, Alina Wójcik, *Mini-rozmówki portugalskie*. Warszawa, 1984, Wiedza Powszechna, str. 94, format kieszonkowy, nakład 30.000 egzemplarzy, drukowane w Wojskowej Drukarni w Gdyni.

## Nadesłane nowości wydawnicze

RAKOWSKI (Janusz). *Z piórem w mundurze. Francja - Szwajcaria 1940-1946*. Str. 240. (Wyd. Księgarnia polska, Paryż 1985, cena: F. 70).

MIREWICZ (Jerzy, ks. T.J.). *Studzy Europy*. Str. 158 i 2 nlb.

(Wyd. Księga Jezuci, Londyn 1985).

25 lat Fundacji im. Kościelskich w Genewie (1959-1984). Str. 42 i 2 nlb. (Wyd. Fundacja Kościelskich, Genewa 1984).

- KRALL (Hanna). *Sublokatorka*. Str. 156 i 4 nlb. (Wyd. Libella, Paryż 1985. Cena: F. 65).
- ZDZIARSKA-ZALESKA (Maria). *Płomiennie czasy*. Str. 130 i 6 nlb. (Wyd. Polski Ośrodek Wydawniczy, Paryż 1985).
- Muza chrześcijańska*. Tom I: *Poezja armeńska, syryjska i etiopska*. Str. 374 i 2 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1984, cena: zł 300).
- BORKOWSKA (Małgorzata, OSB). *Dekret w niebieskim ferowany parlamencie. Wybór testamentów z XVII-XVIII wieku*. Str. 207 i 3 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1984, cena: zł 250).
- Katolik a planowanie rodziny*. Str. 108 i 10 nlb. (Opr. Klub Inteligencji Katolickiej we Wrocławiu, wyd. Znak, Kraków 1984, cena: zł 100).
- MALIŃSKI (Mieczysław, ks.). *Jezus i Ty*. Str. 89 i 9 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1984).
- PRUS (Edward). *Władcyka świętojurski. Rzecz o arcybiskupie Andrzej Szeptyckim (1865-1944)*. Str. 335 i 1 nlb. (Wyd. Instytut Wydawniczy Związków Zawodowych, Warszawa 1985, cena: zł 280).
- Wzwanie. Niezależne pismo literackie*, nry 1-4. Str. 231 i 5 nlb. (Zachodnia edycja polskiego pisma podziemnego, wyd. „Publication”, Box 50112, S-104 05 Stockholm, Szwecja).
- JANIN (Józef). *Kroki w mroku*. Str. 119 i 1 nlb. (Wyd. OPIM, Londyn 1985).
- STRYPA (Stefan). *Pamiętnik gimnazjalisty (1918-1927); Co tam marzyć o kochaniu...; Z sądowej sali; Sentencje i poglądy*. Str. 164 i 4 nlb. (Wyd. Polski Ośrodek Wydawniczy POW, Paryż-Katowice 1985).
- KURTA (Henryk), GROULART (de, Claude), KIELTYKA (Georges). *Quand la Pologne rit aux larmes*. Str. 234 i 8 nlb. (Wyd. Le Carroussel w serii „Document”, Paryż 1985, cena: F. 85).
- ASMUS (Ronald D., opr. i przedmowa). *East Berlin and Moscow: the Documentation of a Dispute*. Str. 78 i 2 nlb. (Wyd. RFE w serii „RFE Occasional Papers”, number 1, Monachium 1985).
- 1984 Violations of Human Rights in Poland. A Report by the Polish Helsinki Committee*. Str. 131 i 1 nlb. Przeł. Ewa Eliaż Brantley i Agnieszka Kołakowska. (Wyd. Committee in Support of Solidarity, Nowy Jork i Information Centre for Polish Affairs, Londyn 1985).
- SELUCKY (Radoslav). *The Present Dilema of Soviet-East European Integration*. Str. 24. (Wyd. Research Project „Crises in Soviet-Type System”, studium nr 7, Index, Kolonia 1985).
- HART (Henry O.). *If East Europeans Could Vote. A Survey*. Str. 5 i 1 nlb. (Nadbitka z *Ethics and Public Policy Essay*, april 1984, wyd. Ethic and Public Policy Center, Waszyngton 1984).
- Jahrbuch der Ukrainekunde 1984*. Str. 375 i 1 nlb. (Wyd. Arbeits- und Förderungsgemeinschaft der Ukrainischen Wissenschaften, Monachium).
- KLIMA (Ivan). *Ma vesela jitra*. Wyd. II. Str. 166 i 8 nlb. (Wyd. Rozmluvy, Londyn 1985).
- TIGRID (Pavel). *Raboczije protiv proletarskovo gosudarstva. Soprotivlenije w Wostocnoj Jewropie so smierti Stalina do naszych dnjej*. Str. 173 i 3 nlb. (Wyd. Overseas Publications, Londyn 1984).
- Polskaja rewolucija*. Str. 286 i 2 nlb. (Wyd. Overseas Publications, Londyn 1985).
- FILLIPOW (Boris). *Izbrannoje*. Str. 400. (Wyd. Overseas Publications, Londyn 1984).
- NIKOLAJEW (Jewgienij). *Priedawszie Gippokrata*. Str. 324 i 4 nlb. (Wyd. Overseas Publications, Londyn 1984).
- DELAUNAY (Wadim). *Portriety w kolucej ramie*. Str. 217 i 1 nlb. (Wyd. Overseas Publications, Londyn 1984).

- SOŁDATOW (Siergiej). *Zarnicy wozroźdzenija. Opyt političeskoj borby i nrawstwiennowo proswietielstwa*. Str. 413 i 33 nlb. (Wyd. Overseas Publications, Londyn 1984).
- BESANÇON (Alain). *Russkoje proszloje i sowietskoe nastojaszczje*. Str. 387 i 1 nlb. Przeł. A. Babicz. (Wyd. Overseas Publications, Londyn 1984).
- KŁYCZKOW (Siergiej). *Kniaź mira*. Powieść. Str. 423 i 5 nlb. (Wyd. YMCA-Press, Paryż 1985).
- GIERASIMOW (A. W.). *Na lezwii s terroristami*. Str. 204 i 4 nlb. (Wyd. YMCA-Press w serii „Wsiarossijskaja memuarnaja biblioteka”, Paryż 1985).
- KUBŁANOWSKIJ (Jurij). *Ottisk*. Str. 70 i 4 nlb. (Wyd. YMCA-Press, Paryż 1985).
- HELLER (Michaił). *Maszyna i winniki. Istoriya formirowanija sowietskowo czelowieka*. Str. 335 i 1 nlb. (Wyd. Overseas Publications, Londyn 1985).
- NIVAT (Georges). *Sołżenicyn*. Przeł. Szymon Markisz przy współpracy autora. Str. 243 i 5 nlb. (Wyd. Overseas Publications, Londyn 1984).
- WINTONIAK (Ołeksza). *Cerwy ta manastyri w Ukraini w XVIII st. w opysi akademika J. A. Giuldenstiejna*. (Nadbitka z „Symbolae in honorem Volodymyri Janiw”, wyd. Universitas Libera Ucrainensis, Monachium 1983, str. 204-216).

## NOWOŚCI WYDAWNICZE

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 398 — WŁODZIMIERZ ODOJEWSKI

## ZABEZPIECZANIE ŚLADÓW

Nowa książka autora „Zasypie wszystko, zawieje...”.

Zawiera opowiadania: *List, Bóg z tobą synu, „I Duch się skupił w jedno ziarno”, Pod murem, Ku Dunynańskiemu Wzgórzu idzie las, W stepie, w ostach i w burzanie*.

Str. 128.

Cena: F. 45,00.

TOM 400 — CZESŁAW MIŁOSZ

## NIEOBJĘTA ZIEMIA

Zbiór nowych wierszy i epigramów

Str. 148.

Cena F. 55,00.

TOM 401 — JÓZEF ŁOBODOWSKI

## DWIE KSIĄŻKI

Na tom składają się dwa tomiki poezji: „Dytyramby nieprzejednane” o charakterze zdecydowanie politycznym i „Południe fauna” o charakterze całkowicie odmiennym: są to pejzaże, niekiedy mitologiczne i erotyki pisane w różnych epokach.

Str. 108.

Cena F. 45,00.

## Ci, co odeszli

### Edward Puacz

Był publicystą, księgarzem i wydawcą. Po wojnie powrócił z Londynu do kraju i działał w PPS, organizując prasę partyjną na Pomorzu. Po tzw. zjednoczeniu PPS-u z PPR-em pozostał na uboczu zmonopolizowanego życia politycznego. Bezskutecznie starał się o wyjazd do USA. Wspominał tamte czasy jako swoisty stan zawieszenia; życie na niby, karty i wyścigi, wyczekiwanie na nocny łomot do drzwi oraz monotennie ponawiane próby otrzymania paszportu. Podobno na jego teczce personalnej w wiadomym resorcie widniały słowa, zamasyżycie napisane czerwonym atramentem: „Nie puszcząć!”.

Wyjechał do USA dopiero w 1961. W Chicago założył księgarnię „Polonia Book Store”. Wkrótce stała się ona największą tego typu placówką w Ameryce. Później rozpoczęła działalność wydawnicza. Wydał między innymi *Alfabet wspomnień* Słonimskiego, zbiór felietonów Kisiela, tom esejów Wojciecha Karpińskiego oraz pamiętnik nestora PPS-u — Zygmunta Żuławskiego.

Choć przymusowy pobyt w ojczyźnie był dla niego raczej złym doświadczeniem, odwiedzał ją później przynajmniej raz w roku. Poznaliśmy się w 1976. Postanowił wydać zbiór moich opowiadań. Tak rozpoczęła się nasza znajomość.

Był człowiekiem pełnym energii, pomysłów i inicjatyw. Kipiał żywotnością i młodzieńczym zainteresowaniem dla spraw krajowych. Podziwiał rodzący się w tamtych latach niezależny ruch wydawniczy. Służył radą i pomocą doświadczonemu księgarzowi-wydawcy. W swojej księgarni w Chicago stosował formułę najbardziej otwartą i posiadał zarówno wydawnictwa emigracyjne, jak krajowe — te oficjalne, i te z drugiego obiegu.

Jego pasją była myśl polityczna, wolny obieg idei, poglądów, ich wyraz w publicystyce, czasopiśmiennictwie. Z wiernością dawnego działacza PPS tropił to, co zostało z programu jego partii. Pamiętam, z jakim podnieceniem szykował się na spotkanie z redaktorami podziemnego *Robotnika*.

Z doświadczeń lat powojennych i stalinizmu wyniósł Edward Puacz ostrożność konspiratora. Był czujny i mylił tropy ewentualnych „opiekunów”. Spotykaliśmy się zawsze w jednym miejscu. Na placyku przed pocztą — i pan Edward telefonując powiadał krótko: — No, to do zobaczenia... — na przykład — ... o 13-tej. — Miejsce było wiadome bez słów.

Był ciekawy stanu świadomości społeczeństwa, szczególnie poglądów najmłodszej, wstępującej generacji. I te długie rodaków rozmowy kończył zawsze pełnym troski pytaniem: — Co sądzicie o naszej przyszłości? — Nasza przyszłość to był dla niego Kraj.

Obraz przyszłości tego obszaru Europy posiadał raczej pesymistyczny. Z tym większym podziwem poznawał i słuchał młodych i starych ludzi, którzy nie bacząc na niebezpieczeństwo wydawali i kolportowali gazetki, ulotki, broszury, książki, plakaty, kalendarze, znaczki i kasety.

Entuzjazmował się (choć zawsze podszyte to było niepokojem człowieka srodze doświadczonego: ta jego wiara przecież w szansę demokracji parlamentarnej u nas po wojnie!) wydarzeniami ostatnich lat, wybuchem „Solidarności”, duchem oporu w stanie wojennym. Więc mimo to, że mieszkał i pracował na innym kontynencie, Ameryka znajdowała się na drugim planie jego życia. Niewiele o niej mówił. Może najwięcej o giełdzie. Skomplikowany system obniżek i zwyczaj, zakupu akcji i korzystnej ich sprzedaży miał doskonale opanowany i przeważnie nie tracił na tych operacjach. Miał intuicję i silne nerwy. Żona pana Edwarda z podziwem wspomina jego giełdowe batalie. Ruletka w Las Vegas też nie była mu obca i raz w roku odwiedzał tę metropolię hazardu. Ale to były zajęcia marginesowe. Swoisty relaks. Całą energię wkładał w pracę księgarza i wydawcy, niestrudzonego rzecznika polskich książek. Organizował wystawy i podróżował z nimi po całych Stanach, wygłaszał odczyty i innymi jeszcze sposobami popularyzował polską kulturę w opieszłych kręgach Polonii amerykańskiej.

W kraju pojawiał się nieoczekiwanie — jako konspirator bowiem nigdy nie uprzedzał o swym przybyciu. Telefon — i już się spotykamy w naszym stałym miejscu na rynku przed pocztą. Pan Edward pędzi z jednego spotkania na drugie. Rośnie plik książek, broszur i gazetek w jego torbie. Dopytuje się o wpływ idei PPS na działalność różnych grup i orientacji podziemnego ruchu myśli i czynów. Chwali wydaną w drugim obiegu książeczkę Szarego o historii PPS. Opowiada o swoich planach. Pragnie rozszerzyć działalność edytorską. Już wydał zbiór kazań ks. Popiełuszki i innych nieulekłych kapłanów.

Siedzimy przy obiedzie w „Bazyliżku”. Pan Edward studiuje kartę dań. Jest smakoszem i smuci go upadek naszej gastronomii. Właśnie rozczarował go comber z zająca. Twardy i wyschnięty. Wspomina najpyt dawniej Warszawę. Jeszcze w latach powojennych znaleźć można było ślady dawnej świetności.

Podczas tego obiadu dowiedziałem się także o barwnym, bajkowym życiu jego niedawno zmarłej w wieku 96 lat siostry, ko-



biety olśniewającej urody, która poprzez salony Petersburga dotarła za ocean do Ameryki i tam poślubiła ją multimilioner McCormick. Zafascynowało ją piękno egzotycznej przyrody i jej ogród Lotos Garden w Kalifornii stał się miejscem, w którym znalazły się kwiaty i rośliny wszystkich ciepłych stron świata; w testamentie zaś cały swój ogromny majątek zapisała na fundację dla opieki i rozwoju tego sanktuarium żywego piękna egzotycznej flory.

Pan Edward spogląda na zegarek. Śpieszy gdzieś na odległy kraniec miasta. 80 lat na karku i nie znać po nim wcale zmęczenia: oczy bystre, dowcip i pamięć świetnie dopisują. Całe życie przed nim!

To było nasze ostatnie spotkanie. Styczeń 1985. W tydzień po powrocie do Ameryki zmarł nagle rankiem w łazience.

Księgarnię i wydawnictwo prowadzi jego żona, pani Mirosława. Pragnie realizować ostatnie plany i zamiary męża. Będzie to stanowić jego dalszą obecność w naszym życiu.

Marek NOWAKOWSKI

**W A W E L**  
**PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA**  
w Niemczech Zachodnich

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwareczne.

Wydawnictwa antykwareczne krajowe i emigracyjne oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

Również sprzedaż wysyłkowa.

**KSIĘGARNIA „POLONIA”**  
2886 Milwaukee Ave., Chicago, IL 60618.

Tel.: (312) 489-2554.

POLECAMY największy wybór polskich książek i o Polsce po angielsku. Słowniki, książki do nauki angielskiego, historyczne, naukowe, religijne, pamiętniki, powieści sensacyjne, poradniki, książki kucharskie, literaturę dla dzieci i młodzieży, podręczniki.

ALBUMY, mapy, nowe nagrania polskich płyt i kaset.

Polskie karty okolicznościowe.

KUPUJEMY stare książki.

Katalog na żądanie bezpłatnie.

## Polemiki

### LIST Z POLSKI

#### I

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Stało się tak, iż za sprawą Pańskiego pisma wyszedłem na idiotę. Za ten smutny fakt winić mogę oczywiście tylko siebie. Ale *ad rem*.

Do tej pory wydawało mi się, że nawet najdalej idąca różnica poglądów nie wyklucza przyjaźni. Byłem przekonany, że można się sprzeczać, nie zaprzestając spotkań towarzyskich, pozostając wobec siebie *fair*. Teoryjka ta zresztą bliska jest mi nadal. Tyle tylko, że w praktyce miałem pecha. Przyszło mi bowiem zetrzeć się z ludźmi, którzy gentelmenami nie są.

W zeszłym roku przeczytałem w 4 numerze podziemnego pisma *Polityka polska* elukubracje Józefa Wiernego „Kościół — Kultura — konflikt”. Czytałem ów tekst przecierając oczy ze zdumienia. Potem zasiadłem do maszyny i wystukałem polemikę zatytułowaną „Józef semper fidelis”. Pan zdecydował się zamieścić mój tekst w 12 numerze *Kultury* z 1984 roku. Tuż przed ukazaniem się dwunastego numeru pańskiego pisma udałem się do Józefa Wiernego. Tak się bowiem składa, że jest on moim przyjaciелеm. Wyciągnąłem go na długi spacer i powiedziałem: „Drogi przyjacielu, w najbliższym numerze *Kultury* ukaże się moja polemika z Tobą. Jest ona bardzo ostra, a to z tej przyczyny, iż to, co napisałeś, wydaje mi się wyjątkowo głupie. Ale gdy tylko ten numer *Kultury* się ukaże, proponuję Ci przedyskutowanie obu tekstów”.

W ten właśnie sposób stałem się idiotą. Nie dość, że uprzedziłem kolegów z *Polityki polskiej* o swej polemice, to jeszcze podpisałem ją znanym im dobrze pseudonimem. Dlaczego to zrobiłem? Wydaje mi się, że chciałem być wobec nich uczciwy, chciałem wystąpić z otwartą przyłbicą. Pragnąłem uniknąć zarzutu, że strzelam zza węgła. I wyszedłem na tym jak pewien aryjczyk na mydle. Oto bowiem środowisko *Polityki polskiej* podjęło

dyskusję z moim tekstem. Myliłby się Pan jednak, gdyby Pan sądził, że dyskusja ta polegała na wymianie racji. Panowie z *Polityki polskiej* biegają po mieście (żeby tylko po jednym!) i wszystkich napotkanych znajomych informują, kto ukrywa się pod pseudonimem Adam Wrzeszcz.

Jeżeli zdecydowałem się na używanie pseudonimu, to uczyniłem tak z mniej lub bardziej racjonalnych powodów. Może być ich wiele. Podobnie jak tych, dla których mój przyjaciel używa pseudonimu Józef Wierny. Jednym z nich może być i to, że nie spieszy nam się do więzienia mokotowskiego. Być może więc jest to tchórzostwo. Ale nawet wówczas należy moją decyzję uszanować. Jeżeli ja rozpowiadam jakiego używam pseudonimu, czynię to na własną odpowiedzialność. Gdy przypadkiem natknę się na agenta, będzie to moja nieostrożność, za którą słusznie zapłacę. Co innego jednak, gdy mój pseudonim rozszyfrowywany jest przez innych. Wtedy bowiem moje ewentualne kłopoty spadają na sumienia moich niedawnych kolegów. Jeśli już mam siedzieć, to wolę siedzieć przez własną nieostrożność, a nie dlatego, że moi koledzy okazali się gówniarzami.

To jednak nie koniec atrakcji zgotowanych mi przez to środowisko. Tak się składa, że pod swoim prawdziwym nazwiskiem pracuję w pewnej szacownej i w miarę niezależnej instytucji. Pewnego dnia ideowi komiltoni redaktorów *Polityki polskiej* zażądali od mego pryncypała usunięcia mnie z pracy. Jako powód podali fakt, że w tekście z *Kultury* po chamsku atakuję Prymasa. To, że w inkryminowanym artykule nie próbuję nawet Kardynała Glempa zaczepiać, że chodzi mi o coś zupełnie innego, nie ma znaczenia. Zaskakują metody moich adwersarzy.

Demaskowanie mego pseudonimu to gówniarstwo, czy donos? Nie wiem. Trudno ludzi inteligentnych i dojrzałych pomać o gówniarstwo. Podobnie trudno wydawców podziemnego pisma oskarżać o świadome donosicielstwo. A czy próby wyrzucenia mnie z pracy mam prawo skwitować automatycznym skojarzeniem z metodami policyjnymi?

Problem, jak sądzę, jest głębszy i sięga korzeni. Ludzie skupieni wokół *Polityki polskiej* powołują się na tradycję ideową narodowej demokracji. Zgłębiają myśli Dmowskiego, o którym lubią pieszczotliwie mówić — pan Roman. Deklarują twórczy rozwój wciąż aktualnych („wiecznie żywych”) elementów idei narodowej. Są więc kimś w rodzaju endeków-rewizjonistów. Ale widać nie wszystkim udało się uchronić przed całym bagażem tradycji tego nurtu. Gdy nie wystarcza myśl Dmowskiego, sięga się po czyn niesławnej pamięci Doboszyńskiego. W dyskusji ze mną sięgnęli do bogatego arsenału endeckich chwytów erystycznych. Gdy brak argumentów merytorycznych, w ruch idą pałki i kastety.

Nie, nie zapędziłem się. Bez względu na intencje moich byłych kolegów to im właśnie będę zawdzięczał ewentualne zwolnienie z pracy. Im także podziękuję, gdy ubrany w nowy dzinsowy komplecik ubek powie: „Adam Wrzeszcz to pan, prawda?”.

Wiem, że moje zarzuty czy pretensje idą dosyć daleko. Ale żyjemy w czasach, kiedy głupota nie jest tylko głupotą. Czasami bywa przestępstwem. I o tym zapominać nie mamy prawa.

## II

Jest zima 1985 roku, zebranie kolegium redakcyjnego. Znany publicysta w zdenerwowaniu wymachuje plikiem maszynopisów. „To skandal — woła — jak redakcja mogła w ogóle dyskutować przyjęcie tekstu, w którym pozytywnie pisze się o naszym przeciwniku!”.

Gdyby ten okrzyk wydał Wiesław Rogowski na kolegium *Argumentów* nie zwracałbym Panu głowy. Byłoby to zgodne z mentalnością partyjnych publicystów — kto nie z nami, temu kopa. Ale nie stało się to w *Argumentach* i nie był to tekst o Bujaku. Wydarzenie miało miejsce w pewnej redakcji pisma katolickiego, a chodziło o esej omawiający twórczość literacką Gustawa Herlinga-Grudzińskiego. Mówca twierdził, iż nie należy pozytywnie mówić o twórczości tego pisarza, gdyż ma on czelność polemizować z linią księdza Prymasa.

Wiem kto wygłosił tę kuriozalną kwestię. Wiem, ale nie powiem. Powodowany cnotą miłości bliźniego nie lubię wytykać palcem głupoty, jeżeli akurat nie muszę. A w tym wypadku bardziej niż o człowieka, chodzi o pewne niepokojące tendencje.

Ten sam publicysta na spotkaniu z redakcją innego pisma katolickiego stwierdził, iż Kościół katolicki w Polsce rozbijany jest przez dwie siły. Było to już po procesie toruńskim, w trakcie nagonki propagandy państwowej na Kościół. Nic więc dziwnego, że zebrani ze zrozumieniem i troską pokiwali głowami. W zdumienie wprowadził ich mówca dopiero wówczas, kiedy uściślił, jakie siły miał na myśli. A więc jest to międzynarodowa masoneria powiązana z *Kulturą* oraz podziemie „Solidarności”. Jeśli *Kultura* to masoni, kim w takim razie są działacze podziemnych struktur „Solidarności”? Żydami czy cyklistami? Na razie ta pałaca kwestia nie została rozstrzygnięta. A szkoda.

Od siebie mogę publicyście katolickiemu zadedykować napisaną w 1936 roku przez Tuwima fraszkę „Wniosek”:

Mówisz mi, że masoni to sekta padalcza,  
 że po uszy ugrzęźli w obłudzie i brudzie.  
 Nie wiem... Nie znam tych panów. Lecz, że ty ich zwalczasz,  
 więc sądzę, że to dobrzy i porządni ludzie.

## III

Mógłby Pan zapytać, dlaczego połączyłem w tym tekście te dwie, zdawałoby się tak odległe sprawy. Otóż dlatego, że jestem idiotą. Wydawało mi się bowiem, że pewne metody mogą być

dziś stosowane najwyżej przez *Żołnierza wolności*, a nie przez prasę podziemną, czy publicystów katolickich. Byłem pewien, że do lamusa zawstydzających tradycji odłożyliśmy kastety, pałki, donosy oraz krzepiące wszystkich nieudaczników politycznych przekonanie o światowym spisku Żydów, masonów i kolarzy.

Nie miałem racji. Intelktualna prowincja znowu w natarciu.

Z poważaniem

Adam WRZESZCZ

## NIEŚCISŁOŚCI P. KIRKPATRICK

Roquebrune (Francja).

Szanowny Panie Redaktorze!

„Roosevelt zupełnie nie przewidywał rozwoju wypadków politycznych w Europie w okresie powojennym” — oświadczyła *Kulturze* (nr 4/451, kwiecień 1985) pani Kirkpatrick. Okazuje się, że można być ambasadorem i nie znać historii własnego kraju.

„Świat będzie podzielony na strefy wpływów... Można założyć że Rosja będzie dominowała w Europie i spodziewać się — choć to już raczej *wishful thinking* — że interwencja rosyjska nie będzie w Europie zbyt surowa (*too harsh*)”. Tak rozpoczął Roosevelt 3 września 1943 — na osiem tygodni przed Teheranem — wykład swoich planów powojennych w rozmowie z kardynałem Spellmanem, który nawiasem mówiąc, po miesiącu pobytu w Rzymie czekał pół roku na tę audiencję.

Przyszła Liga — ciągnął Roosevelt — składać się będzie wyłącznie z czterech wielkich mocarstw. Poprzednia poniosła fiasko, bo pozwolono małym Państwom interweniować. Tym razem otrzymają one zgromadzenie doradcz bez prawa decyzji czy głosowania. „Nie wątpię że łatwiej dojdę do porozumienia ze Stalinem niż Churchill, który jest zbyt idealistyczny. Ja jestem realistą. Stalin też”. „Niektórzy pragną — *although it seems improbable* — uzyskać od Stalina obietnicę że nie rozszerzy terytorium rosyjskiego poza pewną linię”. Otrzyma na pewno Finlandię, kraje bałtyckie, wschodnią część Polski i Besarabię. „Nie ma sensu sprzeciwiać się jego życzeniom, bo może je i tak spełnić”. Co więcej — „ludność wschodniej Polski marzy o rusyfikacji (*wants to become Russian*). Nie jest jednak wcale pewne, że Stalin zadowolony się tymi granicami”.

Gdy Roosevelt zgodził się z przewidywaniem kardynała, że Stalin ustanowi w Niemczech, Austrii i innych krajach reżymy komunistyczne, Spellman zapytał, czy Sprzymierzeni nie mogliby uczynić czegoś ze swej strony i poprzeć „lepsze elementy” tak jak Rosja popiera komunistów? Roosevelt oświadczył że niczego podobnego nie bierze się pod uwagę („*no such move was contemplated*”)! „Jest rzeczą prawdopodobną, że reżymy komunistyczne rozprzestrzenia się, ale co my możemy na to poradzić?”. Francja mogłaby uniknąć sowietyzacji gdyby miała rząd typu Leona Bluma (*Front Populaire*). Komuniści może zechcą go uznać.

Na pytanie czy Austria, Węgry i Chorwacja popadną „w coś w rodzaju Protektoratu”, Roosevelt odpowiedział twierdząco („*the answer was clearly yes*”). Nie należy jednak — dodał — nie doceniać wspaniałych osiągnięć gospodarczych Rosji. „Jest rzeczą oczywistą, że kraje europejskie będą musiały przeobrazić się gruntownie („*undergo tremendous changes*”) by przysto-

sować się do Rosji. Można co najwyżej pocieszać się, że dziesięć albo dwadzieścia lat wpływów europejskich uczyni Rosję mniej barbarzyńską. Zdaniem Litwinowa — dodał Roosevelt — Rosja stanie się w 40-tu procentach kapitalistyczna; a demokracje pozostaną kapitalistyczne tylko w 60-ciu procentach. Ta ewolucja „umożliwi porozumienie”.

Churchill — zdaniem Roosevelta — zgadza się na podział Niemiec, ale będą one „utrzymane pod dominacją Wielkiej Czwórki, głównie Rosji”. Nie będzie traktatu pokojowego, a „tylko po prostu dekret Wielkiej Czwórki... Jeżeli Polska będzie odtworzona (!), otrzyma Prusy Wschodnie... Plebiscyty odbędą się w Europie zachodniej i w Grecji, ale nie w Czechosłowacji.

Audiencja kardynała Spellmana u Roosevelta trwała półtorej godziny (zobacz Robert I. Gannon, *The Cardinal Spellman Story*. Wyd. Doubleday 1962. Permabook Ed. 1963, str. 284-287).

Zwróćmy uwagę że Roosevelt odkrywa swoje „realistyczne” plany powojenne w chwili gdy jeszcze nie go nie zmusza do robienia Stalinowi ustępstw: armia czerwona jeszcze oblega Smoleńsk, a Anglicy jeszcze wierzą, że zatrzyma się ona na linii Curzona zostawiając Anglosasom resztę rozprawy z Hitlerem. Nasuwa się podejrzenie, że plany te nie są kalkulacją, ale inspiracją, tj. że Roosevelt inspirował się Tocqueville'em jak Napoleon Tacytem! Aluzja do tego „prococtwa” z roku 1835, zawarta w liście Roosevelta do Kalinina z listopada 1933, gdy uznawał w imieniu Stanów Zjednoczonych Rosję Stalina, mocno za tym przemawia.

Watykański pomysł zimnej wojny — bo do tego sprowadza się „popieranie lepszych elementów” — wręcz go oburza, nie podobnego w głowie mu się nie mieści. Przewidując podział świata między Amerykę i Rosję, Tocqueville przewidywał różnicę ustrojową między tymi Imperiami, ale nie przewidywał konfliktu. Gdy Stalin w Teheranie uzna Piusa XII za większego „realistę”, Roosevelt zrozumie że przy całym „realizmie” Amerykanom nie dostaje edukacji politycznej. Bo oto Stalin przyjmuje koncepcję Churchilla proponującego oderwanie Prus od Niemiec po wsze czasy, a równocześnie granicę zachodnią tychże Prus jako granicę sowieckiej strefy okupacyjnej. Roosevelt musiał zrozumieć że Wielkich Imperiów nie będzie dzielił Atlantyk, bo będzie je dzieliła Łaba. Stalin sam narzucał Anglosasom troskę o... „lepsze elementy”! Stalin bowiem nie podzielał złudzeń Roosevelta i Churchilla, że Niemcy wystarczy rozbroić, żeby nie powróciły do sił, trzeba je zamknąć w nierozwiązalnym wewnętrznym konflikcie. Niemcy po czterdziestu latach jeszcze nie wyplątały się z tej sieci. Nawet Churchill zgodził się, że „jeżeli to potrwa ćwierć wieku, to już potrwa wiecznie”!

Zanim jednak pocieszysz się tą perspektywą, Churchill będzie cierpiął katusze z powodu niezrozumiałej dla niego zgody Roosevelta na Łabę. Trzeba stracić głowę żeby dopuścić komunizm do „serca Europy”! Roosevelt przypomni mu, że przecieć dopiero co — bo w sierpniu — na konferencji w Quebec, sam tę granicę sowiecką uznał. Pokazał mu nawet mapę rozgraniczającą strefy okupacyjne sowiecką, amerykańską i brytyjską, którą podpisał! Churchill nie zaprzeczy, ale powie, że zrobił to w rozrządzeniu, nie zdając sobie sprawy z doniosłości tego aktu. Długo jeszcze będzie traktował Łabę jako prowizorium i oczekiwał trzeciej wojny światowej, która ją zlikwiduje. Jak idealizm, to idealizm!

Wniosek: losy świata zostały rozstrzygnięte między sierpniem a listopadem 1943, a nie w lutym 1945 w Jąckie, gdzie Churchill już tylko zażyrował wyrok Roosevelta i Stalina, zresztą nie bez haniebnego poczucia, że „skazał dzielny naród polski na niewolę”. (Wszystkie fakty dotyczące Churchilla wzięte z jego *Pamiętników*).

Interesująca jest także aluzja Roosevelta do opinii Litwinowa, bo tu

zapowiada się koncepcja „convergence” czyli „ewolucjonizmu”, którą następcy Roosevelta będą pocieszać wszystkich niezadowolonych z Jałty — nawet Polaków!

Łączę wyrazy poważania

Jan ULATOWSKI

Montreal, 2 maja 1985.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Z dużym zainteresowaniem przeczytałem w kwietniowym numerze *Kultury* wywiad z panią Jeane J. Kirkpatrick. Jest on na pewno bardzo na czasie i mam nadzieję, że otrzeźwi wszystkich tych, którzy dotąd mieli złudzenia co do polityki amerykańskiej wobec Polski. Może wzbudzi również refleksje na temat skutków Jałty w Europie zachodniej, dla której na dłuższą metę ani obecny *status quo*, ani alternatywa: *pax sovietica* czy *pax americana* nie są rozwiązaniami, które mogą cieszyć się popularnością.

Pani Jeane J. Kirkpatrick, chyba świadomie, zniekształca intencje Roosevelta, który przecież z całą premedytacją dążył do podziału świata na dwie strefy wpływów. Na krótką metę Amerykanie wyciągnęli z tego olbrzymie korzyści materialne. Na dłuższą metę doprowadzili do katastrofalnej sytuacji, zagrażającej obecnie bezpośrednio egzystencji Stanów Zjednoczonych.

Biedny Roosevelt wyobrażał sobie, że taka sielanka może trwać w nieskończoność, nie rozumiejąc, że Sowiety sięgną kiedyś po władzę nad całym światem.

Jak w takiej sytuacji mają zachować się Polacy zarówno w kraju, jak i na emigracji?

Pani Kirkpatrick bardzo słusznie twierdzi, że o czynnej czy biernej postawie muszą zdecydować sami Polacy w kraju. Z tym wszyscy musimy się chyba zgodzić, choć możemy tu na emigracji wyrażać swoje opinie. *Kultura* również słusznie podkreśla, w wielu artykułach, konieczność bardziej czynnego oporu wobec antyniepodległościowej propagandy reżymu.

Emigracja polityczna ma natomiast obowiązek ubezpieczenia sprawy polskiej od strony Zachodu. Musi wszystkimi dostępnymi środkami przeciwstawiać się wszelkim dalszym próbom handlowania naszymi interesami i umacniania teherańsko-jałtańskiego dziedzictwa.

Taka prosta prawda, a taka trudna do zrozumienia dla wielu. Jeden z moich krytyków pisał mi niedawno, że „najtęższe polskie głowy” zastanawiają się nad problemem jałtańskim. Nie wiem nad czym się tu zastanawiać. Wiem natomiast, że te „tęgie głowy” od czasów przedwojennych po dzień dzisiejszy wiele szkody przyniosły sprawie polskiej. Inny krytyk, poruszając ten sam problem, poucza o taktyce działań politycznych, zapominając o nauce Piłsudskiego, że w sprawach nadrzędnych nie można robić żadnych kompromisów. Dziwne, jak niektórzy Polacy dbają bardziej o interes naszych wiarodolnych sojuszników, niż o polski.

*Kultura* zasłużyła sobie ostatnio na wyjątkowe „wyróżnienie” ze strony reżymu Jaruzelskiego. Zwykle nasi nieprzyjaciele najlepiej określają zasługi poszczególnych osób i instytucji wobec ojczyzny.

Kończę więc mój list życzeniem, by historia odnotowała, że *Kultura* jako pismo, była w czasach drugiej emigracji jednym z bastionów naszej walki o niepodległość.

Łączę wyrazy należnego szacunku

Stanisław BABIŃSKI

## KRAJ — BLOK WSCHODNI

### 7-4-85

Zmarła w Budapeszcie Gracja Kerenyi, węgierska poetka, pisarka i uczona, zasłużona tłumaczka literatury polskiej.

### 15-4-85

Krakowski tygodnik ilustrowany *Przekrój* obchodził 40-lecie swego istnienia. *Przekrój* jest niewątpliwie jednym z najlepszych pism w tej kategorii.

### 16-4-85

Idylla. *Słowo Powszechne* zamieszcza wywiad z radcą ambasady sowieckiej p. Niewiakiem, który m.in. oświadczył: „Rozległą pracę na rzecz upowszechnienia polskiej kultury w Związku Sowieckim prowadzi Towarzystwo Przyjaźni Radziecko-Polskiej. W pracy Towarzystwa biorą udział także obywatele sowieccy pochodzenia polskiego. Np. w Republice Litewskiej w 140 szkołach z polskim językiem wykładowym uczy się młodzież polskiego pochodzenia. W każdej z tych szkół istnieją zespoły amatorskie upowszechniające polską muzykę, poezję i teatr. Polski zespół Wilia z Wilna znany jest w wielu miastach Związku Sowieckiego. Dużą popularnością we Lwowie cieszy się polski teatr wystawiający klasyczne i współczesne polskie dramaty. Również audycje radia wileńskiego, nadawane w języku polskim, szeroko upowszechniają polską kulturę. Gazeta *Czerwony Sztandar* wychodzi w nakładzie 50 tys. egzemplarzy i podejmuje problemy interesujące Polaków zamieszkujących w Związku Sowieckim”.

### 17-4-85

Staraniem warszawskiego oddziału Z.L.P. została stworzona Warszawska Wszechnica Literatury, której celem jest prezentowanie literatów i inicjowanie oraz pobudzanie dyskusji na temat ważnych problemów filozoficznych, etycznych i moralnych. Przewodniczącym został Andrzej Zaniewski; głównymi działaczami Wszechnicy są pisarze związani z Instytutem Wydawniczym PAX.

### 20-4-85

W Warszawie obchodzono uroczyste 75-lecie urodzin Jana Dobraczyńskiego. W czasie 50-letniej pracy literackiej Dobraczyński napisał 71 książek, z czego 55 tytułów ukazało się w Instytucie Wydawniczym PAX. Jan Dobraczyński jest jednocześnie przewodniczącym PRON'u.

### 3-5-85

Jedną z ulic w Mińsku, stolicy Białorusi, nazwano imieniem Bolesława Bieruta, zapewne z powodu jego działalności w czasie okupacji niemieckiej, gdy pracował w zarządzie miejskim jako agent NKWD. Na temat jego działalności w tym okresie opublikujemy w jednym z najbliższych numerów *Zeszytów Historycznych* szereg materiałów.

### 5-5-85

W Warszawie zakończył się 7 kongres ZBOWiD-u. Prezesem Rady Naczelnej został Henryk Jabłoński, a tytuł prezesa honorowego Rady nadano marszałkowi Michałowi Rola-Zymierskiemu. Prezesem Zarządu Głównego mianowano generała Józefa Kamińskiego.

6-5-85

Działacze Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego w PRL wystąpili z wnioskiem o nadanie generałowi Jaruzelskiemu tytułu Marszałka Polski. Wniosek ten spotkał się z szerokim poparciem „przedstawicieli wszystkich warstw społecznych” i był intensywnie propagowany przez agencje prasowe, radio i telewizję. Generał Jaruzelski — z wrodzoną mu skromnością — odrzucił propozycję. Mamy jednak nadzieję, że ulegnie w końcu naciskowi społecznemu. Jeszcze jeden sowiecki marszałek!

## ZACHÓD — EMIGRACJA

10-2-85

Wybitna filozofka, Teresa Tymieniecka, prowadziła seminarium „O sensie moralnym” na Universidad Femenina w Limie (Peru) i otrzymała tytuł profesora *honoris causa* tegoż uniwersytetu.

27-3-85

Polski Ośrodek Międzynarodowego Instytutu Teatralnego (Centre Polonais de l'Institut International du Théâtre — ITI) przyznał prof. Tymonowi Terleckiemu nagrodę „Teatralna Książka Roku 1984” za zbiór esejów „Rzeczy teatralne” — „w uznaniu ich wysokiej wartości dla polskiej wiedzy o teatrze”.

20-4-85

Zmarł w Londynie w wieku 93 lat kmdr. Władysław Kajetan Nadratowski, oficer Marynarki Wojennej, wieloletni prezes Stowarzyszenia Marynarki Wojennej. ■ Zmarł w Londynie płk Henryk Józef Picheta, żołnierz I Brygady Legionów, w czasie ostatniej wojny oficer Brygady Strzelców Karpackich.

26-4-85

Zmarł w Londynie w wieku 75 lat ppłk pilot Roman Czerniawski, który odegrał dużą rolę w czasie ostatniej wojny w przygotowaniu inwazji na kontynent europejski. Był założycielem i wieloletnim prezesem Stowarzyszenia Lotników Polskich.

4-5-85

W Londynie odwołano decyzję zlikwidowania miesięcznika *Orzeł Biały*. Pismo zostanie wznowione w czerwcu bież. roku jako organ trzech organizacji: S.P.K., POSK-u i Zjednoczenia Polskiego w Wielkiej Brytanii.

5-5-85

Z redakcji tygodnika *Przegląd katolicki*, organu Archidiecezji Warszawskiej, usunięto świeckich współpracowników, przede wszystkim związanych z „Solidarnością” czy też Ruchem Młodej Polski (Al. Hall, Piłka). Tygodnik będzie poświęcony wyłącznie tematyce religijno-teologicznej. ■ W związku z różnymi inicjatywami i zabiegami o stworzenie w przyszłym sejmie klubu posłów katolickich, Episkopat zaznacza, że przed wyborami nie będzie popierał jakichkolwiek ugrupowań czy indywidualnych kandydatów. ■ Docent Bronisław Gieremek otrzymał wymówienie pracy z Polskiej Akademii Nauk ponieważ „jego działalność była niezgodna z celami i statusem PAN oraz szkodziła interesom państwa”. Przeciwno tej decyzji zaprotestowała Rada Naukowa Instytutu Historii PAN, ale sekretarz Akademii stwierdził, że nie widzi możliwości zmienienia tej decyzji. ■ J. Łoziński, dyrektor Wydawnictw Szkolnych, oświadczył, że w nowym roku szkolnym zabraknie około 5-ciu milionów podręczników. Największe trudności będą mieli uczniowie klas 7-ej i 8-ej.

6-5-85

Fundacja im. Kościelskich w Genewie przyznała swą tegoroczną nagrodę literacką Jerzemu Jarzębskiemu za dzieło krytyczne pt. „Gra w Gombrowicza”.

11-5-85

W Londynie odbyło się doroczne walne zebranie Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie. Ogłoszono nagrody Związku. Za całokształt twórczości wyróżniono Martę Reszczyńską-Stypińską z Londynu, nagrodę za najlepszą książkę 1984 roku otrzymał Jan Erdman z USA za „Drogę do Ostrej Bramy”. Ponadto wyróżniono trójkę młodych poetów ze Stanów Zjednoczonych: Edwarda Buszę, Annę Frajllich i Leszka Zielińskiego. Prezesem Związku, po raz 10-ty, został Józef Garliński.

## KRONIKA FRANCUSKA

*L'Alternative*, ciekawe pismo francuskie poświęcone problemom Europy Wschodniej, przestało się ukazywać. Redakcja zawiesiła działalność, zmuszona do tego problemami natury finansowej i kadrowej, a także problemami związanymi z samą koncepcją pisma. Zdaniem redakcji w aktualnej sytuacji należałoby zasadniczo przeformułować pismo, z informacyjnego na bardziej analityczne. Ostatni, 31-szy numer (styczeń-luty 1985) dwumiesięcznika poświęcony jest głównie sytuacji w Afganistanie. Znajdujemy w nim również dwa artykuły poświęcone losom mniejszości narodowych w Polsce i wzajemnym stosunkom między Polakami, Białorusinami, Litwinami i Ukraincami. Dyrektorem pisma był François Maspero, publikowali w nim wielokrotnie autorzy polscy, m.in. Krzysztof Pomian i Aleksander Smolar. ■ W kwietniu ukazał się pierwszy numer francuskiego miesięcznika zatytułowanego *Est Diagonale Ouest*. Jego dyrektorem jest Françoise Bałuka, a redaktorem naczelnym Patrick Laz. Nowe pismo ma zamiar prezentować (jak głosi podtytuł) teksty i dokumenty robotników i działaczy wolnościowych w krajach Wschodu. Większość materiałów zamieszczonych w pierwszym numerze stanowią przedruki dokumentów polskich Komitetów Obrony Prarządności oraz tłumaczenia artykułów z niezależnych pism krajowych na temat stanu i przestrzegania praw w Polsce. ■ 25 marca br. zmarł w Paryżu Janusz Sleszyński (68 lat), jeden z czołowych działaczy Międzynarodówki Chrześcijańsko-Demokratycznej. Od kilku lat był przedstawicielem Światowej Unii Chrześcijańskich Demokratów przy agendach ONZ w Genewie. ■ Paryski ośrodek księży Pallotynów zorganizował trzydniowe rekolekcje wielkanocne. Prowadził je ks. Józef Tischner z Krakowa. Również w kwietniu br. ojcowie Pallotyni zorganizowali dwa spotkania: wieczór poświęcony twórczości Aleksandra Wata oraz odczyt Aleksandry Kwiatkowskiej-Viatteau pt. „Refleksje wokół mojej książki o Powstaniu Warszawskim”. ■ Bogumił Włodarski, polski wiolonczelista, członek orkiestry Łódzkiej Filharmonii, koncertującej na festiwalu w Lourdes pozostał we Francji, prosząc o azyl polityczny. ■ Dochód z koncertu kompozytora i pianisty — Jean Pressiniera (członek polskiego Towarzystwa Historyczno-Literackiego) został w całości przeznaczony na stypendia przyznawane polskim studentom we Francji. Koncert odbył się w paryskiej sali Hôtel Saint-Aignan. ■ Jury powołanego przez Radę Towarzystwa Historyczno-Literackiego funduszu im. Stanisława Lama przyznało stypendia czterem osobom z kraju, pracującym lub studiującym historię literatury polskiej. Kandydowało 36 osób. ■ W końcu kwietnia odbyło się doroczne walne zebranie członków Towarzystwa Historyczno-Literackiego. Na temat działalności Towarzystwa i Biblioteki Polskiej w ciągu ostatniego roku mówili: prof. Euge-

niesz Zaleski — prezes THL, dr Jerzy Mond — sekretarz i Anne-Marie Rozwadowska — skarbnik. Referenci zwrócili m.in. uwagę na trudności, związane z wielkimi pracami remontowymi w Bibliotece. ■ W związku ze świętem 1 Maja paryski Komitet Koordynacyjny NSZZ „Solidarność” oraz wydawnictwo „Spotkania” przeprowadziły wielką akcję plakatową. W metrze i na ulicach Paryża rozlepiono ponad 20 tysięcy plakatów przypominających aktualną sytuację w Polsce. Plakat projektował Przemysław Zawadzki. Miesiąc wcześniej działacze i sympatycy Komitetu Solidarności przeprowadzili podobną akcję w związku z aresztowaniami w Polsce. ■ Działacze francuskiego Komitetu „Solidarité avec Solidarność” usiłowali w dniu 1 maja przybić na budynkach ambasady PRL i Chile w tym samym momencie tablice zmieniające ich nazwę: na ambasadzie PRL — tablicę z napisem Chile, na ambasadzie chilijskiej — z napisem — ambasada PRL. Zamiar udaremniła francuska policja. ■ Lionel Jospin, pierwszy sekretarz francuskiej Partii Socjalistycznej, przyjął 2 maja delegację Biura Zagranicznego NSZZ „Solidarność” na czele z jego kierownikiem Jerzym Milewskim. W spotkaniu uczestniczyli również kierownik paryskiego Komitetu Solidarności — Piotr Chruszczyński oraz Krzysztof Pomian — doradca Komitetu. Zarząd Krajowy Partii Socjalistycznej ogłosił komunikat, w którym zadeklarował poparcie dla walki o wolny ruch związkowy w Polsce. Lionel Jospin wyraził w szczególności zaniepokojenie w związku ze zbliżającym się procesem przywódców Solidarności. ■ 7 maja francuskie ministerstwo spraw zagranicznych podało wiadomość, że w najbliższym czasie zostaną wznowione polityczne konsultacje między Francją a PRL na szczeblu wyższych funkcjonariuszy obu ministerstw. Stosunki polityczne pomiędzy Francją a PRL były praktycznie zawieszane od 13 grudnia 1981 roku. Od chwili wprowadzenia stanu wojennego — kiedy to odwołano wizytę w Polsce ówczesnego premiera Francji — Pierre Mauroy — doszło jedynie do wymiany wizyt delegacji parlamentarzystów (tzn. delegacji z parlamentu francuskiego, zaś z drugiej strony delegacji z Sejmu PRL). ■ Podczas tradycyjnego zebrania Towarzystwa Polsko-Ukraińskiego w Bibliotece Symona Petlury w Paryżu ustępujący prezes Władysław Żeleński złożył sprawozdanie z dwuletniej działalności. Prezesem nowego zarządu został wybrany na okres kolejnych dwóch lat Ukrainiec — Aristid Wyrsta, a wiceprezesem Polak — ks. Marceł Stopa. ■ Przy wejściu do Domu Stowarzyszenia Polskich Kombatantów (20, rue Legendre, 75017 Paris) odślonięto pamiątkową tablicę przypominającą, że Dom S.P.K. nosi imię gen. Władysława Andersa. ■ Biskup Szczepan Wesoły, delegat Prymasa Polski do spraw emigracji, dokonał poświęcenia Domu św. Antoniego (13, rue Daubenton, 75005 Paris). Dom ten został wynajęty przez Komitet Pomocy Polakom we Francji, znajdują się w nim tanie (lub nawet darmowe) miejsca noclegowe, wydawane są niedrogie posiłki, prowadzone są kursy języka francuskiego. Dom św. Antoniego został otwarty we wrześniu 1984 roku. ■ Wspólnota Polsko-Francuska z udziałem Towarzystwa Historyczno-Literackiego organizuje Czwarty Uniwersytet Letni Polonii Francuskiej (od 2 do 6 września). Tematem ogólnym będzie: „Wielokulturowość a społeczność polsko-francuska”. Adres kontaktowy: Janusz Deryng, secrétaire général C.F.P., 61, rue de la Monnaie, 59800 Lille. W gmachu Biblioteki Polskiej w czasie trwania tegorocznego Uniwersytetu odbędzie się pierwsza wystawa twórczości artystycznej polsko-francuskiej, której celem jest prezentacja twórczości Polonii i niedawnych przybyszów z Polski. Organizatorzy proszą wszystkich zainteresowanych wystawą o skontaktowanie się z komitetem organizacyjnym: C.F.P. c/o M<sup>me</sup> Elisabeth Woźnica, 25/12 rue Henri Dunant, 59000 Lille. ■ Na początku maja w paryskiej siedzibie „Legii Amerykańskiej” odbył się wielki kiermasz książek polskich i francuskich traktujących o sprawach polskich. Kilkunastu pisarzy i tłumaczy prezentowało i podpisywało swoje książki, wśród nich m.in.: Zofia

Romanowiczowa, Michał Borwicz, Tadeusz Wyrwa, Aleksandra Kwiatkowska-Viatteau, Arthur Conte. Zaprezentowano kilkadziesiąt tytułów, kiermasz został zorganizowany przez powstałe niedawno stowarzyszenie Francuzów Polskiego Pochodzenia. ■ W związku z 40-tą rocznicą śmierci Jerzego Pączkowskiego, poety i satyryka, Towarzystwo Historyczno-Literackie zorganizowało wieczór wspomnień. Wiersze poety i wspomnienia o nim recytowali Leszek Talko i Jan Winczakiewicz.

W. SIKORA

## KRONIKA KANADYJSKA

Z inicjatywy Polish Canadian Action Group w Toronto raz w miesiącu, w niedzielę najbliższą dacie 13 danego miesiąca, proboszcz parafii ks. Edward Eweczyński odprawia msze św. za Ojczyznę. Po nabożeństwie odbywają się w sali parafialnej spotkania towarzyskie urozmaicone prelekcjami, dyskusją, itp. Z ogłoszonego sprawozdania wynika, że zbiórka w dniu 10 marca br. przyniosła \$ c. 420,00 (ofiary do puszek) i \$ c. 233,00 (sprzedaż w bufecie). Cały ten dochód przeznaczony jest na pomoc dla podziemnej „Solidarności” w Kraju. ■ Orzeczenie Sądu Najwyższego w sprawie obywatela indyjskiego z grupy Szik (Shik) ma zasadnicze znaczenie dla ubiegających się o status uchodźcy politycznego. Sąd orzekł, że osoba która znalazła się w Kanadzie jako turysta może ubiegać się o prawo pozostania jako uchodźca, jeśli uzna że zmiany zasze w jej ojczyźnie naraziłyby ją na aresztowanie lub inne formy prześladowania. Przepisy dotyczące uchodźców zostały sformułowane w konwencji międzynarodowej, ale poszczególne państwa interpretują je i stosują w różny sposób, nie naruszając ram ogólnych. Kanada znacznie zliberalizowała swoją interpretację w odniesieniu do uchodźców z Polski w 1981 roku. ■ Według oficjalnych danych obywatelstwo kanadyjskie przyznano w 1984 roku 107.393 imigrantom. Niemal 1/3 — dokładnie 34.083 — osiedliła się w Toronto i najbliższej okolicy. Wśród nowych obywateli kanadyjskich jest pewna ilość Polaków przybyłych w okresie 1979-1981 (według nowej ustawy legalny imigrant może uzyskać obywatelstwo po upływie 3 lat).

B.H.

## TŁUMACZ PRZYSIĘGŁY

JANUSZ BRES

15, rue de Montreux,  
67380 Strasbourg-Lingolsheim.

Tel.: (88) 78-10-06.

tłumaczy z języka polskiego na język francuski  
i z języka francuskiego na język polski.

TARYFY: — metryki urodzenia, ślubu, prawa jazdy itp. — F. 45,00,  
— inne dokumenty jak świadectwa, dyplomy itp. —  
F. 40,00 za 100 słów.

Tłumaczenia uznane są na terenie całej Francji i wykonywane są  
w terminie 2-3 dni maximum z przesyłką do adresata.

## Listy do Redakcji

Paryż, 14 maja 1985.

Drogi Panie Redaktorze,

Poswięcona *Kulturze* część cyklu artykułów Krzysztofa Majchrowskiego „Zmierzać Bogów” (*Życie Literackie*, kwiecień 1985) jest stekiem bzdur, godnym niezrównanej dotychczas broszurki Fillera. W okresie stalinowskim obóz komunistyczny był jednak zaryglowany dość szczelnie, by oficyny ubecnie mogły się nie troszczyć zbyt o prawdopodobieństwo swych afabulacji (mimo że w Polsce nie brakło nawet wówczas ludzi lepiej w tych sprawach zorientowanych). W roku 1985 podobna bez troska wygląda na sabotaż i Krzysztof Majchrowski jest może ukrytym przyjacielem *Kultury*, pragnącym poinformować szerszą publiczność o wadze i zasługach Pańskiego pisma.

Nie mogąc jednak wnikać w jego motywacje, ograniczę się tu do ustępu przedstawiającego mnie jako kierownika „szeroko zakrojonej akcji zwaney Kongres Wolności Kultury”, której celem — cytuję znów Majchrowskiego — było rzekomo „przyciągnięcie polityczne i finansowanie intelektualistów z krajów socjalistycznych”.

Otóż jedynym celem Kongresu Wolności Kultury, założonego w Berlinie w roku 1950 przez ludzi pokroju Bertranda Russella, Arthura Koestlera, Ignazia Silone, Willy Brandta, było stworzenie wspólnej platformy dla zachodnich intelektualistów antytotalitytnych, pragnących prowadzić równoległą walkę ideową przeciw stalinowcom i ich towarzyszom podróży z jednej, a faszystowskim dyktaturom z drugiej strony. Platforma ta stawiała się niezbędną w okresie, w którym komuniści oskarżali każdego lewicowca o faszyzm i szpiegostwo, w Stanach Zjednoczonych zaś senator Mac Carthy w każdym lewicowcu widział komunistę. Działalność Kongresu ograniczała się do finansowania pism tej miary co *Preuves*, *Encounter*, *Der Monat*, *Tempo Presente*, *Cuadernos*, *Mundo Nuevo* oraz serii seminariów międzynarodowych, których byłam od roku 1965 dyrektorem. Nazwiska ludzi, którzy skupili się z biegiem lat wokół Kongresu mówią same za siebie: Robert Oppenheimer, Hannah Arendt, Raymond Aron, Nicola Chiaromonte, Stephen Spender, Daniel Bell, Salvador de Madariaga, Julian Gorkin, Lionel Trilling.

W szkicu o *Kulturze*, ogłoszonym w miesięczniku francuskim *Le Débat* (luty 1981), a później w *Aneksie* (nr 24/25, 1981) i włączonym do wydanego w roku 1982 zbioru mych tekstów pt. „Zbiegi okoliczności”, przypomniałem, że wielokrotnie starałem się bezskutecznie uzyskać pomoc Kongresu dla *Kultury*.

„Polonocentryczne” twierdzenie Artura Sandauera, że Kongres Wolności Kultury zajmował się „wodzeniem intelektualistów na pokuszenie” wyśmiałem już w artykule pt. „Do Artura Sandauera bez taryfy ulgowej” (*Kultura* nr 10/433, październik 1983). Przypisanie zaś przez Majchrowskiego Kongresowi akcji w rodzaju takiej, jaką opisał Tadeusz Nowakowski w swym

fikcyjnym opowiadaniu pt. „Piknik Wolności” jest nonsensem kompromitującym nie tylko autora, ale również instancje dostarczające mu informacji do jego wagnerowskiego cyklu.

Dodaję, że przynajmniej dwaj historycy prądów intelektualnych w świecie zachodnim pracują obecnie nad historią Kongresu Wolności Kultury i że udostępnił im zostały archiwa Kongresu powierzone uniwersytetowi w Chicago.

Łączę wyrazy szacunku i serdeczne pozdrowienia

K. A. JELEŃSKI

Moi Drodzy z paryskiej *Kultury!*

Leży przede mną książka W. Karpińskiego pt. „Amerykańskie cienie”. Przeczytawszy ją doszedłem do następujących wniosków.

Ponieważ nie mam tzw. dościa do różnych oficyn tajnych w Polsce, piszę do Was. Wy na pewno macie jakieś kontakty z tzw. oficynami. Macie również kontakty z pisarzami, którzy dla tych oficyn piszą, a przebywają w kraju lub za granicą.

Czasem mi się trafi jakaś książka pisana w kraju lub wydana przez Was.

Otóż doszedłem do ogólnego wniosku, że książki te bez przerwy pławią się w historii Polski lat 1914-1939, potem 1939-1945. Opisuje się tam do upadłego, jak nas alianci załatwili w 1945, o Katyniu, o terrorze UB, o tzw. wyborach itp. Oczywiście dla mnie, człowieka, który to do pewnego stopnia widział, czy słyszał, książki takie stanowią uzupełnienie tej historii.

Nie mówię, że książki te są niepotrzebne. Młodzi ludzie mają o tej „światlanej przeszłości” mętne pojęcie, bo z jakich źródeł mogli się dowiedzieć o Golgocie narodu polskiego? Książki Iwazkiewicza, Broniewskiego lub Babajewa o tym nie pisały.

Stwierdziłem, że pisarzy, których drukujecie, jest wielu. Pan Kołakowski nawet napisał — jako ekonomista — prawdziwy „Kapitał” Marksa. Tylko pytam się, po co? Po jakiego diabła „Kapitał”, kiedy praktyka wykazuje opłakane wyniki. Podobnie jakby studiował alchemię, jak otrzymać złoto z ołowiu. Wiadomo, że nic z tego nie wyjdzie. Może ten Marks nie był taki głupi, ale wiele rzeczy nie przewidział. Np. że centralna gospodarka, oczywiście w państwie rządzonej przez rząd robotniczo-chłopski, będzie potrzebowała ogromnego aparatu kontroli. A cóż to ta kontrola? To moloch biurokracji, który pożre wszystko.

Ale nie tu miejsce na dyskusje o Marksie. My byśmy się cieszyli, aby przy Waszej pomocy zabrali głos ekonomiści. Nie tacy, którzy podają nam prawdziwy „Kapitał”. My chcemy, aby zaczęli myśleć o przyszłym kształcie gospodarki polskiej. Przecież Polska Ludowa nie będzie wieczna, ale Polska jako taka będzie wieczna. Tzw. władza ludowa kiedyś pęknie, a co potem?

Kiedy Polska była pod okupacją niemiecką, byli ludzie, którzy opracowywali program odbudowy Polski po wojnie. Był to program odbudowy, nowej administracji i w ogóle program nowej Polski. Układali te plany konspiracyjnie, szkolili tajnie kadry. Przecież Polska miała przybrać nowy kształt gospodarczy. Wiedzieli, że wojna nie będzie trwała wiecznie.

Czy ktoś przygotowuje teraz jakiś program gospodarczy dla Polski niepodległej, która na pewno kiedyś będzie? Zniknie kiedyś tzw. gospodarka uspołeczniona. Jak pokierować gospodarką w wolnym kraju? Jak wyobrażamy sobie formę własności, gospodarki, zjednoczeń czy zrzeszeń? Bo jak rząd kieruje tą gospodarką, to już wiemy.

Reżym przejął gospodarkę od okupanta niemieckiego. Nawet nie musiał wyrzynać tzw. kapitalistów, gdyż to za nich zrobił Hitler.

Kto będzie właścicielem PGR-ów? Na pewno nie Potocey lub Sobansey. Czy właścicielami będą masowi akcjonariusze? Kto będzie właścicielem „Ursusa”? Czy również drobni akcjonariusze z wybieralną radą nadzorczą? Kto ma tym rządzić? Kto ma tym kierować? Jak dzielić dochody? Aby tylko jakiś nowy rząd, nawet prawdziwie demokratyczny z prawdziwego wyboru, nie brał się do gospodarki. Mimo że będzie najlepszy, to gospodarkę położy na łopatki. Mamy tego przykłady z krajów zachodnich. Jak się np. Labour Party wzięła za upaństwowienie stoczni, to nawet robotnicy stanęli okoniem. Bo rząd do takich rzeczy angażuje rzesze darmozjadów-biurokratów, a ci już pochłonię i rozwalą do reszty i będzie zakład tzw. nierepentowny.

Rządy narodowe naszych przegranych powstań, łącznie z podziemnym rządem w ostatniej wojnie, miały jednak jakieś plany reform gospodarczych i społecznych na wypadek wygrania wojny. Tylko że wszystko diabli wzięli łącznie z rokiem 1945. Czy ma nastąpić pustka, czy prawo gospodarczej dżungli, gdzie będzie rządziło prawo pięści i colta, jak to było na początku w Stanach Zjednoczonych?

Kto ma się zająć teoretycznym opracowaniem zarysu przyszłej gospodarki w nowej postaci? A może ktoś o tym myśli? Ale wątpię, nie zauważamy tego. Spośród ekonomistów wykształconych w Polsce Ludowej może jest kilku zdrowo myślących. Większość to ludzie wykształceni w ekonomice socjalistycznej, nauczeni, jak się naukowo doprowadza gospodarkę do ruiny.

Tak, ruina oparta na zasadach naukowych. Ekonomia socjalistyczna jako nauka została wymyślona w Rosji, aby satelici mogli się naukowo wykańczać gospodarczo, a po drugiej nauka jest tak skonstruowana, aby służyła „wielkiemu bratu”. Wszystko się zgadza „naukowo”, tylko w kasie ciągle brak pieniędzy. Nawet tzw. rubel transferowy jest poparty nauką. Przecież było przez 40 lat pranie ekonomicznych mózgów.

Kto napisze konstytucję dla wolnej Polski? Na jakich wzorach ma być oparta? Czy na konstytucji USA, Francji? Aby była sprawiedliwa i nie pozwoliła rządzić jednej i tej samej ekipie lub jednostce. Historia daje przykłady, że gorący, prawdziwi patrioci — jak Bolivar w Ameryce Płd., Juarez w Meksyku — kiedy po zwycięstwie powierzono im władzę, stawali się dyktatorami nie liczącymi się z niczym. Niektórzy umarli w pogardzie narodów, z których się wywodzili, zostali nawet wypędzeni z kraju. Bo władza to narkotyk, najlepsza jednostka ludzka może jej ulec. Nie można do takich możliwości dopuścić. W USA prezydent, nawet najlepszy, nie może być wybrany więcej jak na dwie kadencje, po prostu nie wolno mu zgłaszać więcej kandydatury.

Władza ma być zaszczytem, a nie źródłem utrzymania. Czy administracja ma służyć obywatelowi, czy być macką ośmiornicy władzy? Teraz w Polsce małeńki urzędniczek za okienkiem może zdecydować, czy będziesz miał mieszkanie albo pracę. Może cię zniszczyć, mimo, że są przepisy na korzyść obywatela. Bo on ma cholerne urzędnicze sumienie i jego tępą decyzją obala wszelkie przepisy. Jest bezkarny. Napisanie na niego słusznej skargi powoduje pianę na ustach jego szefa. Obywatel atakuje władzę. Zgroza, bunt! To nie Germanie zniszczyli Imperium Rzymskie, to zniszczyła ich ta wspaniała biurokracja. Germanie zadali tylko cios z litości.

Prześcą się już pławić w tej naszej nieszczęsnej historii! Komuniści mówią, że Zachód chce zniszczyć socjalizm. Bujda! Zachód życzy socjalizmowi długich lat spokojnego życia. Bo Zachód wie, że niedołączna gospodarka socjalistyczna nie jest w stanie zagrozić na rynkach zbytu.

Gorbaczow straszy reformami gospodarczymi w Rosji. Bujda. No, ale niech mu coś odbije i wyróżnie tysiące opasłych przewodniczących kołchozów

i odda chłopom ziemię. Rosja zalewa zbożem rynki świata. Farmer amerykański wpada w panikę, komu sprzeda zboże. Rynek w Rosji odpadł. Co się stanie z dobrobytem Zachodu? Bo dobrobyt Zachodu oparty jest na niedołącznym socjalizmie.

Kto wie, może w przyszłości rozwinięty Zachód będzie zwalczał rozwijającą się Polskę na zdrowych zasadach gospodarczych. W businessie nie ma sentymentów. To do pewnego stopnia fantazja z mojej strony. Ale i to w planach gospodarczych na przyszłość należy brać pod uwagę.

Pobudźcie we własnych kręgach ludzi, z którymi macie kontakt, aby ruszyli ten problem. Rozpowszechnili, nauczyli pewnych zasad gospodarki. Trudno napisać zaraz receptę na wszystko. Można ją zmodyfikować kiedy nie pomaga, ale baza wyjściowa być musi.

Pozdrowia Was

MORSKI DON KICHOT

Hagen, RFN, 21 kwietnia 1985.

Szanowny Panie Redaktorze,

P. Chilecki w „Kronice niemieckiej” (*Kultura* nr 4/451, str. 106) poinformował, że zmarły w Hagen profesor Kamiński „ogłosił w PRL szereg tendencyjnych prac naukowych”. Jednakże Czytelnik *Kultury* nie jest w stanie dociec — już to ze względu na niedostępność publikacji krajowych — czy p. Chilecki miał na myśli „Stanowisko Niemiec na Pierwszej Konferencji Haskiej” (1899), Instytut Zachodni, 1962, 412 str.; „*Militaryzm niemiecki. Główne zagadnienia społeczne i polityczne*” MON, 1962, 490 str.; „*Neohitlerizm. Ideologia, propaganda, formy działania i warunki rozwoju ruchu neohitlerowskiego*”, Wyd. Poznańskie, 1962, 223 str.; „*Hitlerowskie obozy koncentracyjne i ośrodki masowej zagłady w polityce imperializmu niemieckiego*”, Wyd. Poznańskie, 1964, 357 str.; „*Śladami Hakaty. Rola 'Ziomkostw' w polityce Niemieckiej Republiki Federalnej*”, Książka i Wiedza, 1966, 528 str.; „*Faszyzm*”, Wiedza Powszechna, 1971, 248 str.; — czy też może skonfiskowaną przez cenzurę PRL pracę: „*Dookoła kolczastych drutów. Zagadnienia poznawcze, polityczne, społeczne i propagandowe hitlerowskich obozów koncentracyjnych*”, 35 stron, odbitka szczerkowa; — czy też może te, które nigdy nie ukazały się drukiem...

Prace publikowane w PRL wyszły w małych nakładach, skromnie wydane, przemilczane przez oficjalną krytykę, pomijane w zestawieniach bibliograficznych reżymowych naukowców. Ponadto Zmarły nie tylko „zdobył” doktorat, lecz także habilitował się, a od roku 1973 był profesorem (*visiting*) na wielu zachodniemieckich uniwersytetach, a nie zajmował się przebywaniem w RFN.

Nie należał nigdy do żadnej partii, ani kościoła, nie musiał zmieniać poglądów, zajmował się pracą naukową.

Z wyrazami szacunku

Halina ZARYCHTA-KAMIŃSKA

Paryż, 2 maja 1985.

Panie Redaktorze,

Jestem stałą czytelniczką *Kultury*, a zwłaszcza z uwagą śledzę, to co w ostatnich latach pisze się w niej o więźniach politycznych w Polsce.



Wydaje mi się, że im więcej będzie informacji o sytuacji tych więźniów, tym więcej będzie im można pomóc, zwłaszcza tym o mniej znanych nazwiskach — pomocą przecież będzie chociażby to, że środki wobec nich stosowane, często pozaprawne, nie będą tajemnicą.

Tak się składa, że posiadam trochę informacji na ten temat i chciałabym podzielić się nimi z Panem i Pańskimi czytelnikami.

Posłużę się przykładem najlepiej mi znanym: historią trzech pobytów w Centralnym Areszcie Śledczym przy ulicy Rakowieckiej w Warszawie Tadeusza Wypycha, byłego członka redakcji „NTO” — miesięcznika Regionu Mazowsze.

Pierwszy pobyt T. Wypycha w tym areszcie (warto dodać, że jest to areszt najlepszy — na prowincji bywa gorzej) trwał 11 miesięcy (od sierpnia 1982 do lipca 1983) i zakończył się nie wyrokiem, ale amnestią. Śledztwo trwało niewiele ponad 3 miesiące — pozostałe 8 było czekaniem na decyzje polityczne a nie sądowe.

Podobnie było za drugim pobycem, który trwał 6 miesięcy (luty 1984 - lipiec 1984): śledztwo zakończyło się po czterech próbach przesłuchań i — z braku wystarczających dowodów winy — cała reszta polegała na czekaniu na amnestię.

Za trzecim pobycem, kiedy sprawę wziął w swoje ręce prokurator Artur Kassyk z Prokuratury Wojewódzkiej, T. Wypych został umieszczony w pawilonie dla przestępców kryminalnych, w celi o powierzchni 7 m<sup>2</sup> i wysokości 2,20 m w towarzystwie sześciu a chwilami siedmiu więźniów. Spać musieli na podłodze z nogami wcisniętymi pod sedes, a głową pod kaloryfer, a i tak nie było dość miejsca żeby się wyprostować. W takiej ciasnocie było też przeraźliwie duszno, a otwarcie okna przy 20-stopniowym mrozie kończyło się przeziębieniem wszystkich aresztowanych. Wprawdzie na Rakowieckiej jest szpital więzienny i lekarze różnych specjalności, co zawsze jest argumentem w rozmowach z rodzinami aresztowanych, ale o widzenie z lekarzem jest bardzo trudno, nawet przy wysokiej gorączce, a zalecenie pozostania w łóżku jest w tych warunkach niewykonalne. Skargi T. Wypycha na warunki aresztowania były przetrzymywane przez około miesiąc przez prokuratora Kassyka przed wysłaniem ich do adresatów, a informacje o tym w listach do rodziny starannie wykreślane. Kiedy wreszcie udało mu się zawiadomić rodzinę, interwencje w prokuraturze i Sądzie Penitencyjnym były zbywane stwierdzeniem, że wszystko jest zgodne z przepisami. Sytuacja zmieniła się dopiero po osobistej interwencji pani wicemarszałek Sejmu, prof. Haliny Skibniewskiej, choć i tak jest gorsza niż w czasie dwu poprzednich pobytów. Przede wszystkim wyżywienie pogorszyło się do tego stopnia, że więźniowie są głodni. Nie umiem ocenić rozmiarów tego zjawiska — być może jakieś dane ma Komitet Prymasowski, natomiast T. Wypych skarżył się na głód kilkakrotnie, a przedtem nigdy na to nie narzekał. Są natomiast podstawy, by sądzić, że jest to polityka zamierzona, gdyż systematycznie odrzucane są przez prokuratora i naczelnika aresztu prośby o wyrażenie zgody na podanie dodatkowej paczki żywnościowej, podczas gdy uprzednio zgodę taką wyrażano średnio raz na miesiąc. Poza tym T. Wypych pozbawiony jest wszelkiej pomocy prawnej. Stało się wprawdzie w Polsce trwałym obyczajem odsuwanie adwokatów od śledztwa i odmawianie im zgody na widzenie z klientem, tu natomiast sprawa jest o tyle gorsza, że prokurator już od przeszło dwóch miesięcy przetrzymuje pełnomocnictwo dla adwokata, które T. Wypych powinien podpisać, by adwokat mógł zostać oficjalnie ustanowionym obrońcą w tej sprawie.

Wszystkie te metody, wraz z mnóstwem drobniejszych szykan i złośliwości, stanowią samodzielny i wygodny środek represji i wymierzania kary drogą poza sądową, bez potrzeby dowodzenia jakiegokolwiek winy. W wielu

innych wypadkach, o których moje informacje są bardziej skąpe, aresztowanie, które nie kończy się procesem, jest również wygodną metodą zbierania informacji o całych środowiskach i grupach pracowniczych.

Będę wdzięczna za opublikowanie mojego listu.

Łączę wyrazy szacunku.

(Nazwisko i adres do wiadomości Redakcji)

## ODPOWIEDZI REDAKCJI

*Członek „Solidarności” z Małopolski.* — Listu nie zamieścimy. Wystąpienia p. Aleksandra Małachowskiego w Kanadzie i w Stanach Zjednoczonych spotkały się z żywą krytyką nie tylko „Solidarności” w Los Angeles. *Czytelnik — słuchacz ze starej emigracji (Hamburg, RFN).* — Narzeka na upadek pisma Radia Wolna Europa *Na Antenie*, które skureczyło się do dwóch stron raz na dwa tygodnie w *Tygodniu Polskim* „pozbawiając czytelników na emigracji wiadomości, na które ze względu na kanały informacji RWE miała dotąd wyłączność”.

*K.Z., Monachium; V.W.A., Montreal.* — Listów nie zamieścimy, gdyż zamknęliśmy polemikę w sprawie komunizmu.

*G.G., Norwegia.* — Polemizuje z artykułem Marka Turbacza (*Kultura* nr 4/451 z kwietnia br.). Listu nie zamieścimy. Z artykułem Turbacza polemizował Józef Szrett i na tym dyskusję zamknęliśmy.

*Pełnomocnik autorów Z-L w USA.* — Otrzymałmy przesyłkę piątą materiałów „Oknem inżyniera”. Nie zamieścimy — bardzo słabe.

*S.D. Union w USA.* — Pana krytyki fragmentu książki Giełżyńskiego „Budowanie Niepodległej” nie zamieścimy. Nie można operować tylko insynuacjami, nie popartymi argumentami.

*J.S., Chicago, II. (USA).* — Nie zamieścimy.

*Mec. Władysław Siła-Nowicki* (list wysłany z USA 26 kwietnia br.) — poczuł się dotknięty naszą notą pt. „Emisariusze” zamieszczoną w *Kulturze* (nr 4/451 — kwiecień br.). Listu nie zamieścimy nie tylko dlatego, że jest obraźliwy w treści, ale również ze względu na szereg wystąpień Mecenasa w Stanach Zjednoczonych: porównanie na wiecu w Chicago generała Jaruzelskiego z Marszałkiem Piłsudskim, list do Czesława Miłosza, zarzucający mu wysługiwanie się reżymowi stalinowskiemu, a bojkotowanie Polskiej Ludowej, w której wszystko zmieniło się tak diametralnie. O zmianach w PRL najlepiej świadczy procesy polityczne i wprowadzenie nowych przepisów karnych, z którymi — miejmy nadzieję — Mecenas miał już możliwość się zapoznać.

Koło Pań przy Domu Polskim w Seattle, WA (USA) — zamiast honorarium dla prof. Bogdana Czaykowskiego z University of British Columbia, z serdecznym podziękowaniem za wspólny referat na temat literatury emigracyjnej (nadesłała p. Marta Gołubiec — przewodnicząca) — \$ 200,00 ....	F.1.860,00
Na Apel „Konfederacji 76”, Oddział Boston — na rzecz „Solidarności” Podziemnej złożyli: W. Ostrowski i b. internowani W. Szypszak i Z. Padzik po \$ 10,00; M. Stankiewicz, A. Kruczyński, W. Szczepankiewicz, Z. Walek, W.C. z Cambridge, P. Janik, Z. Łabejsza, b. internowani — T. Daniszewski, C. Rybak, W. Micherda, S. Borucki, T. Wojdakowski, W. Wierzbowski oraz bezimiennie — po \$ 5,00 — razem: \$ 70,00; w Redakcji <i>Listów do Polaków</i> na ten sam cel złożyli: J. Harasiuk, W. Aron, M. S. Orłowski — po \$ 10,00 — razem: \$ 30,00 ogółem: \$ 130,00 .....	F.1.209,00
Polish Canadian Action Group — Solidarność i Niepodległość, Toronto, Ont. (Kanada) — sumę przekazaną przez parafię św. Teresy w Toronto z okazji podczas mszy św. za Ojczyznę (nadesłał skarbnik B. Lewandowski) — \$ c. 400,00 ....	F.2.600,00
Dr Danuta M. Podkomorska, Winnipeg, Man. (Kanada) — \$ c. 100,00 .....	F. 650,00
Stowarzyszenie Przyjaciół „Solidarności” w Winnipegu, Man. (Kanada) — sumę uzyskaną ze zbiórki podczas obchodów rocznicy Konstytucji 3-go Maja (nadesłała Anna Howiecka) — \$ c. 203,00 .....	F.1.320,00
Two Przyjaciół „Solidarności” w Vancouverze, B.C. (Kanada) — dochód z imprez organizowanych przez T.P.S., prowadzonego stoiska z prasą, książkami i znaczkami „Solidarności” oraz z wolnych datków (nadesłał przewodniczący T-wa Bogdan Idzikowski) .....	F.2.015,00
Zebrałe 4-go maja 1985 roku podczas demonstracji przed konsulatem PRL w Nowym Jorku, zorganizowanej przez POMOST RSP, komitet członków „Solidarności” b. więźniów politycznych oraz komitet pomocy „Solidarności” przeciwko nowej fali represji i aresztowań w Polsce — na Solidarność Podziemną, region Mazowsze (nadesłał Dariusz Szczepańczyk) — \$ 256,00 .....	F.2.381,00

### WPŁATY NA FUNDUSZ DRUKARSKI IM. WŁADYSŁAWA GŁOWACKIEGO

A.T., USA — \$ 489,00 .....	F.2.547,00
Andrzej J. Chilecki, Kolonia (RFN) — DM 100,00 .....	F. 305,00
Wojciech Szezygielski, Zurych (Szwajcaria) — Fr.szw. 30,00 .....	F. 108,00

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI  
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE  
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.  
Commission Paritaire N° 60789.  
Dépôt légal: 2<sup>e</sup> trimestre 1985.

Imprimé en France  
N° imprimeur 7132.

# KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi  
par 78600 Maisons-Laffitte - Telefon: (3) 962-19-04

## PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
Ceny na rok 1985			
AFRYKA POLUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181 .....	F. 38,00	F. 220,00	F. 400,00
ARGENTYNA: « Libreria Polaca », Serrano 2076, 1425 Buenos Aires .....	F. 38,00	F. 220,00	F. 400,00
AUSTRALIA: Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32 York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel. 29 1248 .....	\$ A. 5,50	\$ A. 30,00	\$ A. 56,00
AUSTRIA: Henryk Odlanicki-Poczobut, 1011 Wien, Schönlaterngasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14. Tel. 52-60-175 .....	F. 38,00	F. 220,00	F. 400,00
BELGIA: Maria Randomanska, 132, Avenue Coghen, 1180 Bruxelles. Tel. (2) 345 08 25. Konto 310.0334324.51 w Banque de Bruxelles .....	F.B. 300,00	F.B. 1500,00	F.B. 2750,00
BRAZYLIA: prosimy o przesyłanie czeków do administracji « Kultury » .....	\$ US 5,00	\$ US 28,00	\$ US 52,00
DANIA: O. T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd ..	F. 38,00	F. 220,00	F. 400,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji « Kultury » i w księgarniach polskich w Paryżu .....	F. 38,00	F. 220,00	F. 400,00
HOLLANDIA: Mrs. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, 4382 B L Vilssingen. Tel. (01 184) 14073, Postgiro 1379176.	Fl h 15,00	Fl h 85,00	Fl h 155,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel. 621311 .....	F. 38,00	F. 220,00	F. 400,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.O. J4W 1S5. Tel. (514) 465-2362; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev. Donald Malinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2. Tel. 339-5577; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel. 545-2115; J. Korwin-Lopuszanski, 90 Hilliard Avenue, Ottawa K2E 6C2; « Polish Voice Publishing » Co., 390 Roncesvalles Ave., Toronto, Ont. M6R 2M9; Polish Alliance Press, Ltd. (« Związkowiec »), 390 Roncesvalles Ave., Toronto, Ont. M6R 2M9 .....	\$ Can. 6,00 DM 13,00 F. 38,00	\$ Can. 35,00 DM 75,00 F. 220,00	\$ Can. 60,00 DM 140,00 F. 400,00
NIEMCY: St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1.	F. 38,00	F. 220,00	F. 400,00
NORWEGIA: Br. Lubinski, Klommenstengt 8, 1500 Moss. ...	F. 38,00	F. 220,00	F. 400,00
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue des Lilas, C.P. 74. 1211 Genève 7. Tel. 44-32-51. Nr konta pocztow. 12.14431.	F.S. 11,00	F.S. 65,00	F.S. 115,00
SZWECJA: Norbert Zaba, Kalskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm. Tel. (08) 60-15-70. Postgirokonto Nr 48 82 34-6.	K.S. 36,00	K.S. 200,00	K.S. 380,00
U.S.A.: S. Dobczynski, Alma Shipping Co., 121 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009. Tel. 475 8886; Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; T. Konopacki, 27437 Detroit Rd., Cleveland, Ohio, 44145. Tel. 871-48-47; Irena Kretowicz, 4254 - 34-th St., San Diego, Cal. 92104; Krystyna Leser, 1725 - 17th St., N.W. Washington D.C. 20009; H. Kosciuch, 41963 Utica Rd., Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel. (312) 489-2554; Jan Wojcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel. (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia « Nowego Dziennika », 21, West 38-th Street, New York, N.Y., 10018. Tel. (212) 354-0492; Polish Books & Arts, Inc., 97 East 7th St., New York, N.Y. 10009, tel. (212) 254-8457 .....	\$ US 5,00	\$ US 28,00	\$ US 52,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5 ORD. Tel. (01) 370 2210 .....	F. 38,00	F. 220,00	F. 400,00
WŁOCHY: Witold Zahorski, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel. 75-67-241 .....	F. 38,00	F. 220,00	F. 400,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 400; półroczna — F. 220.  
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 5,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:

INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,  
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 (z Francji)

lub C.C.P. PARIS 18 228-38 (z zagranicy)

# Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 402 — ZOFIA ROMANOWICZOWA

## NA WYSPIE

Nowa powieść znanej autorki to dzieje młodej Polki, ocalałej z niemieckiego obozu śmierci, którą dziwne koleje losu wyrzuciły na wyspę świętego Ludwika w Paryżu.

Str. 168.

Cena F. 65,00.



TOM 403 — ZESZYTY HISTORYCZNE

## ZESZYT SIEDEMDZIESIĄTY PIERWSZY

Zawiera m.in. opracowania: J. Krajowca: *Czterdziestolatek*; J. M. Oli-ty: *Polacy, Litwini, Rosjanie*; (j.a.): *Październik 1984*; *Akt oskarżenia przeciwko ks. J. Popietuszcze wraz z aneksem do Aktu*; *Rozmowa z J. E. Metropolitą Szeptyckim*; *Sprawa ukraińska*; J. Szendery: *W poszukiwaniu porozumienia*; J. Nowaka: *Zapiski więzienne Prymasa i raport policjanta*; T. Wyrwy: *Pierwsze lata PRL w raportach dyplomatów francuskich* i in. oraz obszerny dział RECENZJI.

Str. 240.

Cena F. 60,00.



TOM 404 — ADAM MICHNIK

## Z DZIEJOW HONORU W POLSCE

Wypisy więzienne

Próba analizy problemu honoru we współczesnej literaturze polskiej ilustrowana fragmentami utworów Zbigniewa Herberta, Hanny Ma-lewskiej, Czesława Miłosza, Jana Józefa Szczepańskiego oraz Henryka Elzenberga i Witolda Kuli.

Str. 288.

Cena F. 95,00.



TOM 405 — JAN MUR

## DZIENNIK INTERNOWANEGO

(GRUDZIEŃ 1981 - GRUDZIEŃ 1982)

Str. 200.

Cena F. 85,00.